



Über dieses Buch

Dies ist ein digitales Exemplar eines Buches, das seit Generationen in den Regalen der Bibliotheken aufbewahrt wurde, bevor es von Google im Rahmen eines Projekts, mit dem die Bücher dieser Welt online verfügbar gemacht werden sollen, sorgfältig gescannt wurde.

Das Buch hat das Urheberrecht überdauert und kann nun öffentlich zugänglich gemacht werden. Ein öffentlich zugängliches Buch ist ein Buch, das niemals Urheberrechten unterlag oder bei dem die Schutzfrist des Urheberrechts abgelaufen ist. Ob ein Buch öffentlich zugänglich ist, kann von Land zu Land unterschiedlich sein. Öffentlich zugängliche Bücher sind unser Tor zur Vergangenheit und stellen ein geschichtliches, kulturelles und wissenschaftliches Vermögen dar, das häufig nur schwierig zu entdecken ist.

Gebrauchsspuren, Anmerkungen und andere Randbemerkungen, die im Originalband enthalten sind, finden sich auch in dieser Datei – eine Erinnerung an die lange Reise, die das Buch vom Verleger zu einer Bibliothek und weiter zu Ihnen hinter sich gebracht hat.

Nutzungsrichtlinien

Google ist stolz, mit Bibliotheken in partnerschaftlicher Zusammenarbeit öffentlich zugängliches Material zu digitalisieren und einer breiten Masse zugänglich zu machen. Öffentlich zugängliche Bücher gehören der Öffentlichkeit, und wir sind nur ihre Hüter. Nichtsdestotrotz ist diese Arbeit kostspielig. Um diese Ressource weiterhin zur Verfügung stellen zu können, haben wir Schritte unternommen, um den Missbrauch durch kommerzielle Parteien zu verhindern. Dazu gehören technische Einschränkungen für automatisierte Abfragen.

Wir bitten Sie um Einhaltung folgender Richtlinien:

- + *Nutzung der Dateien zu nichtkommerziellen Zwecken* Wir haben Google Buchsuche für Endanwender konzipiert und möchten, dass Sie diese Dateien nur für persönliche, nichtkommerzielle Zwecke verwenden.
- + *Keine automatisierten Abfragen* Senden Sie keine automatisierten Abfragen irgendwelcher Art an das Google-System. Wenn Sie Recherchen über maschinelle Übersetzung, optische Zeichenerkennung oder andere Bereiche durchführen, in denen der Zugang zu Text in großen Mengen nützlich ist, wenden Sie sich bitte an uns. Wir fördern die Nutzung des öffentlich zugänglichen Materials für diese Zwecke und können Ihnen unter Umständen helfen.
- + *Beibehaltung von Google-Markenelementen* Das "Wasserzeichen" von Google, das Sie in jeder Datei finden, ist wichtig zur Information über dieses Projekt und hilft den Anwendern weiteres Material über Google Buchsuche zu finden. Bitte entfernen Sie das Wasserzeichen nicht.
- + *Bewegen Sie sich innerhalb der Legalität* Unabhängig von Ihrem Verwendungszweck müssen Sie sich Ihrer Verantwortung bewusst sein, sicherzustellen, dass Ihre Nutzung legal ist. Gehen Sie nicht davon aus, dass ein Buch, das nach unserem Dafürhalten für Nutzer in den USA öffentlich zugänglich ist, auch für Nutzer in anderen Ländern öffentlich zugänglich ist. Ob ein Buch noch dem Urheberrecht unterliegt, ist von Land zu Land verschieden. Wir können keine Beratung leisten, ob eine bestimmte Nutzung eines bestimmten Buches gesetzlich zulässig ist. Gehen Sie nicht davon aus, dass das Erscheinen eines Buchs in Google Buchsuche bedeutet, dass es in jeder Form und überall auf der Welt verwendet werden kann. Eine Urheberrechtsverletzung kann schwerwiegende Folgen haben.

Über Google Buchsuche

Das Ziel von Google besteht darin, die weltweiten Informationen zu organisieren und allgemein nutzbar und zugänglich zu machen. Google Buchsuche hilft Lesern dabei, die Bücher dieser Welt zu entdecken, und unterstützt Autoren und Verleger dabei, neue Zielgruppen zu erreichen. Den gesamten Buchtext können Sie im Internet unter <http://books.google.com> durchsuchen.



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>





WODZIREJ.

Włodarczyk



Gabryela Zapolska.

WODZIREJ

POWIEŚĆ.

Tom I.

WARSZAWA.

Kurjer Warszawski
Krakow.-Przedmieś. № 40.

S. Lewental
Nowy Świat № 41.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 28 Декабря 1896 года.

Регистр
Книжки
V.I

I.

— A więc *décidément* idziesz pan do domu?

— *Décidément.*

— Szkoda! szkoda!.. Poszlibyśmy trochę na Szkarpy, potem na Rury, potem... jakże to się nazywa?

— Na Pohulankę...

— Aha! aha! na Pohulankę... Napilibyśmy się mléka prosto od krowy... Pan wiész... *une vache*... ciepłe mléko... *delicye*... potem wrócilibyśmy do miasta i wpadlibyśmy na chwilę, gdy szwaczki idą do pracowni... i pensyonarki do konwiktów... *Il y en a!*.. A ładne to, a młode... a... *des anges!*.. *décidément!*.. *des anges!*..

Mówiąc te słowa, Melunio Orlicki krzywił się, marszcząc swą twarz, twarz podobną do przegniłej gruszki, podciągnął w górę brwi nakreślone grubo czarną mazią na skórze bez śladu zarostu i oczy swe czerwone, obwieszone dokoła workami ze skóry, a zaciągnięte bielmem starości, ku niebu ciągle podnosił.

Odziany był w wielki płaszcz czarny z peleryną, który włókł mu się po ziemi i płatał pod stopami; na głowie, cokolwiek na bakier, z pewną fantazyą, szapokłak wspaniały, przyklejony do płasko ułożonych i wyczernionych silnie włosów.

Majowy ranek był zimny; stary Melunio trząsł się z wiosennego chłodu, lecz junacko pierś starego *viveur'a* naprzód wystawiał. Lśniący gors koszuli balowej, w drobniuchne zakładeczki cały, cokolwiek zwiędły w atmosferze nocy balowej, bielił się pomiędzy fałdami płaszcza. Nos Melunia był siny, cera trupia; wargi obwisły, nitka śliny sączyła się powoli, spadając na wyfiksaturowaną hiszpankę.

Lecz Melunio wracać do domu nie chciał. Obrzmiałemi oczyma po przestrzeni ulicy Jezuickiej wodził, powtarzając:

— *Des anges!.. des anges!..*

— Stojący naprzeciw niego Wielohradzki zaledwie mógł utaić swoje zniecierpliwienie.

— Na podobne wycieczki trzeba mieć siły hrabiego! — wyrzekł wreszcie, zapinając szczelnie pod szyję swoją palto — *Il fait diablement froid*, a kotylion trwał dłużej niż zwykle...

— *Oui! oui!* — odparł z roztargnieniem Melunio.

— Trzeba mieć *mes forces* i moją siłę życiową.

Uśmiechnął się, pokazując nagle cały rząd sztucznych zębów.

Złoto haczyków, ciemna chorobliwa masa kauczuku zagrały w blaskach wschodzącego słońca.

— *J' irai seul!*..—dodał z komiczną rezygnacją.

— Żegnam hrabiego!..

— Żegnam! żegnam!..

Melunio rączkę, podobną do ręki kościotrupa, lecz starannie opiętą w jasną rękawiczkę, z fałd peleryny wysunął.

Wielohradzki, widząc ten giest, swą prawą dłoń już wyciągnął.

Lecz Melunio kilka razy tylko swą ręką w powietrzu potrząsał, nie podając jój bynajmniej Wielohradzkiemu.

— Żegnam!..

Zawrócił się i sztywno, prosto, skrzypiąc lakierkami, iść zaczął.

Za nim włókł się tren płaszcza, zgarniając kurz uliczny i świeże kałuże wody, ociekłe z konewek i dzbanków sług, które co chwila przebiegały wzdłuż chodników przechylone, zaspane, z roztarganemi włosami, pełnemi pierza i zardzewiałych szpilek.

Wielohradzki szybko iść zaczął pod górę ulicy, mruknąwszy przez zaciśnięte zęby:

— Stara mumia!..

Myśl, iż „stara mumia” nie podała mu ręki, wprowadzała go w zły humor. Gryzł ładne różowe usta, palcami miał kieszenie palta. Błękitne oczy, duże, wypukłe, lecz mimo to dość sprytne, biegały teraz ze

złością po pustej ulicy. Nozdrza nosa, dużego, lecz niezmiernie kształtnie wykrojonego, poruszyły się nerwowo.

I znów z poza zaciśniętych, drobnych, jak u myszy, zębów wypadł syk:

— Stary idyota!..

Tymczasem wstawał tryumfalnie ranek wiosenny, biały różowy, liliowy, pełen delikatnych, pastelowych tonów.

Wszystkie te światła, te smugi, biel jasna i czysta powoli rozświetlającego się ponad domami nieba zdawała się istnieć po za jakąś taflą szklaną, która łamała światło i przepuszczała je napozór złagodzone, lecz błyszczące zimniejszym blaskiem.

Okna kamienic, zamknięte, zakryte frankami, tu i owdzie krwawiły się purpurowemi zasłonami, złocili się żółtą gipiurą lub zieleniały od szmaragdowych jedwabnych stor, bufowanych, jak suknie prababek.

Dzielnica to była arystokratyczna, uśpiona, cicha.

Wielohradzki szedł wciąż, kurcząc ramiona, strawiony wewnętrzną gorączką.

Szampan, który podawano w Boteckich, był złyj marki i ciepły, kawałek pasztetu, który zjadł w bufecie dla dotrzymania towarzystwa hrabinie Gwozdekckiej — nieświeży, w mazurze mylono się ciągle w *chaine* i figura z zaprzęgiem chybiła efektu wskutek niezdarności kobiet, upuszczających ciągle końce chu-

stek, które miały reprezentować lejce; w dodatku ten idyota Melunio nie podał mu ręki...

Stanowczo: dzisiejsza noc była... pechową!

Spojrzał przed siebie i przeraził się tą dużą przetrzeźnią, którą miał jeszcze do przebycia.

— Nie doleżeł! — pomyślał, ciskając się coraz więcej w ataku nerwowym.

Nagle na skrócie ulicy pojawiła się jakaś postać w długiej, ciemnej sukni.

Wielohradzki, jak każdy mające wypukłe źrenice, był krótkowidzem.

Dostrzegł jednak fałdy spódnicy, które wiatr rozwiewał, i duży oskrzydłony kapelusz.

Szybko rozpiął swe palto i rozrzucił klapy podbite jedwabiem.

Zabłysnął gors koszuli, zmięty i zwiędły, krawat jak postronek, kołnierzyk wykładany, z rogami zawiniętymi ku górze.

Lecz na klapach fraka zajaśniały srebrem, złotem, barwami turkusów, rubinów, szmaragdów olbrzymie ordery kotylionowe.

Przez pierś krzyżowały się szerokie wstęgi, obwijając tors Wielohradzkiego jakby powijakiem jaskrawych barw, jakichś fantastycznych legij, orderów, znaków zaszczytnych, zdobytych na poległych setkach trupów nieprzyjacielskich.

Ordery błyszczały, mieniły się, grały kolorami tęczy. Niektóre, gazowe, ustrojone sztucznymi róża-

mi, fioletkami, niezapominajkami, miały w sobie lekkość motyli; niektóre, obwieszane brzękadłami, dzwoniły wyzywająco. Na samym środku, na tle szafrowej morowej wstęgi rozkładało się olbrzymie słońce, a w niem kot czyścił but, z którego wyrastały lilie. Lecz już owo słońce wspaniałe niknęło co chwila, kryte przez kościaną grzechotkę ze srebrnymi grelotkami, zawieszoną na szyi za pomocą różowej wstążki. Świstawka, trąbka i flecik dopełniały kolekcji. Na brzuchu tańczyła duża, prawdziwa rzepa w siatce purpurowej, przyczepiona do pasa nabijanego gwiazdami, z błękitnej, jasnej gazy.

Wielohradzki oczy zmrużył i szedł tak dumny i zwycięski z rozpiętym paltem, dzwoniąc brzękadłami, grelotkami, błyszcząc motylami orderów, jakby [pancerzem, [utkanym z cacek kosztownych i ze srebrnych i złotych nici.

Postać czarna zbliżała się powoli ku niemu, a on przybrał teraz minę znudzonego dandysa. Usta wygiął w podkowę i szedł jak lalka w tém słońcu wiosenném, zgrabnie stawiając dość duże, lecz wązkie stopy, obute w nowe, błyszczące lakierki.

Nagle na twarzy wodzireja odbiło się znów niezadowolnienie.

Stanowczo nie miał dziś szczęścia!

Sądził, że to jedna z „dam”, — ktoś z towarzystwa, śpieszący na mszę ranną lub na wody do Jezuickiego ogrodu.

Tymczasem, był to stary ksiądz, w długiej, fałdzistej sutannie i wielkim kapeluszu o kresach podniesionych.

Ksiądz poszedł powoli, pocierając ręką o swój sinawy podbródek.

Wielohradzki, zły, nagle popadły w śmieszność, zapinał szybko swe palto, czując teraz chłód, który się przez szczelinę gorsu koszuli wkradał.

Lecz teraz, powoli, ulica wypełniła się ludźmi śpieszącymi do swych zajęć, do biur, do sklepów, po pożywienie.

Jakkolwiek dzielnica była arystokratyczna, toć jeszcze była tu falanga gęsta i liczna tych, co obsługę pełnili i drobne lokale na tyłach kamienic zajmowali — nieśmiało kureząc się, przemykając cicho wśród owego spokoju uśpionych „państwa” po za firankami z czerwonego lub żółtego jedwabiu.

Teraz, o porannój porze, wysuwali się z bram ciężkich, przy których połyskiwały metalowe guziki dzwonek. Byli to ludzie ubrani czysto, ciemno, z widoczną starannością i chęcią nieobrażenia estetycznych pojęć osób zamieszkujących fronty kamienic. Kobiety zwłaszcza szły z jakąś godnością, przybierając mimowoli ton i maniery hrabin i dam spotykanych często na przejściu bramy lub na asfalcie chodnika.

I kobiety te przeważały, sunąc ku miastu, ukrywając starannie pod fałdami długich rotund koszyki

z jarzynami i odrobiną mięsa, a niosąc z ostentacją książki duże, o wyzłoconych grzbietach, z klamrami, jedyny luksus i zbytek nabyty oszczędnością wśród miżernych kłopotów szczupłego budżetu.

Wszystkie te kobiety miały wygląd dewotek, tych czarno ubranych motyli trzepocących skrzydłami wielkiego kapelusza dokoła ogniska, roznieconego dla nich białymi rękami dam z arystokracji.

Tuliły się do tej dzielnicy skurczone, pomarszczone, pokorne na pozór — legion czarny i dziwny, wiecznie do siebie podobny, o masce pełnej pretensyi, patrzący z góry na nędzarzy przygodnych — tworząc arystokrację nędzy i nosząc z dumą hidalgę rozwiązany welon swego wiecznego wdowieństwa, nos czerwony spiczasty, i ową czarną torbę, która była rodzajem broni, tornistra i całego ładunku tej specjalnej pomiędzy kobietami armii.

I było ich setki, tysiące, legiony, nietylko we Lwowie, nietylko w Austrii, ale wszędzie, gdzie tylko „arystokracja” zamurowuje się w pewnej dzielnicy miasta.

Wielohradzki, zirytowany zawodem, jaki go spotkał, szedł teraz z paltem zamkniętym i jedynie pod szyją rozchylił nieco kołnierz, aby pokazać wspaniały order „*Króla kotylionu*”, zawieszony tuż pod kravatą na bladej-zielonej wstążce.

Niektóre z czarno ubranych kobiet witały go ski-

nieniem głowy. On oddawał im ukłon z tą samą mi-
ną, z jaką Melunio Orlicki pożegnał go przed chwilą.

— A!.. a!.. pan Tadeusz!.. zkądże to? od kogo?..

— Od Boteckich! — odrzucił niedbale Wielo-
hradzki.

Czarno ubrana kobieta wzniosła w górę oczy.

— A! godny dom!.. wiele państwo!..

— Żegnam panią!.. — rzucił jój przez plecy mło-
dy człowiek.

Ręką nawet powachlował kilka razy w powietrzu.

— A mamunia, zdrowa?.. — pytała czarno ubra-
na dama.

Lecz nie było odpowiedzi.

Wielohradzki przyspieszał kroku, czując się co-
raz więcej zmęczonym.

Teraz tu i owdzie przed bramę wychodzili loka-
je, stangreci, świeżo ubrani i ogoleni, w kamizelkach
i fartuchach, niektórzy w pantoflach filcowych na
płaskich, ordynarnych nogach.

Stróże oczyszczali chodniki; dopomagały im żo-
ny, odziane w jasne kaftaniki.

Na balkonie jednej z kamienic pojawiła się po-
kojówka i zaczęła wnosić z głębi salonu doniczki
z palmami. Jasna jój głowa tonęła w massie liści,
które rozwiewały się wysoko, tworząc nad jój wło-
sami las zielonych wachlarzy.

Kilka kropli wody spadło z wazonu na ulicę.

Stróż, młody chłopak o ciemnych oczach i zdro-

wych zębach, podniósł głowę i pogroził dziewczynie miotłą.

Pokojówka pokazała mu język i zaczęła śmiać się, zatykając usta kuliakiem.

Stróż śmiał się także, a lokaj, założywszy ręce na brzuchu pod fartuchem, dogadywał ochryplym głosem dowcipy, od których dziewczyna kryła się aż za gąszcz palm i po za wyłożoną balustradę balkonu.

Wielohradzki minął tę grupę, zakrywając ręką swój złocisty order.

Wiedział bowiem, iż na tych ludzi wspaniałość jego trofeów kotylionowych nie działa: przeciwnie, do ironii i żartów pobudza.

Lokaj powiódł za nim wzrokiem i, widząc poły fraka wysuwające się z pod krótkiego paletka, zapytał z ironią w głosie:

— A nie potrza tam u panny *frotera*?

Dziewczyna przechyliła się przez balkon.

— Bez co się mnie pan o to pyta?

Lokaj ręką wskazał na oddalającą się sylwetkę Wielohradzkiego.

— A bo!.. — wyrzekł — no!.. tam...

Dziewczyna aż kucnęła ze śmiechu pomiędzy palmami.

Tymczasem Wielohradzki dochodził już do bramy kamienicy, którą wraz z matką zamieszkiwał.

Zły humor jego wzrastał.

Zapiął nawet teraz szczelnie kołnierz od palta i nasunął szapoklak głęboko na oczy.

Słońce bowiem wiosenne, jasne i przejrzyste, zaczęło przebijać chmury i słać złote strzały (uśmiechnięte gońce) w błękitne źrenice młodego człowieka.

Lecz źrenice te, od pyłu posadzek balowych i migotliwego blasku sztucznego oświetlenia zmęczone, były powiekami, jak jaskółki skrzydłami.

Tadeusz słońca, jasności i czystego powietrza nie lubił.

Z bramy kamienicy wyszła powoli młoda dziewczyna, prowadząca za rękę małego chłopczyka w szarym, zbyt krótkim paltociku.

Dziewczyna była blada, prawie żółta, i tylko oczy jej wielkie, czarne świeciły wśród bladłej maski twarzy i czerniały zdaleka.

Odziana była dziwacznie, niezgrabnie, z pewną ubogą a smutną pretensją.

Więc—jersey ciemno-czerwony, jersey złego gatunku, gdyż pod trykotową tkaniną sterczały brutalnie fiszbiny gorsetu. Na wierzchu od szyi ku stanowi kawałek zmarszczonej satyny, w kremowe i czerwone kratki, stanowił klassyczną kamizelkę. Spódnica szara, zbyt krótka z przodu, z tyłu wlokła się po ziemi. Na kształtnej i ładnie uczesanej głowie kapelusz kastorowy z rozfryzowanym piórem.

Pomimo téj pstrokacizny, dziewczyna potrafiła je-

dnak zachować pewien kształt, wdzięk, urok młodzieńczy.

Drobna była, szczupła, z gorsem zapadłym.

Wyglądała, nie na młodą dziewczynę, lecz na dziewczynkę dorastającą.

Aureola włosów słonecznych ratowała jęj urodę: słońce włosów i przepaścista czerń oczów.

Chłopczyk, którego prowadziła, był podobny do niej, jak cień: mały i skurczony.

Miał główkę ostrzyżoną przy skórze, czerwone pończoszki, buciki z rozluźnioną gumą, tabliczkę z szyfrem pod pachą i kieszenie wypchane masą nieokreślonych przedmiotów.

Idąc, piszczał:

— Żeby tak Tecia kupiła chleba świętojańskiego.

— Nie! — odparła młoda dziewczyna — kupię ci papatacz, to zdrowsze!..

Małec podciągnął nosem.

— Nie lubię papatacza — piszczał — chcę chleba świętojańskiego...

— Aha! żebyś znów pestki popołykał... Jutro rano!

Nagle urwała i stanęła w ponsach.

Spostrzegła Wielohradzkiego.

Mimowolnym, a każdej kobiecie właściwym ruchem sięgnęła ręką ku grzywce.

Przypomniała sobie, iż dzisiaj nie zapiekła żelaz-

kiem włosów, śpiesząc się odprowadzić Felka do freblowskiej szkoły.

Lecz Wielohradzki, najeżony, napuszony, z brodą utopioną w kołnierzu palta, przemknął szybko, dotykając ręką kresów szapokłaka.

Dziewczyzna niezgrabnie oddała ukłon i pociągnęła Felka za rękę.

— Chodź prędej... spóźnisz się!..

— A kupi Teci chleba świętojańskiego?

Lecz Teci nagle nosek poczerwieniał i powieki szybko mrugać zaczęły.

— Chodź!.. — zawołała, zaciskając zęby—kupię! tylko nie skrzecz mi nad głową.

.....

Tymczasem Wielohradzki, przeszedłszy wspaniałą bramę i asfaltem wyłożony dziedziniec, zaczął wspinać się po schodach oficyny, w której na dole mieściły się stajnie i wozownie lokatorów frontowej części domu. Schody te, przeznaczone dla służby, ciemne były i niewygodne.

Lecz Wielohradzki, dobywszy ostatek sił, sadził po trzy i cztery stopnie, aż zatrzymał się na czwartém piętrze przede drzwiami swego mieszkania.

Sięgnął do kieszeni palta, chcąc wyjąć klucz, lecz drzwi otworzyły się na oścież i ukazała się czarna jama zupełnie ciemnego przedpokoju.

Wielohradzki wszedł i, przestępując próg, wyrzekł szybko znudzonym głosem:

— Dzień dobry, mameczce! Proszę bardzo mameczki nie robić mi wymówek za moje opóźnienie. Kolację podano bardzo późno... Kotylion trwał dwie godziny, a później jeszcze tańczyliśmy białego mazura... Umieram ze znużenia...

W kącie przedpokoju zaszeleściła suknia kobieca.

— Widzisz, Tadeczku... Namiestnictwo...

Wielohradzki ręką klamki szukał w ciemności i nareszcie, otworzywszy drzwi, rzucił niedbale:

— To i cóż?.. Namiestnictwo nie ucieknie... wszyscy z mego kąta byli u Boteckich... Charłupko, Wojsa, Dobrojowski... wszyscy przyjdą później... poszli do łaźni... A zresztą!.. *Décidément*...

Machnął ręką i ostrożnie szapoklak z głowy zdejmować zaczął.

— Niech mi mameczka da jaką tacę! — zawołał.

Za chwilę wsunęła się do pokoju „mameczka”, niosąc dużą blaszaną tacę.

— Proszę cię, mój Tadius — wyrzekła, podając tacę, na którą Wielohradzki zaczął wysypywać z szapoklaka całe masy malutkich bukiecików, owiniętych w koronki i blondyny.

— Bukieciki? — zdziwiła się matka.

— Tak!.. dla kaprysu Muszki Dobrojowskię zmieniłem zwykły porządek. Och! tylko na jeden *tour*. Panie dostawały ordery, my zaś bukieciki...

Lecz *décidément* nie jest to porządek klasyczny. Tak!.. dla rozrywki... dla kaprysu...

Bukieciki leżały teraz na tacy, zwiędłe, zmięte, zniszczone...

— Zabrałem tę trochę... resztę musiałem zostawić... miałem dwadzieścia siedem...

— O! o! — zdziwiła się matka.

Była to kobieta wysoka, silnej budowy, odziana skromnie, lecz niezmiernie czysto, we flanelowy ciemny szlafrok i filcowe pantofle.

Dwa pasma siwiejących włosów zakrywały uszy małe, zręcznie wykrojone. Ował twarzy, trochę tłuszczem podbródka zepsuty, był niemniej jeszcze piękny, a dołek w brodzie nadawał cechę jakiegoś figlarnego wdzięku. Nos piękny, prosty, arystokratyczny, oczy podobne do oczu syna, błękitne, wypukłe, czoło niskie i kształtne, przecięte dwiema zmarszczkami.

Widoczném było w téj kobiecie pochodzenie rasowe i staranne pielęgnowanie ciała, chęć pozostania miłą dla oka, nawet w chwili krytycznego ku starości przejścia.

Jedynie ręce były zniszczone i czarne, paznogie zjedzone ługiem i mydłem, pomimo gliceryny i cold-creamu, którym nacierane były.

Świadczyły one o pracy domowej, ciężkiej i niemilęj, o braku posługaczki, o bieliznie, pranėj po nocach, o samowarze i rondlach, szorowanych cegłą.

Lecz jeśli ręce były zużyte, postać cała trzymała się prosto, z fantazją, z szykiem damy, z pewną dystynkcyą zdetronizowanej królowej.

Błękitne źrenice patrzyły z pod przymrużonych powiek, a usta miały arystokratyczne, niedostrzeżone skrzywienie.

Flanela szlafroka była tania i biedna, lecz szlafrok miał tren i falde *Vatteau*, spadającą od karku, po którym wiły się drobne siwe włosy.

Wielohradzka wzięła w rękę jeden z bukietów i zaczęła przyglądać się kwiatom.

— Białe fiołki!.. — wymówiła, kręcąc głową.

— Och!.. akcesorya kotyliionowe były niezłe, nawet bogate... ale kolacja fatalna!.. struli mnie majonezem i jakąś mieszaniną naśladowującą pasztet.

Wielohradzka porwała się i zaczęła biedz w stronę kuchni.

— Nastawię samowar! — zawołała.

Lecz on wstrzymał ją ruchem ręki.

— Nie, nie... barszcz wystarczy. Jest barszcz?..

— Naturalnie... jednakże ja radzę ci...

Tadeusz za głowę się złapał.

— Błagam mamę... błagam mamę, niech mama nie radzi, głowa mi pęka!..

Głos jego brzmiał ostro, krzykliwie — niecierpliwym ruchem zaczął ściągać z ramion palto.

Jedna z gwiazdeczek zaplątała się o guzik.

Tadeusz zaczął szamotać się, zgrzytając zębami ze zdenerwowania.

Wielohradzka, która stała już na progu kuchni, zbliżyła się ku niemu.

— Pomogę ci! — wyrzekła łagodnie.

Zręcznie, szybko odplątała wstążkę. Tadeusz zesunął palto i schwycił matkę za rękę.

— Przepraszam mameczkę — wyrzekł dość potulnie — zapomniałem się przed chwilą... ale... jestem dziś szalenie zdenerwowany!..

Wielohradzka przesunęła ręką po jego niemal przy skórze ostrzyżonej głowie.

— Ja wiem... ja wiem... — wyrzekła — ja to rozumiem! ja się nie gniewam.

Morze miłości macierzyńskiej było w jój błękitnych oczach.

Zachrobotąło coś koło drzwi wejściowych.

— To Tacia!.. — zawołała Wielohradzka — każałam jój przynieść świeże *salosztangi* — może zjész jedną z barszczem.

Tadeusz skrzywił się wykwintnie.

— Wątpię!..

— Sprobujesz!..

Pobiegła do przedpokoju otworzyć drzwi. Podszewka jój szlafroka, zlatana z kawałków jedwabiu, szumiała po wyfroterowanej sosnowej podłodze.

Do pokoju weszła Tacia.

Ochłonęła już ze swego wzruszenia.

Ukloniła się niezgrabnie, nie patrząc nawet na Tadeusza, który przyglądał się swym zębom i uszom w lustrze, i położyła kilka bułek na brzegu stołu.

Jedna z nich, długa *salosztanga*, obsypana kminem i solą, osunęła się na tacę pomiędzy bukieciki.

Lecz Teczia nie zwróciła na ten szczegół uwagi, tylko podeszła ku oknu i pudło z maszyny do szycia, stojącej we framudze, zdejmować zaczęła.

W kuchni Wielohradzka krzątała się, nalewając barszcz do dużej filiżanki.

— Odprowadziłaś Felka? — zapytała, podnosząc głos.

Teczia zarumieniła się gwałtownie.

— Tak, proszę pani.

— A wstąpiłaś do babki?

— Tak, proszę pani.

— Ma wszystko, co jój potrzeba?

— Tak, proszę pani; ale o dwunastój będę musiała pójść, żeby drzwi otworzyć, bo przyjdą te panie od świętej Eulalii, żeby babcię obejrzyć...

— A nie wiesz, kto przyjdzie?

— Nie, proszę pani...

— Dobrze — weź tymczasem tę aksamitną pelerynę pani Kozanackiej i odpruj frendzlę. Mamy z tego zrobić kapelusz „rydikiul” i mufkę... A żwawo.

— Dobrze, proszę pani.

Teczia sięgnęła na stół, na którym leżała złożona w serwecie peleryna.

Tadeusz odwrócił się skrzywiony i zadzwonił brzękadłami, które miał na piersiach i biodrach.

— Cóż ten barszcz?

— Już gotów!..

Wielohradzka ukazała się we drzwiach.

— Niech mameczka zanieś do mego pokoju. Wypiję, przebierając się. Gdzież ta salzštanga?

Do stołu się zbliżył i nagle bułkę pomiędzy kwiatami ujrzał.

— Kto to wrzucił bułkę pomiędzy bukiety? — krzyknął. — Pewno panna Tecia... Panna Tecia wie, że dotykać się do moich kwiatów i orderów nie wolno...

Wrzucił salzštangę i ze złości zaczął gniesić i tak zgniecione bukiety.

— O! o!.. jakie to wszystko pomiętel!.. jak to wszystko wygląda!.. to skandal!.. to zgroza!.. Przecież tego do archiwum włożyć niepodobna...

Teci ręce drżały.

Wzięła pelerynę i chciała oddalić się od stołu. Nagle dostrzegła, jak z potrząsanych przez Tadeusza bukietów wypadła na ziemię maluchna zwinięta karteczka.

Tadeusz zirytowany bił się teraz po gorsie koszuli. Wszystkie brzękadła dzwoniły, jak orkiestra w jarmarcznej budzie.

— Jak Boga kocham! — krzyczał — w tym domu utrzymać nic nie można... wszystko się...

Nagle urwał.

Tecia podawała mu ów znaleziony maluchny bi-lecik.

— Wypadło z bukietów!.. — wyrzekła, nie pa-trząc na Tadeusza.

On umilkł nagle, porwał karteczkę i, nie rzekłszy ani słowa, wpadł do swego pokoju i drzwi za-trzasnął.

Z kuchni wysunęła się cicho Wielohradzka.

— Dlaczego Tecia nie uważa?— zaczęła szeptać, prostując pomięte bukieciki. — Tazio jest dziś bar-dzo rozdrażniony i zmęczony, byle co go w złość wprowadza... Trzeba uważać!

Tecia, dławiąc, się od łez, usiadła na krześle i za-częła pruć pelerynę.

Obok niej — na wysokim stołku bez oparcia — zasiadła Wielohradzka i wyjęła z kieszeni okulary, które na nos włożyła.

— Tecia nie ma czego beczyć!— zaczęła znów pół-głosem — tylko na drugi raz należy uważać! Tecia wie, że pan Tadeusz przynosi zawsze do domu naj-ladniejsze akcesorya i chowa do swego archiwum. Dosyć trudu i pracy kosztuje go zdobycie tych pię-knych rzeczy... przytém, to są pamiątki, dowody jego zręczności, „preferencyi”, jaką mu dają damy przed innymi mężczyznami... To wszystko ma swo-ją cenę, i Tecia powinna zrozumieć, dlaczego pan

Tadeusz tak bardzo dba o te wszystkie ordery i emblemata...

Lecz Tecia nie chciała nic zrozumieć, tylko podciągała zaczerwienionym noskiem i zawzięcie próbowała frendzlę, z której podnosiły się tumany wiekowego kurzu.

Wielohradzka tymczasem nawlokła igłę, wpięła ją w stanik i, wstawszy, zaczęła szukać linijek i figurek metody Głodzińskiego, które sterczały w dużym koszyku tuż obok okna.

— Trzeba przerysować talię pani Kokonieckiej — wyszeptła — pani Kokoniecka bowiem trochę przytyła, i dawny patron na nic się już nie przyda.

I znalazłszy wszystkie linijki, centymetry, kółeczka i ołówki, zaczęła rysować na kawałku głasy obszerną talię pani Kokonieckiej.

Tymczasem Tadeusz zbliżył się do maluchnego, umieszczonego w górze okienka i czytać zaczął ową karteczkę wypadłą z bukietu.

Kartka owa widocznie była oderwana z balowego karnetu, gdyż był to gruby papier, naśladujący nieźle pergamin, mający kształt listka koniczyny. Cieniuchnymi literkami pośpiesznie nakreślone były słowa:

*Demain, chez les Jesuites, six heures.
Attendez à l'entrée.*

M.

Twarz Tadeusza rozjaśniła się nagle nieklamana radością.

Pokręcił głową, przeczytał raz jeszcze karteczkę, obejrzał ją na wszystkie strony i nareszcie od okienka odstąpił.

— Proszę!.. proszę... — wyrzekł sam do siebie przez zaciśnięte zęby.

Zaczął zdejmować z siebie akcesorya kotylionowe i układał je starannie kolejno na stole, przykrytym jutową serwetą.

Poczém zdjął frak, kamizelkę i zaczął ściągać lakierki. Wdział filcowe pantofle i skierował się ku umywalni. Dzbanek pełen ciepłej wody stał obok konewki napełnionej zimną deszczówką. Gąbki, włochate ręczniki, rękawice do nacierania pleców i szyi wisiały w systematycznym porządku. Flakon z wodą kolońską i pudełeczko z krédą stały obok mydła, benzoesu, szczoteczek i pilniczków.

Na te wszystkie przybory, świadczące o doskonałej chęci pielęgnowania ciała, padało światło smutne, skąpe, przyémione.

Ów pokój, zajmowany przez Wielohradzkiego, był pokojem bez okna, opatrzonym jedynie w rodzaj niewielkiego jednoszybowego otworu, wykrojonego wysoko, prawie pod samym sufitem.

Ukośny promień światła wpadał więc i nie rozświetlał wiele w téj małej przestrzeni, w której łóżko żelazne, pokryte wełnianym kocykiem, i umywalnia

były głównymi sprzętami. Mały stolik, półeczki, na których drzemało kilka zapyzonych książek, pudełeczko ze spinkami, koszyk ze zniszczonemi rękawiczkami balowemi, szczotki i flaszeczka doskonałych perfum angielskich — dopełniały umeblowania.

Na łóżku, porządnie ułożony, leżał codzienny garnitur Tadeusza i koszula, w której gors wpięte były spinki. Obok stały wyczyszczone buty i laska, zwisało się z krzesła palto i kastorowy kapelusz.

Tadeusz ubierał się powoli, nie śpiesząc się, szczotkując starannie włosy, skrapiając kark i szyję wodą kolońską.

Przeglądał się w małym lusterku, zawieszoném nad umywalnią, i wytarł delikatnie i dyskretnie wąsy i włosy olejkim rycynowym, zaprawionym eseneyą heliotropową.

Zmienił bieliznę i włożył codzienny garnitur.

Pocém odświeżony, powróciwszy do humoru i równowagi, lecz mając jeszcze ciągle resztki *kattenjammeru*, wypił duszkiem filiżankę czystego barszczu i zagryzł go ową nieszczęsną salzsztangą.

Wziął ze stołu karteczkę, przeczytał raz jeszcze, uśmiechnął się, pokręcił znów głową i schował kartkę do pugilaresu. Uderzył w tamburyno, zagrzechotał grzechotką, zagwizdał na fleciku i już zupełnie dobrze usposobiony gotował się do wyjścia.

Przejrzał się jednak raz jeszcze w lustrze, i powróciwszy do stołu, policzył ordery.

Pocém drzwi otworzył i wszedł do pokoju, w którym pracowały Tęcia i Wielohradzka.

Zastał tylko jedynie Tecię, gdyż Wielohradzka krzątała się znów w kuchni, przygotowując rogalik, który on codziennie do namiestnictwa z sobą zabierał, i tam o 12-jej zjadał w towarzystwie hrabiów i innych obiecujących młodzieńców, pełniących funkcję concept-praktykantów, funkcję będącą pierwszym szczeblem dyplomatycznej i państwowej kariery.

Wszedłszy więc do pokoju, Tadeusz ujrzał samą Tecię, stojącą przy stole i układającą systematycznie kawałki poprutej peleryny, z której miała być mufka, kapelusz i „rydikiul” dla pani Kozanackiej.

Tadeusz krótką chwilę spoglądał na posmutniałą dziewczynę.

Był teraz w dobrym humorze; woda kolońska, którą kark wytarł, barszcz, karteczka, oznaczająca mu *rendez vous*, zabarwiły mu życie różowo.

Zbliżył się do Teci i, biorąc delikatnie w palce, na których błyszcząły, jak jasne opale, wyszlifowane gładko paznogie, guzik swego palta, wyrzekł, udając obojętne roztargnienie:

— Nie mogłaby mi panna Tęcia przymocować tego guzika? Oderwałem go, chcąc zdjąć z szyi gwizdawkę.

Tęcia śpiesznie zaczęła igłę jedwabiem nawlekać.

— Dobrze... ja przyszyję!

Podeszła posłuszna i już uradowana tonem jego głosu, żądaniem przysługi, o którą mógł się przecież zwrócić do matki.

On, patrząc na ten pośpiech, zaczął się uśmiechać.

— Niech się panna Tecia nie śpieszy. Mnie do biura nie pilno!

Lecz jój pilno było zadowolnić jego żądanie. Tyranizował ją od lat dwóch, od chwili, kiedy babka oddała ją do „pomocy” pani Wielohradzkiej. Wszystkie zmiany jego humoru, kaprysy nerwowca, człowieka, szamocącego się nie w swojej sferze, odbijały się, jak w zwierciadle, na sposobie, w jaki traktował tę dziewczynę, zakochaną w nim do szaleństwa.

Wiedział o tém, miłość tę tolerował, bawił się nią, wywoływał ją, zachęcał, a czasem maltretował, kopał i szydził.

Wychowany przez matkę, do lat sześciu nosił sukienki dziewczęce i długie zakręcone w loki włosy. Bawił się lalkami i wykałał im oczy, przeglądając się później w tych szklanych źrenicach, które trzymał do światła, badając, czy nie dojrzy czegoś nadzwyczajnego w tych perełkach turkusów lub dżetu.

Miał wszelkie cechy kobiety, połączone z niektórymi odcieniami, właściwymi jedynie mężczyźnie. Było to głównym jego czarem, urokiem, ta mieszanina podwójna i nieokreślona.

Wiedział o niej i, łaszac się, jak duża płowa

kotka, tyranizował matkę i nieszczęsną Tecię, której serce miało ciągle palpitacye pod połamanemi fiszbinami gorsetu.

I teraz, gdy zbliżył się ku niej, zwycięski i pachnący, ręce jęj dygotały, jak w febrze. Uczepiła się klapy palta i szyć zaczęła, pochylając nisko głowę... On patrzył na tę masę złocistą włosów, spiętą zręcznie na czubku głowy szpilkami z celluloidu. Bił z tych włosów odurzający zapach orzecha, jakaś woń młodości, pomimo anemii, widocznie trawiącej dziewczynę.

— Dlaczego się Tecia na mnie chmurzy? — zapytał szeptem, rozdmuchując swym oddechem krótkie kręcone włosy, pokrywające kark dziewczyny.

Ona wruszyła ramionami i szła dalej, nie mogąc znaleźć słowa odpowiedzi.

— Nie trzeba się na mnie gniewać!.. — szeptał znów Tadeusz z uśmiechem. — Tecia wie, że jestem zwykle rozdrażniony, gdy z balu powrócę... że mam „kociokwik”... A przytém nie trzeba bułek kłaść na kwiaty. Będzie o tém Tecia pamiętała?

— Będę!.. — odparła cichutko dziewczyna.

— To bardzo dobrze... a teraz... proszę podnieść główkę... i popatrzeć mi prosto w oczy...

Lecz dziewczyna ładnym chłopskim ruchem zakryła twarz spracowaną ręką.

— Proszę mi spojrzeć w oczy!.. — nalegał Tadeusz.

Tecia powoli oderwała rękę od twarzy i podniosła na Tadeusza swe olbrzymie czarne źrenice.

W tej samej chwili jednak poczuła na lewej skroni gorące usta młodego chłopaka.

Cofnęła się szybko, zmieszana, ciągnąc za sobą nitkę jedwabiu przymocowaną do palta.

Tadeusz tryumfował, śmiał się, podkręcając cienie wąsy.

-- Przestraszyłem... co?.. — pytał.

Ona, rumiana nagle, trzymała teraz oczy wlepione w ziemię. Nagle urwała nerwowo nitkę i wpięła igłę w kamizelkę.

— Gniewa się jeszcze Tecia?.. — pytał Tadeusz.

Lecz już w tej chwili wchodziła Wielohradzka, trzymając w ręce rogalik zawinięty w papier.

— Mam doskonały twarożek i masło majowe, świeże... — wymówiła nieśmiało — może nasmarować ci bułkę?.. Zjész z apetytem...

Tadeusz wzruszył ramionami.

— Co też mamcia wygaduje! — wyrzekł zgorzchny. — Do czego to byłoby podobne, gdybym jadł twaróg w obecności... tych panów!

— Mógłbyś wyjść na kurytarz...

— Naturalnie, żeby mnie woźni widzieli. Mamcia nie wie, jak u nas, w namiestnictwie, trzeba być ostrożnym, ażeby nie wpaść w śmieszność. Nie mam ochoty zostać takim pośmiewiskiem, jak Kafthan...

Wielohradzka wzruszyła ramionami.

— Co téż ty pleciesz!.. Kafthan to karykatura... widziałam go kilka razy u Jezuitów. Rozumiem, że się z niego śmieją...

— Tak! tak się to zdaje, ale paść na języczek któremu z tych panów, to człowiek zgubiony. *Enfin* niech mamcia da rogalik, bo idę do budy!

Wziął w rękę rogalik i ostrożnie wsuwał go do kieszeni.

— A cukier jest?

— Jest, włożyłam dwa kawałki.

— Dobrze!

Od pewnego czasu „ci panowie” wprowadzili w modę jedzenie na drugie śniadanie rogalików suchych i pogryzanie kawałkami cukru.

Naturalnie, Tazio musiał także jeść suche rogaliki i ssać cukier.

Wielohradzka, niezadowolona, kręciła głową.

— Mógłbyś wziąć choć plasterek szynki...

— Ależ nie! nie!

Zbliżył się do matki układnie i wziął ją za rękę.

— Mamuś!.. daj mi kilka papierków na papierosy.

— A twoja pensya?

— Fiu!.. na dachu — rękawiczki, krawat jedwabne skarpetki... cóż tam taka marna pensya!

Wielohradzka sięgnęła do kieszeni szlafroka.

— Masz pięć guldenów, tylko oszczędzaj! — prosiła.—Kropielnicki dziś przysyła po ratę.

— Po ratę... za co?

— Za twój frak czerwony. Nie pamiętasz?..

Tadeusz uderzył się w czoło.

— Ach!.. *si! si!* pamiętam teraz... myślałem tylko, że to już zapłacone od świętej pamięci... *Décidément* pamięć tracę!

Przejął ten wyraz francuski od Melunia Orlickiego i szafował nim wobec osób, które Melunia nie znały.

Schował pięć guldenów do pugilaresu, cmoknął matkę w ramię i obejrzał się po pokoju.

— Skoro wrócę do domu, ułożę bukiety i ordery w archiwum! — wyrzekł, idąc już ku drzwiom.

I nagle, wspaniałomyślnością zdjęty, szerokim, uprzejmym giestem tacę z bukietkami wskazał.

— Możecie panie wziąć sobie po jednym bukietku...—wyrzekł uprzejmie, lecz natychmiast dodał:

— Bierzcie tylko te, które mają podartą koronkę... całe proszę zostawić!..

Wysunął się do przedpokoju, zginął w ciemnej głębi i nagle ukazał się znów na progu, mrugając na matkę w tajemniczy sposób.

— Mamo!.. proszę mamy tu na chwileczkę!..

Wielohradzka wysunęła się z szelestem.

W przedpokoju Tadek ją za rękę złapał.

— Zostawiłem trzydzieści dwa ordery!.. wyszeptał — trzydzieści dwa!.. niech mamcia pamięta!..

Wielohradzka ramionami wzruszyła.

— Dobrze!.. będę pamiętała... ale dlaczego mi to mówisz? wiesz, iż nikt tam nie wchodzi, tylko ja i Teczka...

— Wiem, wiem... ale strzeżonego Pan Bóg strzeże! Trzydzieści dwa: gwizdawka, tamburyno, trąbka, flecik, uprząż, baletowa spódniczka, fałszywy nos, sześć szarf i rzepa w siatce... Wszystko policzone!.. A teraz idę!.. do widzenia mamci!..

Cmoknął ją w rękę i drzwi wejściowe otworzył.

— A prosiłbym wyprasować mi na dziś wieczór koszulę...

— Czy idziesz na bal?

— Och!.. na niewielką *kręciolkę* do Andrzejewiczów... nic szczególnego... mało osób z towarzystwa... Przyrzekłem prowadzić... muszę!.. Niech mamcia wyprasuje którą z tych dawnych, gładkich: tam się na modzie nie znają!..

— Dobrze... mógłbyś jednak wypocząć...

— Nie mogę!.. dałem słowo!.. *enfin décidément* uciekam!

I zbiegł ze wschodów jak huragan.

Wielohradzka wróciła do pokoju i, wzięwszy z tacy dwa pomięte bukietki, jeden z nich podała Teci, która teraz bardzo pilnie wyskubywała nitki z poprutej peleryny.

— Ma Teczka! — wyrzekła Wielohradzka — niech

Tecia sobie sceruje koronki manszetu i zasuszy fijołki, będzie miała Tecia ładną pamiątkę.

Tecia wzięła w rękę bukiet i machinalnie zaczęła palcem wiercić pomiędzy kwiatami.

Wielohradzka patrzyła na nią zdziwiona.

— Co tóż Tecia wyprawia? — zapytała surowo — czego Tecia szuka pomiędzy kwiatami?

Dziewczyna zarumieniła się gwałtownie i szybko położyła bukiet na oknie.

— Musiała znów Tecia czytać jakie romanse! — ciągnęła Wielohradzka, chowając swój bukiet do małej szkatułki — i zaraz się Teci wydaje, że w bukietach kryją się listy i jakieś tajemnicze przesyłki... Niech sobie Tecia to wybije z głowy... Pisarze komponują fakty, które z życiem nie mają nic wspólnego. Zresztą — domy, w których Tadzio bywa, są to najpierwsze domy w Galicyi, a panienki w nich są dobrze wychowane i nie mają nic wspólnego z heroinami powieści, któremi nas obecnie autorowie częstują...

Tecia milczała, pochyliwszy nad robotą swą złotwłosą głowę — złotą całą od promieni słońca, które wiosennym snopem przez okno wbiegało — a po ustach dziewczyny przemknął się cień smutnego uśmiechu.

Wielohradzka zabrała się do swych linijek, kółek i ołówków; Tecia wyskubywała wciąż nici pokłótemi igłą palcami.

Zaległa wielka cisza, tylko z oddali dolatywały siekące tony fortepianu.

Pięć tonów systematycznie biło powietrze, szło w górę i powracało jak koń, wprzagnięty w koło karuzeli.

II.

Wielohradzki wszedł w głąb kościoła, lecz cofnął się natychmiast, widząc, iż majowe nabożeństwo miało się ku końcowi.

Kłęcząc, tłum śpiewał ostatnie zwrotki. U ołtarza gaszono powoli świece. Błyszczał jednak jeszcze zdaleka ten ołtarz w bukiecie złotych światełek. Żółte światło oblewało pęki białych kwiatów, pośród których zielone liście kładły ciemne plamy.

Dokoła morze głów wypełniających szczelnie wnętrze kościoła. Jedynie tylko tu i owdzie sterczały chorągwie aksamitne, szycem dziane, i kołysały się popychane przez tłum, tłoczący się już ku wyjściu.

Wielohradzki zbiegł ze stopni kamiennych i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Zbici w gęstą gromadę, stali już tam mężczyźni, oczekując na wychodzący z kościoła tłum. Niektórzy czekali tu na żony, siostry, matki, które, zdjęte potrzebą duszy w to wiosenne popołudnie, w woni

kadzideł, kwiatów i płynących pod sklepienie hymnów, czyniły zadość swój czci ku Świętej Dziewicy.

Inni przychodzili dla zabicia czasu, dla ujrzenia dam z arystokracji, téj lub owéj głośniej z urody pani lub panny z mieszczańskiej sfery, lub poprostu z nałogu, z przyzwyczajenia, tak, jak szli o pewnej oznaczonej godzinie na Wały, do Jezuickiego ogrodu.

Stojąc na rogu ulicy, zbici w gęstą kolumnę obserwowali, często robili półgłosne uwagi, które dalej nieco odsunięta massa pospólstwa chwytiała, powtarzała, przerabiała według swoich pojęć i umysłowej potrzeby.

Lecz już po za ową massą sług, uliczników, bab i téj gawiedzi, która zdaje się rodzić z kamieni jak owi legendowi ludzie, rżały konie pojazdów i biły kopytami o bruk, niecierpliwiąc się w ciasnej przestrzeni placyku, na którym ekwipaże, ustawione w podwójnym szeregu, czekały na ukazanie się swych właścicieli w kamiennéj ramie drzwi głównych.

Liberye były przeważnie ciemnéj barwy. Konie także maści ciemnéj, zaprzęgi wytworne bez przeładowania stała, lokaje i stangreci o ponurych, bladych twarzach, wygolonych starannie i o regularnych rysach chłopów, rodem ze wschodniej części Galicyi.

Lokaje podchodzili teraz ku wschodom, wchodzili na nie, starając się wzrokiem odnaléźć swych chlebobadców, stangreci zbierali lejce, gotowali się do wyruszenia z miejsca. Tłum zaczął wylewać się już

na wschody i zasypywać chodniki. Był to jednak tłum szary i bezbarwny, kobiety ubogie w chustkach na głowie, małe dziewczynki ślizgające się w zbyt dużych trzewikach, sługi wypomadowane w perkalkowych kaftanikach.

Wielohradzki wsunął się pomiędzy grupę mężczyzn i stanął na stopniu, prowadzącym do sklepu nożownika. Oparł się plecami o futrynę drzwi i odziany w swe dość jasne nowe palto, w zgrabny brązowy kapelusz, przerastał innych mężczyzn o głowę, górując nad nimi, nie tylko wskutek podwyższenia, jakie zajmował, ale wskutek swego wzrostu, urody i białości cery, która w tym popołudniowym wiosennym oświetleniu nabiera tonów perłowej masy, grającej w promieniach słonecznych.

Wyężonym wzrokiem patrzył na drzwi, z których wysypywały się teraz postacie kobiece, czarno ubrane, skurczone, z czarnymi torbami na rękach, odzianych w niciane mitenki.

Stawały na stopniach, witały się, rozmawiały, czyniły sobie honory i grzeczności, czując się na tym krążanku jak u siebie. Niektóre z nich były bardzo małe i wątle, w sukniach zbyt długich, w kapeluszach zbyt wielkich, z torbami i książkami olbrzymiej wielkości. Inne zaś, wysokie i chude, miały suknie nadto krótkie, podniesione dziwacznie z boku i z przodu, małe mantylki, dostające za ledwie do łopatek, niewielkie kapelusze na czubku głowy i małe

książeczki w kościstych rękach. Dwie czy trzy szły tryumfalnie, niosąc z sobą koło krynoliny, która, jak balon, kołysała się dokoła ich wyschłych bioder. Gdyż wszystkie one — małe czy wysokie wzrostem — były chude, przerażające w tej chudości, o nosach i szczękach szpiczastych, policzkach zapadłych, ustach wązkich i bladych, poruszających się, jakby ciąglém żuciem do tego ruchu zmuszonych.

Wszystkie były podobne do siebie, smutne siostry bliźniacze, niemające w sobie czaru abnegacyi sióstr klasztornych, tak białych i wdzięcznych w obramowaniu czystém dziewiczych welonów.

Za nimi zaczęło się teraz wysuwać mieszczaństwo. Mężczyźni, stojący na rogu ulicy, ożywili się nagle i niektórzy zaczęli przybierać zwycięskie pozy.

Każda z kobiet wychodzących na światło dzienne miała ładny ruch nagle olśnionój blaskiem słonecznym gazelli.

Mieszczanki ubrane były zręcznie, szykownie; figury miały dobre, twarze uśmiechnięte. Całe aureole złotych i czarnych włosów wydobywały się z pod kapeluszy, trochę wyzywających, z egretkami piór i pękami wstążek po nad czołem. Młode panienki i młode kobiety nie różniły się strojem. Gdzieniedzie tylko dwa biece warkoczy opadały na cokolwiek zgarbione plecy pensyonarki.

Lecz wszystkie prostowały się, idąc śmiało i zgrabnie, dzwoniąc obcasami o kamienie wschodów, wie-

dząc, iż są obserwowane, krytykowane, uwielbiane i chwalone.

Doszedłszy do podnóża wschodów, zatrzymywały się jeszcze, papłąc, śmiejąc się, dzieląc się na grupy, rade, że żyją w tę wiosnę, która takim rozkosznym majem śmiała się dokoła.

Zatrzymywała je jeszcze chęć zobaczenia dam z arystokracji, które w swoich ławkach zamodlone oczekiwały, aż cała *foule* wyjdzie z kościoła. Te małe mieszczaneczki żywiły pewien kult, trochę zazdrosny, dla tych dam, odzianych tak skromnie, a jeżdżących wspaniałymi ekwipażami.

Mściły się, strojąc się według ostatniej mody, lecz za to mogły pozwolić sobie tylko na jednokonkę lub spacer pieszy. Często, mówiąc o „damach z towarzystwa”, wzruszały pogardliwie ramionami. „Adoptowały kostyum angielski pod pozorem szyku — mówiły — a to jedynie dlatego, że nie umieją się ubrać ani francuską ani wiedeńską modą!..”

Niemniej przeto były ciekawe i zatrzymywały się umyślnie na chodniku, aby być świadkami wsiadania dam do czekających na nie ekwipaży.

Wielohradzki zaczął się niecierpliwić.

Oczy bolały go od ciągłego patrzenia, pozycya nie należała do najwygodniejszych; nie mógł jednak zejść na ziemię: zniknie wówczas w tłumie, a na karteczce był przecież rozkaz „oczekiwania przy wyjściu”.

Nagle mężczyźni, którzy do tej chwili z dość bierną obojętnością przyjmowali pojawienie się koteryi mieszczańskiej, z obawy, aby jakaś uszczypliwa uwaga nie uraziła kogoś z blizkich obmawianej kobiety, zaczęli się nagle popychać, pragnąc docisnąć się po nad brzeg chodnika, który był granicą ich terytoryum.

W drzwiach zaczęły się pokazywać cienkie sylwetki panien, odzianych w ciemno-granatowe, ciemno-zielone, ciemno-bronzowe kostyumi, postaci matek w szarych lub czarnych płaszczach i młodych mężatek w zgrabnych kurtkach, o morowych wyłogach i długich zakietach. Jedna z nich miała nawet rodzaj palto-saka, spiętego z tyłu na patkę z sukna i schodziła tak powoli, mimo ohydneho worka, zgrabna, wdzięczna, pełna tej nieokreślonej „dezinwoltury”, którą mają wielkie damy, a która nie będąc arrogantką, graniczy z nią prawie, łagodząc subtelną linią to, co jest w arrogantki nazbyt brutalnego.

Powozy zaczęły podjeżdżać z turkotem. Lokaje biegali, rozwiewając fałdy swych paltotów liberyjnych. Damy oczekiwały na swe pojazdy, rozmawiając pomiędzy sobą cicho, bez gestów, bez śmiechu. Wszystkie były uczesane gładko, bez grzywek, z włosami doskonale wyszczotkowanemi.

Panienki miały po większej części męskie kołnierzyki, mankietki i filcowe kapelusze.

Rysy ich były regularne, ale nie znaczące, oczy bez wyrazu, jakby zgaszone nagle pochodnie.

Mężczyźni, stojący na chodniku, zaczęli wskazywać sobie niektóre wybitniejsze osobistości.

— Patrz! ta w granatowym żakiecie, to Muszka Chotkiewiczówna, a ta w zielonej sukni, to Muszka Birówna, a ta blondynka, taka czerwona na twarzy, to Muszka Zdatnicka.

— Cóż to wszystkie Muszki?

— A jakże!.. taka teraz u nich moda!

— A ta w jasnym żakiecie, która w tej chwili oddaje swoją książkę lokajowi?

— To Orzecka, z domu Charłupczanka.

— Ładna, bo ładna!..

— To też dlatego wziął ją Orzecki, bo Charłupkowie, oprócz tytułu, nie mieli ani centa...

— Charłupkowie to co? baronowie? hrabiowie?..

— Hrabiowie, idyoto!.. tu wszyscy w Galicyi są hrabiami.

— E! takie tam hrabstwo galicyjskie...

— Cicho! cicho!.. jeszcze jedna! aa! ta, proszę siadać... warta grzechu!

— To Muszka Dobrojowska!

— A!..

Środkiem wschodów szła teraz młoda dziewczyna dziwniej, niezwyklej piękności.

Wysokiego wzrostu, wysmukła, giętka, owinięta jasno-brązową wełną, idąc, miała ruchy odaliski dotującej się do tańca. Linie jej ciała nie były liniami posągu, lecz liniami ryciny mód z jakiegoś paryskie-

go żurnalu. Niezmiernie długi stan, silnie ściśnięty paskiem z brązowej skóry, szczupłe biodra, obciśnięte wybornie skrajaną spódnicą, szerokie ramiona, poszerzone jeszcze wolantami morowego, brązowego koletu, tworzyły całość przypominającą raczej jakieś smukłe ciało brązowo-złotej, o strzępiastych łapkach, gadziny.

Głowa, twarz — było to areydzioło sztuki, tak prześliczny był mahoniowy kolor włosów obfitych, skarbowanych i nad czołem falą gęstą podniesionych. Lecz już uszy były do połowy zakryte tą masą rudawo-brązową o złocistych, gorących połyskach. Cera twarzy była nadzwyczajnej białości, widocznie sztucznie wypielegnowana, usta drobne purpurowe, nos cokolwiek zadarty, lecz zgrabny i mały. Oczy szafirowe, niewielkie, lecz błyszczące silnie pod powiekami o błękitnym, zmęczonym odcieniu.

W obramowaniu tych włosów ciemno-rudych, łamiących się czerwonymi i złotymi skrętami, twarz ta blada, o ciężkich sinych powiekach, rzucała się gwałtownie w oczy. Wspaniały zarys czoła, niskiego i trochę zmysłowego, migotanie oczu, śliczny czysty ował — dopełniały wrażenia.

Zapięta była szczelnie pod szyję w swym wełnianym kostymie, który spowijał ją, odznaczając jej kształty, jak szata Westalki.

Muszka Dobrojowska do linii biustu miała wszel-

kie cechy panny z arystokracji, odzianej w angielski kostium krojem Redferna.

Lecz od biustu począwszy, wolanty koletu, podbite mieniącą się materyą, kołnierz, łamiący się na karku w fałdy, massa włosów, skarbowanych, przepiętych strzałą, na której świecił szmaragdami sadzony monogram, a zwłaszcza kapelusz z dwoma białymi skrzydłami Walkyryi, zwycięski i wyzywający, zbliżały tę śliczną dziewczynę do rycin francuskich dzienników, do tych sylwetek Guillaume'a lub Mars'a, do afiszów Chere'ta, na których rude smukłe lalki gną się węzowemi ruchami pomiędzy miękkimi liniami draperyi swych strojów. Wszystko było w niej sztuką, graniczącą z artyzmem, tak umiejętnie ślady sztuki zatarte były. Mahoniowego koloru włosy, ich lekka ondulacya, białosc przejrzysta cery, szerokość ramion i przedziwna cienkość kibici — rzucały się w oczy, lecz ciągnęły zarazem, wabiły, czarowały, nawet zazdrosne oczy kobiet.

Młoda dziewczyna schodziła powoli ze wschodów, oblana złotawą jasnością zachodzącego słońca. I wszystko mieniło się dokoła niej od gorących barw miedzi: włosy, podszewka koletu, wełna sukni, ręczka parasolki.

Jedynie tylko twarz bielila się zdaleka i czynila wrażenie tych płaskich twarzyczek z kości słoniowej, któremi japończycy inkrustują wachlarze.

Dokoła niej, dokoła téj pięknej lalki o zwycięskich

skrzydłach Walkyryi na miedzianym kasku włosów, zrobiła się nagle pustka, jakby kobiety inne, splezione jój nadzwyczajną pięknnością, nie śmiały się do niej zbliżyć, aby nadto na porównaniu nie tracić.

Hrabina Dobrojowska zatrzymała się u wejścia i rozmawiała z damami. Widać było tylko jój proste plecy, z których spadał *cache poussière* z popielatego jedwabiu.

Gdy Muszka ukazała się we drzwiach kościoła i powoli ze stopni schodzić zaczęła, tłum stojący na ulicy zaszemrał:

— Muszka! Muszka Dobrojowska!

Było to bowiem dziecko lwowskie, wyrosłe w alejach Strelnicy i ławkach jeznickiego kościoła. Znano ją dobrze, interesowano się nią od dzieciństwa. Dziś Lwów cały pysznił się jój niezwykłą urodą. Kraków miał kilka pięknych mieszczanek i jedną uroczą francuską księżnę, lecz Lwów za to posiadał... Muszkę Dobrojowską.

Muszka była obecnie jedną z ciekawości Lwowa. Mówiono cudzoziemcowi, który chciał odjeżdżać:

— A widziałeś pan Muszkę Dobrojowską?—nie? — to pan zostań jeszcze!..

Muszka wiedziała, iż była popularną. Znać to było po sposobie, w jaki owa lwowska *professional beauty* schodziła ze wschodów.

Szła powoli, jakby gotując się do tańca, jedno ramię odsunęła od ciała i wdzięcznym ruchem *Mer-*

veilleuse'y opierała się lekko na dość długiej parasolce o ciemnej gałce.

Za każdym krokiem tkanina sukni łamała się i jedwab podszewek szumiał jak rozrzucone liście jesienne. Muszka szła, patrząc napozór obojętnym wzrokiem na cisnące się dokoła niej tłumy. Z pod rzęs nawpół przymkniętych migotał szafir jój oczu i, patrząc na wszystkich, Muszka zdawała się nie widzieć nikogo.

Powóz zajechał, elegancki, wytwornie zaprzężony, z koźlem niskim, na którym stangret zdawał się zapadać w ziemię.

Hrabina zesła szybko ze wschodów, podnosząc wysoko suknię i ukazując tłumom batystową, haftowaną spódnicę i aksamitne buciki.

Lecz nikt nie patrzył na matkę; oczy wszystkich były zwrócone na córkę, która chłodna, obojętna, spokojna, wsiadała do powozu pierwsza i stanąwszy na dywanie, zaczęła układać brązową koldrę, którą odrzucono na przód powozu. Stojąc tak na podwyższeniu, przerastając cały tłum wysokością swój postaci, Muszka zatrzymała się chwilę, i nieruchoma, z rękami opuszczonemi, potoczyła wzrokiem dokoła.

Szafiry jój oczu ślizgały się z szybkością motyla po otaczających powóz postaciach i jedną sekundę zatrzymały się na grupie mężczyzn, nad którymi górował Wielohradzki.

Lecz w téj sanéj chwili, gdy Tadeusz podnosił

rękę do kapelusza, aby się uklonić, szafiry oczu Muszki cofnęły się pod przysłonięte szybko powieki i hrabianka szybko, zręcznie, ruchem wiewiórki, odwróciła się i, pochylając się ku matce, wsiadającej do powozu, podała jój rękę.

Wielohradzki pozostał z kapeluszem w ręce, z głową naprzód pochyloną, cały nagle oblany rumieńcem, czując śmieszność swego położenia. Tymczasem lokaj wskoczył na kozioł, powóz skoczył z miejsca i widać było tylko białe skrzydła na kapeluszu Muszki, miedzianej barwy włosy i rozsypujące się dokoła fałdy koletu, które wiatr w gzygzaki rozwiewał.

Muszka siedziała prosto, sztywno, na sposób wiedeński, oparłszy ręce na parasolce, którą trzymała w poprzek kolan.

Dobrojowska, przeciwnie, utonęła w poduszkach chowając ręce pod koc jedwabny o lśniącym włosie, który szczelnie nogi obu pań ciepłą draperyą fałd otulał.

Jakby jedynie na owo pojawienie się swój ulubienicy czekając, tłum szybko rozebodzić się zaczął. Niektórzy jeszcze opóźniali się, patrząc na potwornie szpetne córki jednego z dygnitarzy, wsiadające gęsiego do starój landary.

Wielohradzki stał wciąż, jak przykuty do miejsca, które obrał poprzednio. Nie śmiał się ruszyć po doznanym afroncie. Zdawało mu się, iż wszyscy wiedzą, że Muszka, kazawszy mu czekać na siebie przy

wyjściu, odwróciła się od niego w chwili, gdy on chciał się jęj uklonić. Pewny był, iż go widziała. Poczul dokładnie jęj wzrok na sobie. Dlaczego jednak odwróciła się od niego tak brutalnie? Po co mu przyjść kazała, skoro nie chciała nawet odpowiedzieć na jego daleki i niekompromitujący jęj ukłon?

Wielohradzki gryził wargi ze złości i szybko zaczął zdejmować rękawiczki. Jak każdy nerwowo chory człowiek, nie mógł znieść silnie przylegającej odzieży. Zwłaszcza rękawiczki drażniły go w szalony sposób. Włożył je dla Muszki, kupił nawet świeżo blade-orzechowe, tak bardzo liczył na ów ukłon, który zamierzał oddać długi, przeciągły, dziękczynny i mówiący wiele, jak pieśń bez słów.

Tymczasem—ukłon był fiaskiem, a *fiasco* to było niezrozumiałą zagadką.

Plac opustoszał powoli. Z kościoła wychodziły teraz kobiety, które lubiły i umiały się modlić, szwaczki, które przyszły pod koniec nabożeństwa.

Mężczyźni rozchodzili się także wolno, jakby z żalem, rozmawiając o wieczorném przedstawieniu i świeżych plotkach teatralnych.

Wielohradzki gotował się także do odejścia, gdy ze drzwi wyszła Tęcia w swym trykotowym staniku i zbyt krótkiej spódniczce. Schodząc ze wschodów, potknęła się niezgrabnie, lecz nikt na nią nie zważał, tak była nędzną i nie nieznaczącą. Zeszedłszy ze wschodów, przeszła ulicę i ujrzała Wielohradzkiego.

On spostrzegł ją także i, nagle potrzebą okrucieństwa zjęty, w chwili, gdy dziewczyna kłaniała mu się niezgrabnie, prześlizgnął się po niej wzrokiem, naśladując wzrok hrabianki, i odwrócił się tym samym wiewiórczym ruchem, jakim odwróciła się od niego Muszka Dobrojowska.

Lecz znalazł się nosem na szybie drzwi nożownika, który, biorąc go za wchodzącego klienta, drzwi szybko otworzył, chcąc ułatwić mu wejście do sklepu.

Rad nie rad, Wielohradzki wejść musiał i głosem wzburzonym zażądał pokazania angielskich scyzoryków.

Gdy kupiec rozkładał przed nim całą szufladę błyszczącą od stali, Wielohradzki przeklinał w duszy Tecię, przez którą do sklepu wejść musiał.

Powoli jednak ochłonął i zaczął szukać sposobu wykręcenia się od kupienia czegokolwiek.

— Widzę, że pan nie masz scyzoryków z Birmangh-Chaster — wyrzekł, nadrabiając minę — to najlepsza firma, kupiłem scyzoryk taki w Londynie przeszłego roku... był kolosalny!.. Zgubiłem go, a prawdopodobnie służba mi ukradła. Poszukam w innych sklepach... jeśli nie znajdę, sprowadzi mi pan... ale koniecznie „Birmangh-Chaster”.

Wziął za kapelusze i wyszedł ze sklepu, skrzypiąc butami, zadowolony na razie, że znalazł sposób wykręcenia się od kupna zbytecznego mu sprzętu.

Lecz na ulicy znów go ogarnęło rozdrażnienie i niepewność.

Być może, że popełnił czyn niewłaściwy, kłaniając się Muszce? Może należało stać nieruchomo i tylko oczyma dać jój do poznania, iż „życzenie jój było dla niego rozkazem”. Mając mało przygód podobnego rodzaju, nie znał przepisów obowiązujących mężczyznę, któremu kobieta naznacza podobne *rendez-vous*.

A gdyby nawet był jakiś kodeks w tym rodzaju, czyż podobna go zastosować wobec charakteru tak pełnego niespodziewanych zwrotów, jakim był charakter téj dziwacznej istoty?

Czyż raczej ona sama nie tworzyła osobnego swego własnego kodeksu, który zmieniała stosownie do potrzeby chwili?

Idąc ulicą ku domowi, Wielohradzki przechodził myślą wszystkie fazy swego do Muszki stosunku. Wyróżniała go nagle, podczas składkowego pikniku, gdy kotylion zapowiadał się z nadzwyczajną świetnością, i Wielohradzki, prowadzący tańce, zdawał się wahać z wyborem tancerki.

Dokoła szeptano o jakiejś koronie z róż białych i tuberoz, która miała uwieńczyć przy dźwiękach walca głowę królowej bału. Od Wielohradzkiego zależało prawdopodobnie kierować wyborem królowej. Stał we drzwiach hotelowej sali, w której się piknik odbywał, obramowany zielonemi fałdami go-

belinu, którym komitetowi starali się zręcznie zamaskować pospolitą futrynę drzwi. Stał i wodził dokoła wzrokiem pełnym powagi, gryził usta i zdawał się upadać pod ciężarem myśli. Lecz postać jego była kształtna, głowa śliczna, młodość aż olśniewała z téj postaci zdrowego, ładnego chłopaka. Przez pierś wypukłą czerwieniała wielka, wstęga nabijana srebrnymi gwiazdami, wstęga wodzireja (*conducteur de cotillon*), dziwaczna jeszcze i oczekująca na grad orderów i odznak, które zasypać ją miały deszczem złotych motyli.

I nagle Muszka iść ku niemu zaczęła, cała złota w swój gorąco-żółtej gazie, w kasku swych rudych włosów, śląc gońce szafiry swych oczów w błękitne źrenice chłopaka.

Szła powoli, swym tanecznym krokiem, rozwiewając dokoła gazę swój sukni, jak figurki, zdobiące florentyńskie wazy. Miała olbrzymie rękawy bufowane, pod któremi widać było jój ramiona, trochę chude i pokryte skórą o połyskach atlasu.

Idąc, uśmiechała się dziwnym, zagadkowym uśmiechem sfinksa, który rzuca w téj chwili śmiertelną zagadkę wybranemu przez siebie śmiałkowi.

Uśmiech ten migał po jój ustach, jak noże w rękach zonglera; igrał iskrząco, jak złote punkciki, błyszczące i znikające w skrętach jój olbrzymich włosów.

Gdy znalazła się przed Wielohradzkim, który, zdziwiony tém nagłym objawieniem się wyłącznego dla niego uśmiechu, stał, oczekując na jakiś fakt niezwykły, przewyższający banalność salonowego flirtu, miała w sobie tryumfalną pewność siebie, doskonale pięknej istoty, połączoną z nerwowością nagle zbudzonego kobiecego niepokoju.

Z uśmiechem tym samym, zagadkowym i zimnym, wysłuchała jego zaproszenia do kotyliona, do owego kotyliona, który chowała w głębi karnetu, od chwili przybycia na piknik; lecz już oczy jęj, błyszczące z pod długich, fryzowanych rzęs, ślizgały się niespokojnie po całej postaci wodzireja — ślizgały się, migotały, płonęły, cofały się w głąb i znów powracały.

Zdawało się, że po raz pierwszy widziała go tak dokładnie, tak dobrze, tak „*bien*”, w całym słowa tego znaczeniu.

Urodą, szykiem, elegancją strojnego motyla przewyższał wszystkich otaczających ją galicyjskich arystokratów.

Zaczęła się dziwić sobie, iż do téj chwili nie zwróciła na niego uwagi. Tańczyła z nim przecież chętnie, spotykała się z nim często, gdyż bywał prawie we wszystkich domach, w których i ona bywała, dopiero dziś dostrzegła jego piękność i tę jakąś błyskotliwość, która ją zawsze wabiła. Wszyscy męż-

czyżni gaśli przy nim i wydawali się jój *ternes*. Stanowczo ten flirt ciągnął ją ku sobie.

I przy końcu kotyliona, gdy wirowali pod baldachimem wstążek, trzymanyh wysoko przez olbrzymiego Stenia, oczy ich co chwila spotykały się, ręce szukały, usta podawały uśmiechy, które zakwitały nagle wśród warg purpurowych i gasły, jak gwiazdy spadające.

Wieczór ten dla Wielohradzkiego, nagle wyrwanego ze swego *métier* wodzireja patentowanego i uprzywilejowanego pomiędzy arystokracją lwowską, miał wielkie, doniosłe znaczenie.

Zwykle, cały wieczór zajęty jedynie prowadzeniem tańców, akcesoryami kotylionowemi, zgrzany, schrypięty, zmęczony, obarczony najuciążliwszą missyą, jaką na barki tancerza wkłada gospodyni domu, a przytém przejęty ważnością swój godności, pragnący jak mistrz baletu godnie zaprezentować swych tancerzy,—nie miał czasu na flirty, szepty, miłosną awanturki, nawiązywane w kątach cieplarni lub postronnych buduarów, pod zielonemi wachlarzami palm lub fałdami tkanin oryentalnych, spadających tęczowemi barwami ze złożonych dzid po nad miękkim aksamitem jedwabnych dywaników Muezina.

Na to trzeba było mieć więcej czasu. Wielohradzki myślał jedynie o udaniu się kotyliona i o rozpowszechnieniu Bostona, którego pierwszy na posadzkę salonów lwowskich wprowadził. Obecnie ten flirt

z Muszką — z piękną Muszką, Muszką *la Belle, l'Incomparable* — wprowadził go nagle w świat inny, w świat, który otaczał go dokoła, lecz do którego zajrzeć nie miał czasu, a może i odwagi.

Panna uczyniła pierwszy krok, i gdy szła tak ku niemu uśmiechnięta, cała złota, wiotka i piękna, zdało mu się, iż zbliża się nagle ku niemu zaczarowana kraina, pełna kuszących i rozkosznych obietnic.

Lecz była to jedynie... obietnica, nie więcej!

Muszka bowiem, zdjęta ową nagłą fantazyą, pociągnąwszy go ku sobie, prowadziła na nitce pajęczych kaprysów, nie dopowiadając nigdy swej woli, swęj chęci, cofając swe źrenice, myśli słowa, uśmiechy, które posyłała naprzód, jak gwiazda promienie, i zanim promień ten mógł dotknąć oczu, serca, uszu Wielohradzkiego, już znikał w pół drogi, rozplywając się we mgle chłodu i wielkopańskiej arrogancyi.

Wielohradzki postępował ostrożnie, nie awansując się, nie narzucając, czekając skinienia, gestu, zachęty, uśmiechu. Często czekał długo, nie przybierając wszakże postawy żebraka. Zrozumiał, iż rola jego powinna ograniczać się do „przyjmowania” tej niespodziewanej *bonne-fortune'y*, która spadła na niego w chwili, gdy orkiestra stroiła instrumenty do walca z „Miss Helyet”. Sam nie ośmielał występować z czemś od siebie, z jakąś własną inicjatywą, posuwającą naprzód ten flirt dziwaczny, tajemniczy, podobny raczej do jakiegoś początku skrywanego

przed ludźmi wiarołomnego romansu. Było w tej przygodzie coś nienaturalnego, przewrotnego, coś, co się czało kociemi ruchami i cofało się szybko w głąb źrenic hrabianki. Szczególniej Wielohradzki zauważył, iż Muszka pragnęła, aby nawet cień ich zbliżenia nie przekradł się do wiadomości ludzkiej. Wobec innych traktowała go z lodowatą obojętnością i tańcząc z nim, na czele korowodów kotylionowych, miała zawsze pozór zimnej statuy, obracanej w ramionach obojętnego jój manekina.

Lecz w chwili rozdawania orderów, bukietów, wstążek, w chwili najniespodziewańszej a tajemniczej, nerwowe uściśnienie ręki, półwzrok, półśmiech spadał nań nagle z szybkością jastrzębia. Zanim zdołał się opamiętać, odpowiedzieć, już Muszka odwracała się spokojna, wyniosła, mierząc go arrogantnym wzrokiem wykołysanej w impertynencyach dziewczyny.

Nigdy nie zdradziła się jednym wyrazem, nie rzuciła mu jednego słowa, które mogłoby rozjaśnić zagadkę jój postępowania. Zamieniali zwykle banalne słowa dotyczące się tańca. Po raz pierwszy wyszła ze swój rezerwy, rzucając mu ów bukiet. Zmieniła sama porządek figury kotylionowej, i dziś Wielohradzki przypominał sobie dokładnie rozkazujący wzrok, z jakim mu wskazała bukiet podawanych fijołków. On zaś — idiotycznie, mógł zgubić ową karteczkę i gdyby nie Teczka...

Złość go porwała na siebie, na Tecię, na Muszkę, na wszystkich...

Czuł, iż postąpił jak głupiec, kłaniając się hrabiance. Pewną ulgę przyniosło mu odemszczenie się na Teci, lecz niemniej przeto czuł policzek, jaki mu wymierzyła Muszka, odwracając się od niego w chwili jego ukłonu.

— Jeżeli do mnie jeszcze napisze — myślał, idąc wielkimi krokami po koszlawych chodnikach i dziurach asfaltu — nie pójdę!... Nie chcę widzieć jój pleców... mam już téj zabawki dosyć.

Niemniej przecież w głębi duszy przyznawał, że jest „wzięty”. Nie miał czasu, wcześniej rzucony na posadzki salonów, strawić się w atmosferze tanich miłostek. Rozdając całusy Teci, czuł się na seryo „wzięty” przez Muszkę i owo „wzięcie”, trwające od dwóch miesięcy, denerwowało go swą zagadkową i dziwną niepewnością.

— Nie pójdę już nigdy, skoro mnie wezwie! — zaręczał w duszy. — Wolę pójść do domu i dokończyć „Wołodyjowskiego”!

Po chodnikach snuły się tłumy.

Był to dzień wiosenny, jasny i przejrzysty, bladoliłowy od samego poranku, ku wieczorowi w ciemnię szafiru powoli przechodzący.

Wały zaczynały szumieć zielonością, a pod drzewami zaszumiała nagle fala kobiet, ubranych jasno, świątecznie, na cześć Wiosny, na cześć Mai o ziele-

nych warkoczach, białawo liliowym welonie nieba i oczach z gwiazd złotych utkanych.

Zielone warkocze Mai, i jasne suknie kobiet; aureole kapeluszy podlotków, i białe paltociki dziewczynek; tu i owdzie jaskrawa plama czerwonej parasolki, złagodzona łagodną barwą bławatków, fijołków, któremi przeważnie kobiety kapelusze swe tego roku przystrajać zaczęły.

I ciągle—wzdłuż chodników, koło szeroko otwartych drzwi sklepów i cukierni — fala sukien szumiących jedwabnemi spodami, całe słońca włosów złotych, kręconych ponad rozjaśnionemi czołami młodych dziewczyn...

Wielohradzki, włożywszy ręce w kieszenie palta, siedł, złożony usta jakby do gwizdania. Miał na twarzy wyraz gryzącej ironii i niewysłowionej pogardy. Żadna z tych kobiet nie interesowała go: przeciwnie, postaci ich uśmiechnięte, słońca ich włosów gniewały go i dręczyły.

— Gęsi!... myślał—gęsi mieszczańskie!... i czego to w domu nie siedzi? czego się to po ulicach włóczy?..

Mała odarta dziewczyna zabiegła mu drogę, podając bukiet liliowych sasaneł, sztucznie naśladowanych fijołki.

Odsunął ją końcem buta, rad, że może na kimś swój gniew wyrzucić.

Dziewczyna zemściła się, rzucając za nim cieniem głosiłkiem.

— *Sztucer!*... *)

Wielohradzki przejrzał się w szybie magazynu i ujrzał rzeczywiście „sztucera”. To go pocieszyło trochę, zwłaszcza, że właśnie przeszło мимо niego kilku ludzi źle ubranych. Jeden z nich miał spodnie prawie fioletowe! Wielohradzki wzruszył ramionami. Gdzie ten człowiek wynalazł podobne spodnie?

Nagle zamyslił się. Być może, iż w Paryżu lub Anglii ten kolor wszedł już w modę? Na strojach kobiecych fioletowa barwa przeważała. Wielohradzki ubierał się modą wiedeńską. Obejrzał się raz jeszcze za owym młodzieńcem o fioletowych spodniach, lecz tłum ludzi przyjął go pomiędzy siebie jak morze wpadającą rzekę. W każdym razie — myślał Wielohradzki — ten pan z pewnością nie nosi, tak jak ja, pończoch i angielskich podwiązek. To było widać po fatalnym układzie fałd sukna.

Lecz znów myślą powrócił do Muszki.

Jeżeli kazała czekać na siebie, musiała mieć w tém jakiś cel, choćby dla zobaczenia go, dla zamienienia z nim jednego spojrzenia. Dlaczego więc prześlizgnęła się po nim wzrokiem z taką lodowatą obojętnością? A może .. nie widziała go wcale?

Teraz już Wielohradzki nie był nawet pewnym czy hrabianka dostrzegła go wśród tłumu.

— Jeśli mnie zaraz nie odnalazła, czemuż nie

*) Sztucer — elegant w żargonie galicyjskim (*przyp. aut.*).

szukała wzrokiem? czemuż nie chciała mnie szukać? — Wrzucił ramionami i zaczął iść szybciej, stukając o asfalt obcasami.

— Niech ją tam! — zakonkludował — skończę tę głupią awanturę, zaczyna mi to jeść zdrowie i spokój odbiera... Nie mogę pracować... Od wczoraj czytam cztery kartki „Wołodjowskiego” i w żaden sposób nie mogę wymyślić jakiejś szykownej figury do kotyliona u Orzeckich.

I pełen najlepszych zamiarów dodał, wyciągając szyję, i jakby wietrząc w powietrzu projekt owęj „figury”:

„Zajmijmy się czemś seryo... dosyć tych głupstw bez sensu...”

Dochodził do domu i, spostrzegłszy to, zwolnił kroku. Myśl o zobaczeniu matki i Teci, o wejściu do téj ciemnej nory, która nazywała się „jego pokojem” — stała mu się poniekąd przykrą. Wychodził pełen dobrego humoru i w doskonałym usposobieniu; teraz nie miał odwagi wnieść swych nagle osowiałych nerwów w tę ubogą ciszę, przerywaną jedynie turkotem maszyny i zgrzytem nożyczek.

— Przejdę się jeszcze... — pomyślał, kierując się ku ogrodowi Jezuickiemu.

Lecz nagle z bramy kamienicy wysunęła się jakaś ciemno ubrana kobieta.

Była! bardzo brzydka i nad czołem jęj sterczała duża czarna grzywka, która formowała po nad jęj oczyma rodzaj daszka z czarnej ceraty.

Była ubrana w granatowy wełniany kostyum i kapelusz z piórem. Małe oczy latały przenikliwie wśród żółtej cery twarzy.

Ujrzawszy Wielohradzkiego, zbliżyła się szybko.

— Pan Wielohradzki? — spytała.

Tadeusz stanął i uchylił kapelusza.

— Tak... — odparł zdziwiony.

— Jestem panna służąca hrabianki Dobrojewskiej...

Wielohradzki nałożył kapelusz, lecz serce mu zaczęło kołatać tak szybko, iż musiał aż usta otworzyć dla nabrania oddechu.

— Hrabianka każe pana prosić, aby pan dziś był w teatrze!

Ukloniła się i szybko przyciskając łokcie do bioder, uciekła.

Ani na chwilę nie przebiegła przez umysł Wielohradzkiego myśl: nie pójść! Pełen nadziei wbiegł do bramy, wdrapał się na schody, cały zajęty myślą wydostania od „mamusy” trzech guldenów, potrzebnych na bilet i wynajęcie lornetki. Radośnie, wesoło zadzwonił i, wpadłszy do pokoju, od progu zawołał:

— Mamusiu złota! jedyna! królowo! herbaty, bo Tazio idzie do teatru!

Wielohradzka, szyjąca przy oknie, szybko podniosła głowę. Wiedziała, że gdy syn jęł zaczyna mówić

wić o sobie w trzeciej osobie, jest w doskonałym humorze i nerwy jego (o które tak bardzo się lękała) są najzupełniej uspokojone.

Żwawo więc powstała od stołu i, biegnąc do kuchni, zawołała:

— Samowar gotów!... odgrzeję tylko pierożki!

Tadeusz pobiegł do swego pokoju i zaczął myć się, czesać, perfumować. Zamyślił się długo nad pudełkami, w których leżały krawaty.

Wreszcie zawołał:

— Mamuchno!... chodź tu na chwileczkę!

Wielohradzka, trzymając w ręku patelnię, na którą wrzuciła już kawałek masła, weszła szybko do pokoju.

— O co ci chodzi? — spytała.

— Nie wiem sam, jaki krawat włożył do teatru... czy ten w ciapeczki? czy ten w podkówki? Jak mamcia myśli?

Wielohradzka postawiła patelnię na krześle i włożyła na nos binokle.

— Ja radzę ci w ciapeczki — wyrzekła — w podkowy strasznie obnoszone i teraz byle kto rzeczy sportowych się czepia!...

— Mameczka ma rację! — zdecydował Tadeusz — trzeba będzie krawat w podkowy darować stróżowi!...

I zaczął się ubierać, wciągać kamizelkę, lecz

teraz Wielohradzka nie odchodziła, tylko przez binokle przyglądała się z upodobaniem synowi.

— Wiesz, Tadziu!..: — wyrzekła nareszcie — zdaje mi się, że ty tego roku jeszcze urosłeś... Przerastasz mnie teraz o głowę, a przecież ja nie ułomek!

Prostowała się z pewną butą — blada, a mimo to bardzo ładna w tém obramowaniu siwych włosów. Szalone przywiązanie, jakie miała do swego jedynaka, zdobiło jęj rysy, a zwłaszcza wyraz ust, prześliczną i żywą młodością.

Tadzio nadstawił swą głowę wytartą wodą kolońską.

— Niech mamuś pocałuje swego urwisa — prosi dziecinnym głosem.

Wielohradzka kilkakrotnie, gorąco, szczerze ucałowała głowę syna.

— Ach! ty pieszczochu! — wymówiła z lekkim wzruszeniem w głosie.

Nagle zasyczało coś w kuchni.

— Jezu! coś się przypala!

Wielohradzka wybiegła z pokoju z szumem fałd swego szlafroka.

Teraz — Tadeusz był gotów.

Wonny, czysty, uśmiechnięty, wyglądał jak lalka wycięta z żurnalu.

Oglądając paznogie, wszedł do pokoju matki, która szybko nakrywała stół obrusem i ustawiała na nim przybory do herbaty.

— Ja pomogę!... — odezwał się Tadeusz.

— Nie! nie!—zaoponowała matka—możesz sobie powalać mankiety, a zresztą to babska robota!...

On, *bon prince*, uśmiechając się, usiadł do stołu. Zgarnął łyżeczką kożuszek z garnuszka ze śmietanką i połknął go jednym haustem.

Poczem obejrzał się dokoła.

— Gdzież to Tecia?

— Głowa ją boli... — odparła Wielohradzka. — Pozwoliłam jój chodzić na majowe nabożeństwo. Dziś wróciła z oczyma zaczerwienionymi i prosiła, aby jój pozwolić odejść do domu.

Tadeusz smarował ostrożnie cieniuchną kromeczkę chleba grubą powłoką masła.

— Jak ją mamcia jutro zobaczy—wyrzekł—to niech mamcia jój powie, że dlatego się jój dziś nie ukloniłem na ulicy, ponieważ jój nie poznałem... Dopiero, kiedy przeszła, domyśliłem się, że to ona.

Teraz, kiedy on był zadowolony, pragnął, aby inni byli także zadowoleni.

— Dobrze! — odparła Wielohradzka — choć to dziwne... nie poznać Teci...

— Mamcia wie, że mam wzrok krótki.

— Prawda!...

Westchnęła i podsunęła mu cały talerz odgrzewanych pierogów.

— Jedz... pierożki odgrzewane... wiem, że je lubisz!...

— Naturalnie!

Zabrał się do jedzenia, popijając herbatą.

Nagle Wielohradzka spytała:

— Znasz kanoniczkę Martel?

— Znam.

— To szkoda!

— Dlaczego? Czy chciała dać mamie robotę?

— Tak!... przez babkę Teci...

Wielohradzki podniósł szybko głowę.

— Niechże mamcia nie bierze!... — zawołał niepokojnie. — Kanoniczkę spotykam bardzo często, bywa na wszystkich wieczorach...

Wielohradzka uspokoiła go łagodnym gestem.

— Nie bój się... skoro tylko znasz tę panią, możesz być przekonany, iż nie przyjmę od niej roboty.

Umilkła na chwilę, poczem dodała:

— A jednak szkoda... podobno dobrze płaci...

— Mieszczanki także dobrze płacą! — podjął Tadeusz żywo — a mając pomiędzy nimi klientki, nie może mi mamcia zaszkodzić!...

Zjadł pierogi, otarł usta, zagryzł ciastkiem i powstał z krzesła.

— Idę, a skoro wrócę, opowiem mamci, co grali i jak panie na scenie były ubrane!... — wyrzekł, biorąc kapelusz.

Wielohradzka, przez chwilę zafrasowana, uśmiechnęła się wesoło.

— Może tam będzie jaki oryginalny szlafrok; uważaj dobrze... to mi go później narysujesz!

— Dobrze!...

Wziął ją za rękę i pocałował z przymileniem.

— A na bilet da mamusi Tadziovi? — zapytał.

Wielohradzka bez wahania sięgnęła ręką do kieszeni.

— Ileż ci trzeba?

— Trzy guldeny!...

— Aż tyle?

— Muszę iść na balkon pierwszego piętra... tam wszyscy z namiestnictwa chodzą... nie mogą być w kraszlach...

Podalała mu z pośpiechem żądane pieniądze, tak była rada widzieć go w tym dobrym humorze, który rozjaśniał jej smutne mieszkanie ciepłym, wiosennym promieniem.

Odprowadziła go na schody.

— Zapalę wieczorem lampkę i postawię na sohadach — wyrzekła, opierając się o poręcz — zawsze się boję, skoro powracasz tak późno i możesz się poślizgnąć!

On, już na niższym piętrze, podniósł głowę z uśmiechem.

— Mam zapalki!... — wyrzekł.

— Pewnie w pudełku!... — troszczyła się znów Wielohradzka — tyle razy cię prosiłam, ażebyś nosił w tym metalowym futeralku, który ci kupiłam. Je-

szcze kiedy zapalą się w twój kieszeni, a to fosfor... siarka... niech Bóg bronil!...

Lecz on już zbiegał ze schodów.

— Nie bój się, mamuś... do widzenia!...— wołał, posyłając jój pocałunki.

.

Z trudnością dostał Wielohradzki bilet do teatru. Dnia tego bowiem była wielka uczta artystyczna dla publiczności lwowskiej, jedna z tych uczt, które pozostaną pomnikami w repertuarze sceny skarbkowskiej.

Przybyło do Lwowa dwunastu studentów hiszpańskich, „*Estudiantina*”, *ma chère!* — jak mówiły damy, ciesząc się, iż posłyszają prawdziwy brzęk mandolin i zobaczą krucze włosy synów Andaluzji. Mandoliny te brzęczeć miały w antraktach „jakiejś” sztuki! Ach, Boże! o sztukę tu nie szło... ale *Estudiantina!* prawdziwa *Estudiantina!*...

I pełno było w łóżach gwaru, szelestu i śmiechu. Wachlarze powiewały, bo ten majowy karnawał przedwysięgowy upalny był i gorący, jak nigdy.

Gdy Wielohradzki wszedł na balkon pierwszego piętra, wszystkie miejsca oprócz kilku łóż parterowych i pierwszego piętra zajęte były przez publiczność. Kurtyna podniosła się powoli i ukazał się w jamie sceny kartonowy ogród z nadzwyczajnymi, bo rozpiętymi na siatkach dębami, łatanami kawał-

kami płótna. Na scenie stało dwanaście krzeseł giętych, pustych.

Wielohradzki przecisnął się do swego miejsca i zajął je, cokolwiek oszołomiony gorącym, zaduchem i oślepiającym blaskiem gazu, który bil płomieniami z brudnych kłoszów, umieszczonych tuż przed poręczą balkonu. Usiadłszy, starał się odzyskać równowagę, gdy usłyszał nagle nosowy, niski głos:

— Dobry wieczór!

Obok niego siedział Kafthan, urzędnik z namiestnictwa, rozrosły, silny mężczyzna, trzymający się pochyło, mówiący wolno, przeważnie rzeczownikami, i służący za pośmiewisko „panom z kasyna”.

Wielohradzki przywitał się z nim dość ozięble. Ogarnęła go złość, iż wypadek dał mu miejsce obok Kafthana. Bał się, aby „ci panowie” nie pomyśleli, iż on jest „dobrze” z Kafthanem. Śmieszności lękał się jak ognia. Zdawało mu się, iż samo sąsiedztwo Kafthana już na niego szyderstwo sprowadza. A widział ich dokładnie, rzucali się w oczy natychmiast każdemu wchodzącemu do sali teatralnej. Mieli swoją własną lożę kasynową, tak zwaną „końską”, i siedzieli w niej teraz dwoma rzędami, poddając pod światło gazu swe jasne twarze i nieposzlakowanej białości bieliznę.

Wbrew zapewnieniom niektórych powieściopisarzy nie była to rasa skarłala ani nędzna. Owszem — twarze tych ludzi były regularne, doskonale odży-

wione, ciała wybornie rozwinięte i utrzymane. Przeważnie rasa była szykowna, wielkopańska, trochę czasem mieszaniną parweniuszów lub ormian zepsuta. Gdzieniedzie migwały wielkie orle nosy lub duże kościste ręce, lecz przeważnie głowy były dziwnie kształtne i harmonijne — niektóre nawet zadziwiająco piękne, ramiona szerokie, ręce wązkie i ładnie pielęgnowane.

W pierwszym zaraz rzędzie, jak mumia, nagle do życia powołana, siedział Melunio Orlicki, wyczerpiiony, wyróżniony, w podwatowanym na ramionach *smockingu*, z różą świeżą w ustach. Siedział, mrugając oczyma, sztywny i wyprostowany pomiędzy tymi młodymi, którzy śmiali się zdaleka urodą, białością cery i zdrowiem. Wyglądał pomiędzy nimi jak plama atramentu. Lecz „końska łoża” nie mogła istnieć bez Melunia. Stary kawaler zajmował to miejsce od lat tylu. Chwilami zdawało się, że umrze na tém krześle, na którym jego twardy skielek wysiedział już jamę grobową.

Wielohradzki odwrócił się od Kafthana i z niepokojem ujrzał, iż krzesło obok niego pozostało niezajęte. Kto je zajmie?

Wielohradzki rzadko bywał w teatrze, ale zawsze dbał, aby być dobrze „otoczonym”. Tymczasem dziś rozkaz Muszki zmusił go do wzięcia niemal ostatniego biletu, jaki w kasie pozostał. Z najwyższém rozdrażnieniem dostrzegł, iż zbliża się do niezajętego

miejsca drugi urzędnik z namiestnictwa, Wojśa, młody ormianin, parweniusz, trzymany zdaleka przez „tych panów” i nie należący do kasyna.

Wojśa, niski krępy brunet, z twarzą wesołej papugi, usiadł, kiwając niedbale głową Wielohradzmu. I on widocznie nie rad był z sąsiedztwa Kafthana i Wielohradzkiego, gdyż wszyscy na tém targowisku próżności pogardzali jedni drugimi, pnąc się rozpaczliwie na szczeble, które w ich przekonaniu o tyle „wyżej” w ustroju społecznym postawione były.

Lecz już Kafthan wyjął afisz i rozkładać go zaczął, mrużąc:

— Estudiantina... o!... Pampillos, Madrillos, Ciquitos... granie... śpiewanie... o!...

Grubym palcem po afiszu wodził, wreszcie dodał:

— „Dom otwarty”...

Wielohradzki nieznacznie teraz po łóżach spoglądał, obiecując sobie nie ukłonić się nawet Muszce, skoro widocznie sobie tego nie życzyła. Miał zamiar tylko oczyma, wzrokiem dać jój poznać wiele... co? sam nie wiedział, tak dziwne uczucie było w jego sercu dla niéj olśniewającej dziewczyny. W każdym razie przygotował oczy melancholijne, głębokie, o ile jego wypukłe źrenice mogły mu na to pozwolić. Czuł jednak, że nie wygląda tak, jak tego pragnął. Kafthan psuł mu całą harmonię; zasłaniał go swem olbrzymiem ramieniem. Przytém ta plachta rozwieszzonego afisza, bielącego się na tle różowawej ballustra-

dy, była wprost śmieszna. Subtelnie banalny charakter Wielohradzkiego odczuwał te drobiazgi i truł się niemi fatalnie. Była to zawsze męka jego życia.

Muszka jeszcze nie przybyła. Spóźniała się tak zawsze i wszędzie, wchodząc ostatnia, wychodząc najpierwsza. Zjawiała się zawsze, gdy już przestano ją oczekiwać, i odchodziła, gdy jeszcze nie zdołano się na nią napatrzeć. Wielohradzki wiedział o tém, czekał, ale niemniej czuł pewną gorączkę, która mu ciągle wzrok do niezajętych łóż ciągnęła.

Nagle na pustą scenę wypadło dwunastu czarno ubranych mężczyzn, z których połowa była olbrzymiego wzrostu, a połowa dziwacznie mała. Jeden był tak otyły, iż włókł się na ostatku, śmieszny w swych trykotach czarnych i krótkiej kurteczce. Inny, malutki i chudy przerażająco, miał nogi jak dwie zapalki. Kostiumy ich były nędzne, welwetowe zrudziałe; twarze — pospolite, bez żadnych cech charakteru południowców.

Usiedli na krzeselkach, porwali za mandoliny i zaczęli brzęczeć jakieś melodye.

Nastąpiło rozczarowanie.

W łóżach wzruszano ramionami. „Estudiantina” zawiodła! Niemniej przeto las lornetek skierował się na scenę. Hiszpanie grali ciągle, zapatrzeni w struny swych mandolin. I już powoli oswajano się z nimi. Zaczęto nawet przyznawać, iż Pompillos jest interesujący a mały Madrillos bardzo zabawny. Lecz co

najwięcej zaciekałoby wszystkich, to łyżeczki, które studenci mieli zatknięte za kapelusze. Podawano sobie lornetki, aby lepiej te łyżeczki zobaczyć, i mówiono pocichu ich legendę. Brzęk mandolin tonął teraz w gwarze rozmowy. Kafthan palec ku scenie wyciągnął, mówiąc grobowym głosem:

— Łyżki! .

Nagle urwano rozmowę. Studenci, śpiewając, porwali się z krzesel, wrzeszczeli „*Olle!*”, zdjęli kapelusze i, usiadłszy napowrót, grać zaczęli. Publiczność zdziwiona umilkła. I siedziano tak w monotonnym brzęczeniu łaskotanych strun i duszącej powodzi płonącego gazu. Mandoliny dzwoniły z przerażającą jednostajnością. Powoli jednak brzęk ten usypiał i rozmarzać zaczął. Kobiety pierwsze umilkły i poddawały się tej siekającej kąpieli dziwacznego dźwięków. Kafthan zaś zadecydował półgłosem:

— Brzęczenie!...

Lecz Wielohradzki poczuł nagle szarpnięcie nerwów. Jedna z łóż pierwszego piętra zarojła się świeżo przybyłymi postaciami. Wszystkie lornetki skierowały się w tę stronę. Wielohradzki, mimo szalonego wysiłku woli, nie mógł nie pobiedz wzrokiem w tym kierunku.

Oparta o poręcz łoży, w narzuconym jeszcze na ramiona pluszowym płaszczu brązowym, poddając się chętnie pod ogień lornetek, spokojna, chłodna i nad wyraz piękna stała Muszka, nie patrząc na

scenę, nie patrząc na salę — patrząc a nie widząc, widząc a nie patrząc swemi szafirowemi źrenicami.

Powoli zsunęła z ramion płaszcz i usiadła na krześle, odwracając się plecami do balkonu, na którym się znajdował Wielohradzki. Obok niej zajęła miejsce druga piękność lwowska, Orzecka, z domu Charłupczanka.

Lornetki całej publiczności bezustannie teraz śledziły każde spojrzenie, każdy gest obu kobiet, a zwłaszcza Muszki, przy której bladła świeża i okrągła twarzyczka Orzeckiej.

Muszka ubrana była w suknię z aksamitu w dziwaczne tygrysie pręgi. Suknia ta niezmiernie szalenie przylegała do jej wysmukłego ciała i dawała jej wygląd dużej tresowanej tygrysicy. Rękawy olbrzymie z brązowego tiulu, naszytego mieniąciami się kamieniami, osłaniały niedokładnie morę obnażonych ramion. W rubinach i topazach grały całe snopy iskier. Z tygrysięj tkaniny wysuwały się przebłyśki delikatnego, jasnego ciała, bo i szyja cała prawie była obnażona i podniesione wysoko włosy odsłaniały kark, po którym wily się kręcone drobne, miedzianego koloru loczki.

I włosy te, zezesane wysoko, skręcone w ogromny węzeł przepięty rubinową strzałą, bramujące twarz bladą masą ciemno-rudych promieni, tworzyły kask tryumfatorski nad czołem tej dziewczyny, denerwującej swą urodą całą salę i pozostającą w tém ogół-

ném zdenerwowaniu chłodną, spokojną i pamiętającą o wykarminowanych wargach, o układzie ręki, o pięknej draperyi tworzącego tło płaszcza.

Estudiantina nagle brzęcząc przestała i hiszpanie, uciekli za kulisy, machając mandolinami. Frenetyczne oklaski zmusiły ich do ukazania się, poczem zapadła brudna i zniszczona płachta, nazwana kurtyną.

Kafthan palce w stronę Muszki wyciągnął.

— Dobrojowska! — wyrzekł. — Uroda, fomy, koieterya, malatura... o!...

Wielohradzki nie odpowiadał, znów niespokojny i podrażniony. Muszka nie spojrzała nawet na balkon, gdzie wiedziała, iż on musi się znajdować. Zresztą nie patrzyła zupełnie na salę i skoro tylko kurtyna zapadła, wstała powoli, rosnąc jak sosna, z aksamitu balustrady, i wsunęła się w głąb łoży, nie rzuciwszy nawet okiem po za siebie.

W teatrze tymczasem panował gwar i hałas nadzwyczajny. Orkiestra grała jakąś hałaśliwą polkę. W końskiej łoży pozostał tylko Melunio, wybijający takt futerałem od lornetki.

„Ci panowie” wchodzili teraz do łóż, witali się z damami i stojąc rozmawiali, wybuchając od czasu do czasu głośnym śmiechem.

Wielohradzki czuł się skrzepowanym. Nie miał śmiałości oddawania wizyt w łożach damom, w których domach bywał, a nawet prowadził tańce. Wie-

dział, iż na to potrzeba być kimś należącym do „towarzystwa”. On zaś, pomimo wszystkich pozorów, nim nie był.

Nie chciał również wyjść na kurytarz. Bał się, ażeby Kafthan nie chciał mu towarzyszyć. Te same pobudki skłaniały Wojnę do siedzenia w fotelu. Wojna bał się, aby Wielohradzki nie pragnął pokazać się w jego towarzystwie. Siedzieli więc wszyscy trzej kwaśni i niezadowoleni, patrząc na siebie z ukosa.

Wielohradzki bezustannie śledził łożę zajmowaną przez Muszkę i widział, jak Orzecka wstała i, szeliszcząc białą jedwabną suknią, zrobioną według mody z trzydziestego roku, poszła również w głąb łoży. Od czasu do czasu słyhać było tam wybuchy śmiechu Stania Pozbitowskiego i jego dziwaczny dyszkant, zimny i fałszywy.

Wielohradzki zaczął trawić się wewnątrz szalonym niezadowoleniem. Nie mógł otworzyć drzwi téj łoży i wejść tak, jak inni. Na samą myśl tego salonowego zuchwalstwa drętwiał cały. Narazilby się na śmieszność. Czuł to, wiedział, i to właśnie przeświadczenie sprawiało mu ból dojmujący.

Pocieszał się myślą, iż on jeden właśnie jest połączony z Muszką tą tajemną siecią, która go ciągnie za nią jak cień, siecią plątaną przez samą Muszkę i z jój własnej woli. Była to słaba i platoniczna pociecha. Dawало mu to mało radości, nic pra-

wie, a zaczynało rwać mu już na strzępki dawną egzystencję.

Antrakt miał się ku końcowi. Końska łoża wypełniła się znowu i publiczność wracała powoli na swoje miejsca. Kobiety zajmowały brzegi łóż, i nagle zrobiło się w teatrze jasno, biało, różowo, złoto, błękitno, od jasnych barw i twarzy otoczonych aureolami włosów o złotych połyskach. Wachlarze zagrały ponownie, niektóre były tak barwne i delikatne, jak skrzydła motyle. Jakaś chórzystka na trzecim piętrze miała wielki wachlarz japoński z purpurowego papieru. Zdaleka rzucał się w oczy jaskrawą plamą, zwłaszcza w tym białawym pyłe, który teraz powoli zaczynał wypełniać teatralną salę.

Muszka powróciła za dawne miejsce. Napróżno Wielohradzki wysunął się na przód balkonu i sterro-ryzowawszy Kafthana, ręce wdzięcznie na balustradzie ułożył. Muszka usiadła, nie spojrzawszy nawet w tę stronę. Po za nią zjawił się Stanio Pozbitowski. Orzecka pozostała jeszcze w głębi łoży.

Podniosła się kurtyna.

Grano „Dom otwarty” Bałuckiego.

Wielohradzki nie znał téj komedyi. Bywał w teatrze rzadko, nie mając ku temu środków. Pierwsze sceny nie uczyniły na nim wrażenia. Patrzył wciąż na plecy i na kark Muszki. Obok widział ciemne, silnie

przyglądzone włosy Stania i jego regularny, nie nie znaczący profil.

Nagle — na scenę wszedł Fikalski.

Wielohradzki zaczął mimowoli zwracać uwagę na tę postać. Kafthan aż trząsał się ze śmiechu. Wciąż czegoś w afiszu szukał. Chodziło mu o dowiedzenie się, jakie imię chrzestne miał Fikalski. Wielohradzki zmusił go do milczenia. Szelest papieru zaczął zwracać uwagę publiczności, a w tej chwili więcej niż kiedykolwiek Wielohradzki nie chciał, aby się nim zajmowano. Ten Fatalny Fikalski ze swym wodzi-rejostwem, z owym karnetem, w którym wpisane były wieczory i bale zajęte i zamówione naprzód przez Salomějki, Pieprzykiewiczów i inne tańczące osobistości, miał dużo analogii z sytuacją społeczną Wielohradzkiego. Tadeusz odczuł to i w jednej chwili zrozumiał. W stanie nerwowego rozdrażnienia, w jakim się znajdował, nadszulość jego wzrosła do potęgi. Cofnął się w głąb swego fotelu i gryzł gwałtownie wargi. Miał ochotę wypoliczkować, nie tylko Kafthana, który śmiał się konwulsyjnie, ale i Wojsę, który nie śmiał się wcale, i całą publiczność, która zdawała się z najwyższym zajęciem śledzić ową postać Fikalskiego.

— A rozmiary sali? — pytał na scenie Fikalski.

Wielohradzki patrzył teraz ukosem na Muszkę. Trzymała przy oczach aluminiową lornetkę, osadzoną na dłuższej ręczce, i patrzyła na scenę. Stanio Po-

zbitowski coś opowiadał i chichotał się cicho, wtórowała mu Orzecka, która już wróciła na przód łoży. Wielohradzki cierpiał męki Tantała. Był przekonany, że ci ludzie muszą mówić o nim i czynić porównanie pomiędzy Fikalskim scenicznym i ich „nawrotnym wodzirejem”, jak czasem żartobliwie nazywano Wielohradzkiego. Rad był teraz z sąsiedztwa Kafthana, który [go swemi wielkimi plecami krył i zasuwiał w cień. Z „końskiej łoży” skierowały się na balkon dwie lornetki. Wielohradzki, błądzą z gniewu, przysiągł sobie w tej chwili nie prowadzić więcej tańców. Muszka śmiała się teraz wraz z całą publicznością z krygów aktora grającego Fikalskiego. Wielohradzki zapytywał siebie: „Czy Muszka znała sztukę i czy nie umyślnie sprowadziła go do teatru, aby go ośmieszyć?”

Nareszcie kurtyna zapadła. Wielohradzki chciał wstać i uciec z teatru, lecz prawie nikt z publiczności nie ruszał się z miejsca. Natomiast dostrzegł, iż Pozbitowski daje mu jakieś znaki i wywołuje go na kurytarz. Wielohradzki odął usta i, przymrużywszy oczy, patrzył na Stania z pewnego rodzaju arrogancją. Mścił się, jak mógł i umiał. Wreszcie Stanio, zamieniwszy kilka słów z Muszką, wyszedł z łoży i w kilka chwil ukazał się we drzwiach balkonowych. Śpiesznie powstał z miejsca Wojśa i Kafthan, pragnąc przywitać się z młodym „kasynowcem”. Lecz on minął ich, kiwnąwszy im obojętnie głową, i ku

Wielohradzkiemu zmierzał. Krzesło po za Tadeuszem właśnie opustoszało. Stanio zajął je i ku Wielohradzkiemu się pochylił.

— Jak się masz!...

Wielohradzki kwaśno odparł:

— Dobrze! cóż to?... masz do mnie jakiś interes?

— Tak!... chciałbym, ażebyś w przyszłym antrakcie wyszedł na kurytarz.

Wielohradzki w téj chwili wyobraził sobie, że to Muszka wydelegowała Stania. Uznał za stosowne podrożyć się.

— Nie wiem!... prawdopodobnie wyjdę zupełnie z teatru po Estudiantinie... nudzę się!...

Mówiąc to, odwracał się plecami do Wojsy, który teraz stał się uśmiechnięty, odwrócony twarzą ku Staniowi, czekając dobrego słowa ze strony młodego arystokraty.

Za kurtyną zaczęły brzęczeć mandoliny.

Stanio powstał z miejsca i z jedną ręką w kieszeni od spodni kierował się ku wyjściu.

Miał maniere dziwaczne, nawpół rubaszne, nawpół dystyngowane, i chwilami robił wrażenie stajennego parobka, przebranego w wykwintną odzież.

— W każdym razie liczę na ciebie... po Estudiantinie wyjdź na kurytarz... będę czekał... — wyrzekł, przechylając się przez poręcz ku Wielohradzkiemu.

— *Enfin*, skoro ci tak o to chodzi!... — wycedził przez zęby wodzirej.

Mówili sobie *ty*, gdyż pięć lat przesiadzieli w gimnazyum na jednej ławce i razem zdali maturę. Później, spotykając się ciągle w salonach, pozostali na stopie pewnej poufałości.

Stanio odszedł i Wielohradzki używał teraz w pełni rozkoszy zadowolenia, wynikającego z pogniębienia Wojsy i Kafthana. Stanio zajmował pewne wybitne stanowisko pomiędzy złotą młodzieżą, był silnie protegowany w namiestnictwie i, przeskakując awanse, miał już miejsce c. k. komisarza. Przytem majątek wielki, dwie siostry wspaniałe za mąż do Wiednia wydane i pewna umiejętność noszenia nazwiska. Wszystko to imponowało Wojsie i Kafthanowi.

Wielohradzki uczył się trochę pokrzepiony na duchu. Wizyta Stania, to wywołanie go konieczne na kurytarz, pochodzące prawdopodobnie z inicjatywy Muszki, wzdęło pierś jego pewną dumą. Zepchnął więc znów łokieć Kafthana z balustrady i wysunął się naprzód, pod oświetlenie płonącego gazu. Muszka nie odwróciła się nawet, ale Wielohradzki nie czuł się tém dotknięty.

Czekał cierpliwie antraktu. Bawił się lornetką i od czasu do czasu oglądał paznogie. Wojsa zagadał do niego, pokazując mu w łoży drugiego piętra siedzące aktorki. Lecz on wzruszył tylko ramionami z pogardą

i rzucił bystre spojrzenie na tygrysie plecy Muszki. Na scenie studenci hispańscy brzęczeli znów na mandolinach, zrywali się, krzyczeli *olle!*... i siadali z impetem na krzesłach. Za nimi chwiały się papierowe dęby, rozpięte na polatanych siatkach. Z jednej kulisy widać było wypomadowaną głowę jakiegoś sługi, która się wysuwała z krzaka nadzwyczajnych róż i patrzyła na hiszpanów wylupiającymi oczyma.

Nagle jeden z hiszpanów podniósł się i zaczął tańczyć, bijąc się tamburynem po karku, po nosie, po głowie, po udach, po kolanach, po piętach... Szarpał się, rzucał, jakby zdjęty epileptyczną drgawką. Publiczność śmiać się zaczęła i bić frenetyczne brawo.

Piękno przemawia zawsze do dusz ludzkich...

Hiszpan wierzgał, rzucał się, tamburyno dzwoniło, mandoliny brzęczały. Nagle wszystko ucichło, hiszpanie uciekli, kurtyna zapadła. Antrakt się rozpoczął. Wiołohradzki powstał i umyślnie nie śpiesząc się, powoli, wysunął się z balkonu.

Gdy wychodził na kurytarz, serce mu biło gwałtownie. Stanio już stał pod ścianą, tuż obok kołków z paltami, lecz nie był sam. Kilku kasynowców otaczało go. Zobaczywszy Wiołohradzkiego, zbliżyli się ku niemu. Szybko Stanio wyłożył mu rzecz całą. Kasyno ma zamiar wydać piknik, chcąc odwdziżyć się za karnawałowe przyjęcia. Hrabia Dezydery daje do dyspozycji swoje apartamenty. *Enfin*, będzie to

bał w całym słowa tego znaczeniu. Chodzi teraz o to, aby Wielohradzki przyjął prowadzenie tańców i zajął się przyborami do kotyliona. Trzeba wymyślić jakieś figury, dekoracje, *enfin*, urozmaicić i uświetnić zabawę...

Otaczali go teraz dokoła wytworni, grzeczni, mówiący pomału i dobrze, zaokrąglonemi frazesami. Biła od nich jedynie woń doskonałej wody kolońskiej, i to użytą w niezmiernie dyskretnej dozie. !

Wielohradzki, oszołomiony, porwany swoją mianą, upomniał już o Fikalskim i o swoich postanowieniach.

— A rozmiary sali? — zapytał, marszcząc brwi i gryząc usta.

Stanio mu coś odpowiedział, lecz on nie dosłyszał jego odpowiedzi, tak go przed chwilą wypowiedziane przez niego samego słowa niemile targnęły.

Mimowoli powtórzył frazes Fikalskiego. Spojrzał na stojących dokoła mężczyzn, sądząc, iż spotka się z ironicznymi uśmiechami, źle ukrywanymi pod maską chłodnej grzeczności. Lecz oni zdawali się nie spostrzegać jego zakłopotania. Jeden tylko hrabia Charłupko, brat pięknej Orzeckiej, duży rozłosły blondyn o olbrzymich cygańskich żrenicach, patrzył z góry na Wielohradzkiego i zdawał się przeżuwać jakieś szyderstwo w złotych kędziorach swój brody.

Wielohradzki próbował oponować.

— Dlaczegoż ja?... — pytał niepewnym głosem —

dłaczego nie kto inny?.. wiercie mi, jestem zmęczony!.. Zresztą *c'est une corvée!*.

— Wiemy, wiemy! . ale nie możesz nam odmówić tój grzeczności.

Wielohradzki wobec tych rasowców, tak doskonale wychowanych i ułożonych, głoszących swój dobrobyt każdym ruchem, przejrzystością cery, krojem odzieży, nie śmiał nawet wyciągnąć postaci Fikalskiego — trywialnej lalki mieszczańskiej — zastawić się nią dla usprawiedliwienia swego wahania.

Rzucił jednak z nieśmiałym uśmiechem:

— Cóż więc?.. mam już tak na całe życie pozostać waszym... Fikalskim?

Lecz ci panowie zagłuszyli go protestacyami.

— Cóż znowu?.. oni poprostu proszą go o oddanie im najwyższej przysługi, wzięcia na siebie najważniejszej części balu. Zresztą, tu niema porównań, to śmieszne, jakże można nawet mówić o Fikalskim z powodu ich prośby...

Wielohradzki, podbity, ujęty, uśmiechał się głupkowato.

— Zresztą .. *mon cher* — wyrzekł Stanio, ujmując go uprzejmie pod ramię — musimy przecież wszyscy rozebrać pomiędzy sobą ciężar pracy, który z urządzaniem tego balu na nas spada. Ja zajmuję się dekoracją salonów, Charłupko winami, Bodrowski kolacją, Dezydery usługą — słusznie, że ty tak

że z nami ten trud podzielisz. *Entre nous*, musi być zupełna równość pod względem pracy, inaczej...

Nie dokończył zdania, lecz owo *entre nous* podbiło do reszty Wielohradzkiego. Tak Stanio, miał słuszność. Należało, aby każdy pracował wedle sił swoich i zdolności. Rozjaśniony już i rozweselony, przyrzekł wynaléźć nowe figury kotyliona. Prosił tylko o kilka dni czasu i *crédit illimité*. Przyznano mu ów kredyt jednomyślnie, zastrzegając wszakże, aby nie chciał rozdawać damom dyademów sadzonych perłami i szafirami. Wielohradzki protestował... cóż znowu! wystarczy kilkadziesiąt łokci gazy, tyłéż kaszmiru i pomoc teatralnego dekoratora.

Ożywiał się i uśmiechał tajemniczo. Widząc jednak, że Charłupko, który w téj całej grupie uchodził za filozofa (czytywał w biurze Platona), patrzy na niego ironicznie, pożegnał się i powrócił na balkon. Wchodząc, prostował się dumnie i oczyma po sali wodził.

Łoża zajmowana przez Muszkę i Orzecką była pusta. Wielohradzki wychylił się i dostrzegł, że bukiety Muszki, lornetki, płaszcze — wszystko znikło. Obie kobiety wyszły i odjechały na raut do księżnej Malenżyny. Tak przynajmniej zapewnił go Kaftan, który zaszedł na chwilę do „końskiej loży” i nasłuchiwał się plotek robionych w głębi przez całą paczkę starszych członków kasyna. Jeden tylko Me-

lunio, prosty, sztywny, ufarbowany, sterczał ciągle na swém krześle jak drogowskaz na pobojo-wisku.

Wielohradzki cofnął się w głąb i ze drzwi wejściowych patrzył na scenę. Rozpoczął się akt drugi — Fikalski wprowadził swoją galeryę „froterów” — Wielohradzki ramionami ruszał. Może tam gdzieś u małych mieszczan zdarzają się takie typy Fikal-skich, on jednak figur podobnych nie znał.. Mimowoli prostował się, tors wydymał i przybierał ironiczny wyraz twarzy Charlupki. Obok niego stojąca bileterka, stara Matulowa, podobna do jakiegś poczciwej szewcowej w swój beżowej szarzej sukni, czuła się sterroryzowaną pogardliwemi minami tego „młodego pana”.

Niesmak Wielohradzkiego wzrósł do potęgi, gdy weszła na scenę Ciuciumkiewiczowa ze swemi czterema córkami. Jedna z nich łudzaco przypominała mu Tecię. Ten sam jersey czerwony z białą „kami-zelką”, spódnica, poddarta z przodu i wlokąca się z tyłu, ta sama krédowa bladeść twarzy i szeroko otwarte wielkie czarne oczy.

Wspomnienie téj dziewczyny łączyło się u niego z przypomnieniem smutnej i tajemniczej egzystencji, jaką pędził w domu. Mimowoli wzrokiem pogonił w stronę łoży, w której niedawno jeszcze siedziała Muszka. W téj pustej przestrzeni jednak pozostało

jój widmo strojne, piękne, powabne i tak chłodem swym i spokojem ciągnące. Nagle Fikalski za sceną przeraźliwie zaczął:

— *Grrrrrrrande chaîne!*.

Wielohradzki oddał Matulowój lornetkę i uciekł z teatru.

III.

Nie był to wszakże zły charakter, ani serce w nim nie przeszło w stan znieczulenia. Owszem — miał serce i dość łatwe do sentymentu, a nawet do romantyczności. Lecz nazwisko, które nosił, dawne mienie stracone przez dziada, a do reszty zaprzepaszczone przez ojca, było pierwszym fałszywym motorem jego postępowania. Nazwisko to brzmiało ładnie, pełno, szlachecko i domagało się nawet tytułu hrabiowskiego — przydomka bodaj krótkiego, trochę rycerskiego, przypominającego topory na purpurowém polu, ręce z mieczami na lazurze obramowanym grostajami paludamentu.

I historia to była banalna napozór, to spadnięcie na bruk Lwowa téj wdowy po „obywatelu” z ładnym, zgrabnym chłopięciem. Z resztek wydartej od ostatecznego оголошення fortuny zaczęło się łatanie edukacji Tadzia, edukacji bez żadnego nakreślonego planu, ani z góry obmyślonego projektu.

Wielohradzka wiedziała, iż należy dziecko „dobrze wychowywać” i „wysztalcić” — a więc gimnazjum — gimnazjum bezmundurowe, pełne pretensyi do elegancyi małych gogusiów, zaprawiających się na ławkach szkolnych do objęcia później roli „sztucców”, „kibiców” i „gigerłów”. Wielohradzka ubierała syna swego dobrze, strojnie, czysto, zdejmując zeń tę wykwintną odzież, gdy tylko wszedł na próg domu, czyszcząc, cerując, łątając nocami całami. Chłopak, tak ubrany i noszący takie nazwisko, nie mógł przestawać z kolegami, noszącymi czapki z daszkiem i długie buty, lecz ciągnął, pchany instynktem i radami matki, ku Staniom Pozbitowskiem, Charlupkom, ksiądzom Malengom, zajmującym pierwsze dwie ławki w klasie. Chłopcy ci uczyli się dobrze, siedzieli cicho, nie krajali pulpitych scyzorykami i mieli czyste ręce z dobrze obciętemi paznogciami. Nie grali w „stalki”, nie kradli książek, nie chowali żab i kokonów w głębi pulpitych i nie brali udziału w ordynarnych farsach, urządzanych profesorom.

Tadeusz, który miał charakter kobiecy, spokojny na pozór i lubiący czystość, porządek i piękno, szybko zbliżył się ku „tym z arystokracji”. Przyjęli go uprzejmie ze względu na nazwisko i piękne maniery. Tadek instynktem odgadł i zrozumiał różnicę, jaka była pomiędzy nim i temi dziećmi.

Właśnie wówczas Wielohradzka, widząc, iż szczupły jój kapitał wyczerpuje się zupełnie, zabrała się

do krawieczyny, starając się znaleźć sobie w tajemnicy kilka pewnych klientek, nieznających się pomiędzy sobą i nienależących do „towarzystwa”. Urodzona bowiem z bardzo rasowej rodziny, nie chciała, aby ktokolwiek wiedział o jój poszukiwaniu zarobku, wiedziona tym fałszywym wstydem, który był częścią jój charakteru.

Ten wstyd pracy powoli przeszczepił się i w duszę Tadeusza. Widząc, iż matka kryje się ze swą krawieczyną, nawet przed sąsiadami i osobami zamieszkującymi tę samą, co i oni, kamienicę, zaczął i on wstydzić się téj pracy. Z początku nigdy w szkołach nie mówił o swym domu. Później kłamał, podniecony tém, co słyszał z ust Charlupki, Pozbitowskiego i innych. Chłopcy ci mówili pomiędzy sobą o swych domowych stosunkach z wielką swobodą. Znali się pomiędzy sobą od dziecka i należeli do téj samej sfery towarzystwa. Wielohradzki sprytnie pochwytał niektóre szczegóły i z nich zlepił i sztucznie budował dom fikcyjny, w którym niby to przebywał. Ci i drudzy, widząc go zawsze odzianym tak starannie, ułożonym dobrze, nie troszczyli się o resztę.

Co więcj, Wielohradzki imponował im często pieniędzmi, które matka dawała mu na „drobne wydatki”. Była to jedyna wyższość, jaką miał nad swymi przyjaciółmi. Nadużywał więc jój, wyludzając od matki znaczne (jak dla dziecka) summy.

Gdy skończył gimnazjum i zdał maturę, Wielo-

hradzka poradziła mu uczęszczać na... prawo, gdyż prawo według niej było o wiele dystyngowawsze niż medycyna. Lecz prędko dawnymi stosunkami zdołała wkręcić go do namiestnictwa. Była to według niej... karyera. Rzecz pewna, awanse—starostwa... kto wie, przy sprycie, powierzchowności i stosunkach, gdzie zajść można!.. I roila już całe niebo doskonałości dla swego jedynaka. Zachęcała go całą siłą do uprawiania dalej zawiązanych w gimnazjum stosunków. Wprowadziła się na ulicę zamieszkaną „dobrze”, aby Wielohradzki mógł dać swój adres bez zarumienienia się. Nie przyjmowali jednak u siebie nikogo, zostawiając się jój nieuleczalną i ciężką chorobą. Dniami i nocami szyla teraz, potrzebując wiele ze względu na wydatki, jakie pociągało „bywanie w świecie” Tadeusza. Lecz owo „bywanie” stanowiło dla niej wielką pociechę. Według niej — stosunki! stosunki!.. to była podstawa karyery Tadeusza.

Skoro Wielohradzki wyrobił sobie owe stanowisko wodzireja i zaczął być rozchwytywanym w salonach, ze względu na prawdziwie genialne zdolności w manewrowaniu tańcami; Wielohradzka nie posiadała się z radości. Bez najmniejszej logiki, bez chwili zastanowienia się, cieszyła się z owych „stosunków”, jakie syn jój wyrobi sobie, prowadząc mazury i kotyliony przy dźwiękach orkiestry. Dziwiła się tylko, że awansował powoli. Dlaczego? —

przypisywała to brakowi jeszcze odpowiednich stosunków, lecz pocieszała się, iż to przyjdzie.

Tymczasem Tadeusz, w otoczeniu, w jakim przebywał, powoli wyrobił się na zgrabną lalkę, doskonale wygimnastykowaną, mającą pewien gust artystyczny w aranżowaniu tańców i poetyzowaniu figur kotylionowych. Próżność jego wzrosła, mózg przestał się rozwijać. Lecz próżność ta rozwijała się tylko w podwójnym kierunku, a mianowicie: w noszeniu wykwintnej odzieży i w królowaniu tanecznym podczas balów, a nawet najzwyczajszych „kręciołek”, na których boston zastępował kotyliona. Szło mu usilnie o zdobycie jaknajwiększej ilości orderów, lecz nie dbał, czyje ręce mu ten order przypinały. Kobiety w sali balowej istniały dla niego o tyle, o ile istnieją pionki, posuwane wprawna ręką gracza na kwadratach szachownicy. Było to jego „ciało baletowe”, którego on był mistrzem. Kokieterya stroju, jaką roztaczał, była to kokieterya kobiety, ubierającej się zarówno dla olśnienia kobiet, jak mężczyzn.

Zresztą kobiety nie zwracały nań zbyt znacznej uwagi w salonach. Wiedziano, iż nie był bogaty, iż nie był to *epuzer*: nie liczył się więc dla pańien; a dla mężatek nie przedstawiał ponęty przewrotnego flirtu. Wiecznie biegający, ustawiający pary i krzesła, zaafierowany, nie miał czasu na przedwstępne kokieterye.

Pierwsza Muszka wyróżniła go i pierwsza też to była jego *bonne fortune'a*, i to... królewska. Olsnioty, nie wierzący samemu sobie, rzucił się na oślepa w otwierającą się przepaść. Lecz charakter jego uległ wielkiej zmianie. Poprzednio, powróciwszy z biura, zakreślał arkusze papieru nowymi kombinacjami tańców, olsniewał matkę i Tecię opowiadaniem o przetańczonych wieczorach, lub leżał na łóżku, czytając powieści historyczne.

Była to jego pasya, te powieści historyczne, które pożerał z ciekawością młodej mężatki, czytającej po raz pierwszy zakazane romanse francuskie. Wyobraźnię autora gnany, galopował na dzianetach i kruszył kopie lub z muszkietierami dokonywał cudów waleczności. Gdy wstawał później z łóżka i szedł do wypicia wieczornej herbaty, miał w oczach chętkę okrucieństwa i pragnienie dokonania jakichś nadzwyczajnych czynów. Chętka ta rozplywała się w parze buchającej z samowara i roztapiała się w maśle, którym Tadeusz grubo chleb smarować lubił.

Czasem jednak, nie mogąc, jak ongi rycerze, spadać z warownych zamków i niszczyć okolicznych pól, rzucał się jak jastrząb i terroryzował Tecię i matkę, szeleszcząc skrzydłami swych kaprysów. Lecz szybko, widząc, iż przebrał miarę, stawał się kobietą układną i miłą, uśmiechał się, przymilał i swemi błękitnemi, wypukłemi oczyma o przebaczenie prosił.

W tój ciasnej przestrzeni nędznego mieszkania był słońcem i chmurą, wszechwładnym panem.

Żył tak w ciepłe uczucia matki i balamuconej przez siebie dziewczyny, nie troszcząc się o prądy, które społeczeństwem wstrząsały. Nie zajmował się nawet polityką i rzadko czytywał dzienniki. Nie był nawet „karyerowiczem” i nie łąsił się, nie prosił o awans. Wielohradzka od czasu do czasu rozniecała w nim chętkę „dojścia”, lecz szybko ta myśl sugiestyonowana gasła w tym ptasim mózgu, przysłoniętym gazą kobiecych kaprysów.

Nawet wybuchy jego gniewu były to półcienie, półtony. Od dziecka był to pastel delikatnymi barwy nakreślony. Próżność dzwoniła dokoła jego głowy, jak grzechotki tamburyny, które znosił do domu nad rankiem razem z innymi akcesoryami kotyliona.

Lecz z chwilą zbliżania się do Muszki, charakter jego zaostrzył się i pastelowe tony pociemniały nagle. Z początku zdziwiony, zdenerwowany tém zdziwieniem i niepewny, teraz szarpał się w jakiśś kole tajemniczój zagadki, którą biała ręka panny Dobrojowskiej zakreśliła dokoła jego postaci. Nie kochał jeszcze Muszki, nie umiał jeszcze kochać, lecz biegł za nią, czując dwuznaczną rolę i grę w jaką ta dziewczyna z nim grać zamierzała. Lecz próżność jego szczególniej była tu podrażniona chorobliwie i, jakkolwiek strzegł się, aby nikt nie odkrył początku tój

intrygi, niemniej przeto miłość jego własna czuła się przyjemnie podnieconą. Tém więcęć zatém rozumiał nagle kontrasty, w jakie bezustannie rzucała go fantastyczność panny Dobrojowskiej.

Mając niezmiernie impulsywny charakter, przemawiał mimowoli ową nierówność postępowania i jak piłkę odbijaną rzucał ją na głowę matki i Teci. Lecz teraz były to już razy bolesne i kobiety zaczytały cierpieć dłużej i silniej. On — pogrążony w swym egoizmie ładnego narcyza — pół chłopca, pół dziewczyny, nie wiedział nic, wiedzieć nie chciał, włócząc się teraz po ulicach, po kątach mieszkania, milczący, to znów nadmiernie i głupio gadatliwy, wyszukując powodów do gderania, do złości—lub przeciwnie, objawiając nagle jakieś radosne uniesienia, które zakrawały na początki ataków nerwowych.

Wielohradzka z trwogą śledziła ten dzwoniący spazmatycznym śmiechem głos w powietrzu.

Ojciec Tadeusza był człowiekiem niezmiernie nerwowym; dziecko odziedziczyło poszarpane struny nerwów po ojcu. I był w tym chłopcu cały prąd wieku wspaniałego i cudownego w swych nierównych wątpliwościach, lecz prąd ten płynął głupio, smutno, bezwiednie, w ciele ładnej lalki koryto swe żłobiąc. Był to okaz „schyłkowca”, bardzo prosty, naturalny i nieskomplikowany — zwyczajny nerwowiec o duszy kobiecej, z odcieniem silnego egoizmu ładnego mężczyzny, romantyk i fantasta, lubiący wojownicze le-

gendy, świeże masło, frak ładnie skrojony i wytworne towarzystwo.

Nie miał żadnych potwornych ani zwyrodniałych zachcianek, dalekim był od gorzkiego pesymizmu, pomimo, iż bynajmniej nie był optymistą.

Posuwał się po szachownicy życia jak zbyteczny pionek, który jednak nieraz służyć może do zamaskowania pustego miejsca. Wiatr lotosu kołysał nim na prawo i lewo—dłoń matki usuwała mu z pod nóg przeszkody. Ze wspaniałych salonów wpadał nagle do nory czystej lecz biednej, nazwanej jego domem. Miał ciągle olśnienie krótkowidza, wtrąconego do piwnicy i wyrzuconego w snop słonecznych promieni. Nie miał czasu nawet zastanowić się nad swym położeniem. Był Twardowskim społecznym, zawieszonym między niebem a ziemią. *Ave Maria* ocaliło czarownika, *Ave Maria* pracy jego matki i próżność jej utrzymywała go na tych pasach tanecznych, które kołysały nim w społecznej przestrzeni. Przywykł do tego kołysania, i dopiero w chwili zbliżania się do Muszki zaczął szarpać się, nie czując gruntu pod stopami. Lecz było to jeszcze poczucie niewyraźne, do którego przyznać się przed sobą nie chciał.

Przestał jednak czytać powieści historyczne i miał nierówny apetyt. Coraz częściej spoglądał na oświetlone okna kasyna, do którego na członka dostać się nie mógł.

Zaczęło go już coś gryźć pod sercem i chwilami

zdawało mu się, że stoi na jakiejś trampolinie, z której ma skoczyć w przepaść. Wychodził wtedy na ulicę i szedł napuszony, z miną zblazowanego światowca. Daleką jednak w gruncie rzeczy była ta lalka od gangreny zużycia. Ciało było czerstwe, zdrowe, mięśnie gimnastyką taneczną wyrobione — dusza młodego szlagona z pewnym pokostem wyszlifowanego światowca. Lecz zepsucia, zużycia, nie było śladu. Próżność, kokieterya specjalna, płytkość umysłowa, egoizm, zmieszany z tém, co ludzie zowią dobrém sercem, stanowiły podstawę charakteru Wielohradzkiego. Lekkość baletnika, uroda lalki, czar kobiecy, choroba woli, impulsywność dziwaczna, hypertrofia przy najzupełniejszym zastoju umysłowym kryły ten charakter welonem chorobliwego wdzięku.

IV

Puściwszy w ruch walca tańczące koło, Wielohradzki usiadł na złożoném krzeselku i otarł pot z czoła.

Przed nim wirowała tęcza barw, układająca się w faliste linie, łączących się z sobą par. Orkiestra, ukryta po za lasem palm i oleandrów, grała dyskretnie, jakby nie chcąc płoszyć kręcących się w smugach elektryczności postaci kobiet, z których spływała ku ziemi biel lub błękit gaz, rubin aksamitów i szmaragd jedwabiu. Cały szereg okien szeroko otwartych pozwalał majowej nocy, czarnej i ciepłej, wpływać swobodnie, poruszać drganiem wiatru jedwabie kotar, zwieszających się ze ścian perlowo liliową kaskadą przepysznej tkaniny lugduńskiej.

Snopy róż i bzu o srebrnych odcieniach wędły teraz na głowach czterech marmurowych nimf, stojących w czterech rogach sali. Wachlarze elektrycznych lamp po nad pękami kwiatów rozkładały się

olśniewającą koroną, a u sufitu, na którym złożył się niezwykle plafon w stylu Ludwika XVI-go, bogaty i bogactwem tém przygniatający, śmiały się w purpurę odziane boginie z palmami w dziwacznie skróconych rękach. W oddali bielili się olbrzymi komin, biały marmurowy, szeroko otwarty, podparty dwoma potworami o mistycznie zasmuconych twarzach.

I po nad kominem portret samego pana domu, Dezydyrego Dobrojowskiego, stryja Muszki, zdawał się dominować po nad całym tłumem gości. Elektryczność oświetlała silnie płótno, wydobywając zeń maskę twarzy starego kawalera, bladą, o rysach regularnych, cokolwiek zepsutych tłuszczem i opadnięciem mięśni. Ordery i wstęga błękitna, przepasująca kamizelkę, imponowały zdaleka.

Pod portretem, w wielkiej żardinierce z rueńskie-go fajansu, kwitły heliotropy i białe gwoździki, tworząc u stóp dygnitarza cały parter delikatnych barw. Była to dewiza życia tego człowieka: słać pod swe stopy wdzięk i czar życia. Kobiety, kwiaty, przepych, uśmiechy, woń i barw tęcza otaczały go dokoła. On życie swe kończył teraz spokojnie, bez wstrząśnień i wrażeń, żyjąc wspomnieniami swych dawnych miłostek i czarem chwili obecnej, czarem platonizmem, kąpiąc się w atmosferze piękności i uśmiechach kobiet, których był powiernikiem i przyjacielem.

Najchętniej oddawał swe wykwintnie urządzone apartamenty na usługi dam, i piknik dzisiejszy od-

bywał się w jego salonach pod jego protektoratem i opieką. Poprzednio wydał Dobrojowski już bal dla tego samego składu towarzystwa, i dziś ze spokojnym już sumieniem i uśmiechniętą twarzą bawił „starsze panie”, zebrane w sali gobelinowej.

Wielohradzki uważnie patrzył na tańczących, jak wódz, gdy rzuca w gorączkę bitwy garść ulubionej swej gwardyi. Czynił to już poniekąd z nałogu, bo walcem kierować nie mógł, zwłaszcza, że walc ten był prostym, wiedeńskim, rozmarzającym walcem. Lecz oczy Wielohradzkiego mimowoli ciągnęły zawsze za kołem tanecznym.

Przed nim, jak maryonетки zgrabne i strojne, kręciło się par kilkanaście i czarne postaci mężczyzn ostro odcinały się na tle jasnych tualet kobiecych. Tańczyły przeważnie panny, i barwy blade, splótkane, nieśmiało przeważały. Gazy, muśliny, jedwabie i tiule fruwały jak skrzydła olbrzymich libelul, o cienkich kibiciach i kapryśnych a błyszczących ciałach. Gdzieś czerwony frak migał jaskrawo, lub światło migotało snopem iskier w złotych blaszkach, któremi naszyta była suknia Orzeckiej. Lecz natychmiast następowała cała fala bladego błękitu lub morze zieleni przeciętej różowawą barwą miękkiego fularu. Jaskrawe barwy tonęły w tej bladej powodzi.

I tylko od sufitu złościły się sztukaterye i spadało ciężkie wyzłocenie olbrzymiej rozety, dokoła której boginie w purpurowych sukniach taneczne zakreślały

koło. I ci tu na dole, biali i bledzi, jak wianek opali, zdawali się być poranną mgłą, rozplywającą się wśród delikatnej zieleni palmowych liści, gdy u góry płomienne szaty, podkreślone złotem i zielenią, tryumfowały w apoteozie jasności elektrycznej wraz z portretem starego kawalera, gniotącym stopami usuniętego w cień dyplomaty klomb wielkich heliotropów, przeciętych bielą rozstrzępionych i ostro woniejących gwoździków.

Wielohradzki oderwał oczy od tańczących i zaczął błądzić niemi po sali, szukając Muszki.

Dostrzegł ją w chwili, gdy wychodziła z sali balowej do przyległego salonu. Zdawało mu się, iż stanęła we drzwiach i nie patrząc w jego stronę, zatrzymała się tak krótką chwilę na progu, jakby pragnąc, aby widział, że wychodzi do *Petit Trianon*.

Porwał z się z miejsca, lecz pozostał tak pod ścianą, nie śmiąc iść za tą dziewczyną, która dziś szczególnie działała na niego w dziwny sposób.

Stał i patrzył na drzwi otwarte szeroko, prowadzące do małego przedsionka, z którego było wejście do saloniku i gabinetu, nazwanego, z powodu stylowego umeblowania, *Petit Trianon*.

Patrzył i wejść nie śmiał. Od samego początku wieczora Muszka unikała go widocznie. Nawet oczy ich nie zdołały się spotkać. I gdy już ogarniała go nerwowa rozpacz na widok tej lodowatej obojętności, uczył nagle w *chaîne* w kadrylu gorący uścisk

jój ręki. Zanim ochłonać zdołał z doznanego wzruszenia, Muszka znikła w tłumie płynących, jak w deptaku, tancerzy.

Po kadrylu zbliżył się do niej, pragnął zawiązać rozmowę, lecz ona szybko odeszła, zajęta jakąś tajemniczą konferencyą ze swym kuzynem, Jerzym Malenim, olbrzymem, łysym, pomimo młodego wieku, pełnym powagi i słoniowej dystynkcyi.

Wielohradzki uczuł się znów na rozdrożu i zaczął wmawiać w siebie, iż uścisk ów był tylko przywidzeniem jego zmęczonej fantazyi, i z goryczą śledził białą suknię Muszki i kask jój rudych włosów, w których światło zapalało rubinowe iskierki.

U pasa Muszka miała bukiet malw prawie czarnych, malw dziwacznych, o wielkich liściach, jak skrzydła nietoperzy, i te drżące delikatne płaty czarne o miedzianych blaskach żalobnie znaczyły się na atłasie białego pasa, jakim suknia Muszki ściśnięta była.

I suknia ta nie była suknią, ale raczej jakąś olbrzymią masą bieli, opadającej fałdami ku dołowi, falą tkaniny przezroczystej, a mimo to zazdrośnie kryjącej doskonałą jój pięknosć. Z ramion, z gorsu suknia ta zlatywała, obnażając atlas skóry i delikatne zarysy biustu, i zdawało się, że lada chwila draperya spadnie i Muszka wykwitnie z tój śnieżnej chmury, odziana jedynie w płaszcz swych włosów o miedzianych iskrach, które także rozlatywały się,

zaledwie spięte strzałą, na której rubiny monogram hrabianki krwawą gwiazdą światu głośiły.

I w ubraniu tém — rozebrana, dziwnie czysta a mimo to niepokojąca, Muszka miała w sobie spokój prawie anielski, pogodne spojrzenie zadowolonej ze siebie i ze świata istoty. Tańczyła mało i od czasu do czasu spoglądała w lustro. Z widoczną przyjemnością zatrzymywała wzrok na swój własnej postaci. Był to rodzaj niemój kontemplacyi, cichój, lecz wymownej. Nie poprawiała jednak ani jednego włosa, nie nasuwała spadających z ramion, modą 1830 roku, rękawów. Stała przed lustrem i patrzyła na siebie spokojnie z pod przysłoniętych powiek. Widoczne było, iż znajdowała się doskonale piękną i harmouijną. Mówiła jeszcze mniej, niż tańczyła, i obchodziła salony, obnosząc swą twarz pięknego bożyszcza tak, jakby sama się niosła w palankinie, wysadzanym brylantami. Czasem, przechodząc, uśmiechnęła się, lecz był to uśmiech sztuczny, odślaniający jedynie doskonałą piękność drobnych zębów. I natychmiast twarz powracała do swój nieruchomości, gdy włosy, rozrzucone dokoła, tańczyły szaloną sarabandę, a suknia zsuwała się z ramion, jak szata tańczącej odaliski.

I tak dziwny i niepojęty był kontrast téj twarzy, marmurowo spokojnej, ze sposobem ubrania i całego układu postaci, iż on to wytwarzał właśnie ową niepokojącą i denerwującą atmosferę, która jak fluid

płynęła od téj dziewczyny i przenikała wszystkich, zarówno mężczyzn, jak i kobiety.

Niepokój ten często zmieniał się w pewien rodzaj trwogi. Sztucznie wybielona twarz panny Dobrojowskiej, objęta ramą rudych włosów, zadziwiała i przerażała swoją pięknoscia. Był to kwiat egzotyczny nieznanym i tajemniczym. Chód jęj ślizgający się, taneczny kołysał jęj ciałem wiotkiem jak łodygą lilii. I twarz miała białosc lilii, lecz, nie tych rosnących na moczarach, ale sztucznie wychodowanych i centkowanych tygrysiemi pręgi. Biła od téj dziewczyny woń takięj lilii, pomieszanej z zapachem angielskich dzikich perfum jabłecznych. Chwilami woń ta była wprost odurzająca. Lecz zwykle tworzyła dokoła Muszki rodzaj niewidzialnego obłoku, ciągnącego jeszcze po zniknięciu kobiety swój tren komety tajemniczëj, echa przeciągłego, błakającego się w cieniu, resztki piosenki dolatującej zdaleka, pod z zasłon mgły górskiej, opadającej białemi smaktami na powierzchnię drzemających w rozpadlinach stawów skalnych.

Wielohradzki stał wciąż oparty o ścianę, niepewny i wahający. Czuł nerwową częścią swęj istoty, iż coś go ciągnie do uroczych zakamarków *Petit Trianon*, a iść tam nie śmiał. Patrzył więc znów na tańczące grono i machinalnie liczył wirujące pary.

Chwilę zatrzymał swój wzrok na Orzeckiej, tańczącej ze Staniem Pozbitowskim. Kobieta ubrana

była w suknię blado-liliową, haftowaną złotem. Delikatne jej ramiona, ramiona porcelanowej lalki, ubielone lekko różowym płynem, wysuwały się całe z berty, opadającej szeroką falbaną aż do stanu, który, wbrew zwyczajowi, Orzecka nosiła wysoko, na wzór elegantek z czasów Restauracji.

Czarna sylwetka Stania, ubranego we frak, krótkie spodnie i jedwabne pończochy czarne, odcinała się ostro na tle blado-liliowej gazy. Często szeroki szmat sukni centkowanej złotem owijał nogi tancerza i okrywał je chmurą niepewnej barwy. I wówczas widać tylko było tors Stania, tors wykwintny, elegancki, który zdawał się w tajemniczy sposób planować w przestrzeni.

I dalej Wielohradzki dostrzegał wciąż znajome od lat tyłu postaci — Charłupki, tańczącego z Lili Dalewską, Malewicza z Muszką Oleksińską, Sewera Drunickiego z jedną z księżniczek Hohensteigen Higmeringen. Pod ścianą stał Kafthan, odziany w czerwony frak i czarne pończochy, rozkładając na tle srebrzystej materyi, okrywającej ściany, swe rozrosłe plecy niezgrabnego Niemca, wypierającego się swego pochodzenia. Stał pochylony, ciężki, smutny, śledząc przygasłymi oczyma tańczące grono. Tańczył źle, a bojaźń drwin „kasynowców”, którym służył za rodzaj ofiarnego kozła, nie dozwalała mu próbować sił i nabrać wprawy w tańcu.

Wielohradzki chwilę krótką patrzył na niego

przez odległość salonu, i nagle uderzyła go myśl zbyt-
cznej obecności Kafthana wśród tej „śmietanki” to-
warzystwa. Jego odosobnienie, brutalna jakaś żało-
ba, którą włókł za sobą pomimo jasnej barwy odzie-
ży, miała w sobie coś tragicznego. Pechany przez ro-
dziców, wiedziony chęcią próżności, pozwalał deptać
po sobie falandze tych motyli o barwnych skrzydłach
różowego Pierrota. Nie odrzucał nigdy żartów, które
jak grad spadały na jego głowę. Bał się urazić któ-
regokolwiek z „kasynowców”. Przyjęto go na człon-
ka kasyna, gdyż przedstawił go hrabia Dezydery
i dlatego, że w długie wieczory zimowe można było
drwić z niego, robić plotki, bawić się jego kosztem
i zabijać jego czas. On — znosił to wszystko, pochy-
lając ramiona z mrukliwą obojętnością chłopca lub
pajaca, przyzwyczajonego do pocisków rozbawionego
tłumu, i tylko oczy wielkie, wsunięte w głąb, cie-
mniały mu chwilami i nikły w tém pociemnieniu, jak
oczodoły w czaszce trupa.

Nagle ze drzwi prowadzących do *Petit Trianon*
wysunął się hrabia Dezydery. Jako gospodarza do-
mu, pełno go było wszędzie. Zjawiał się nagle, jakby
wypchnięty z pod ziemi niewidzianą sprężyną. Sta-
nął na progu, oczy zmrużył i widocznie kogoś szukał.
Już Kafthan uśmiechał się blade i oczekiwał na ja-
kieś uprzejme słowo, gdy nagle hrabia minął go
i wprost ku Wielohradzkiemu zmierzał.

Tadeusz oczekiwał go, prostując się i starając

przybrać jaknajkorzystniejszą pozę. Hrabia Dezydery był wyrocznie młodzieży lwowskiej. Wielohradzki cenił go niezmiernie ze względu na jego szyk, gładkość obejścia i umiejętność artystyczną wydawania pieniędzy; lecz dziś szacunek ten spotęgowało jeszcze pokrewieństwo hrabiego do Muszki. Hrabia bowiem zastępował Muszce ojca i był jój opiekunem.

Dezydery, manewrując pomiędzy tańczącymi, docierał powoli do Wielohradzkiego. W drodze znalazł uprzejme słowo i wdzięczny uśmiech dla każdej z wirujących dam, a Orzecką pobudził nawet do chichotu rzuciwszy jój w przelocie jakiś dowcip słodki, miły dla ucha, jak dźwięk menueta.

Wielohradzki miał ochotę podejść i ułatwić w ten sposób Dezyderemu zbliżenie się, lecz zdjęty respektem nie śmiał wyrywać się, bojąc się pomylić i wywołać wrażenie narzucania się swoją osobą.

Nareszcie hrabia stanął przed nim i z nadzwyczaj uprzejmym uśmiechem zaczął po francusku, zaokrąglając usta, dokoła których wygolona skóra układała w tysiączne zmarszczki:

— *Je viens de la part de ma nièce ..*

Urwał, jakby sądząc, że Wielohradzki może nie umie po francusku, gdyż hrabia był niezmiernie sprytny i szybko w sytuacji każdego człowieka orientować się umiał.

— Siostrzenica moja phosi pana!... — dodał już po

polsku, lekko *r* zmieniając na *h* — *phosi* pana, ażebyś przyszedł do *Petit Thianon*. Złożyliśmy tam akcesoria kotylionowe i Muszka *phagne* dać panu pewne infohmacye...

I znów powtórzył:

— Pewne infohmacye!...

Wielohradzki wyprostował się i skłonił głowę z wielką elegancyą.

— *Parfaitement, monsieur le comte!*— odparł, stając się wymawiać jaknajlepiej każde słowo — *je suis aux ordres de mademoiselle votre nièce!*

Szapoklak do piersi przycisnął i czekał z szacunkiem, aż hrabia monokl swój przeczyści, włoży w oko i odejdzie, uśmiechając się raz jeszcze jamą swych ust, w których białą drobniuchną zębą, zębą Muszki.

Wielohradzki dyskretnie zaczął się przeciskać w stronę drzwi, nie śpiesząc się, pragnąc odzyskać zupełnie równowagę, zanim stanie przed Muszką.

Po raz to pierwszy miał spotkać się z nią sam na sam od chwili owęj karteczki, wsuniętej tak nieostrożnie do bukietu, i przysłania panny służącej z ustnem poleceniem bytności w teatrze.

Co mu powie? jak go przyjmie? czy wreszcie zdecyduje się rozjaśnić rzuconą przez siebie zagadkę.

Wielohradzki dochodził już do drzwi, gdy grupa, złożona z kilku osób, zatamowała mu drogę. Po nad głowami wszystkich ujrzał górzące, uparte czoło

Kafthana i usłyszał wybuchy dziwaczego spazmatycznego śmiechu.

Staś Malewicz uczeplił się teraz Kafthana i wma-
wiał w niego konieczność tańczenia kotyliona z naj-
młodszą córką hrabiego X. Kafthan gryzł usta ner-
wowo i przestępował z nogi na nogę, skrzypiąc no-
wemi lakierowanymi pantoflami. Ta „najmłodsza
córka“ była jego postrachem i grozą.

Malewicz od kilku miesięcy wpadł na myśl wma-
wiania w Kafthana, iż owa „najmłodsza córka“
umiera dla niego z miłości. Kafthan, w gruncie rzeczy
niegłupi, poznał się na żarcie, lecz nie śmiał oponować,
nie umiał nakazać milczenia rozbawionemu pani-
czowi. I wszędzie, ciągle i zawsze, czy to w biurze
podczas godzin porannych, czy na nocnej inspekyi,
czy w kasynie podczas obiadu lub przy zielonym sto-
liku, czy teatrze, lub na *Schnitzel-Jagdzie*—wiecznie
spadała na kark Kafthana owa „najmłodsza panna“.
Znienawidził ją i przesuwał się koło téj małej or-
mianki z bijącym sercem, schylając nisko głowę, lecz
już Malewicz go dopadał i, chichocąc się cicho, urzą-
dzał mu ową tradycyjną „pilę“. Zwłaszcza, skoro
przegrał w karty, rzucał się wtedy z całą zajadłością
na swoją ofiarę. Wykwintny, wysmukły, przysłowio-
wo piękny, o stalowej barwy oczach i popielatych
włosach, był graczem nałogowym i wojażował po-
między Lwowem a Krakowem, w wiecznej pogoni
za „dobrą partya“, rozegrzewaną na zielonym polu

karcianego stolika. Kafthan często rozpaczliwie śledził wynik gry i stał nieruchomo, wpatrzony w wachlarz kart, wykwitający z białej ręki Malewicza. Wiedział bowiem, że przegraną on zapłaci, przyjmując w milczeniu pociski ironii, szyderstwa, dziecinne żarty, które zdawały się sprawiać ulgę nieszczęśliwemu graczowi i uspakajać mu nerwy. Gdy zaś przeciwnie Malewicz wygrał znaczną sumę, Kafthan oddychał.

Wczoraj jednak grano w kasynie, i to grano wściekle „wielką partyę“. Malewicz zgrał się jak włoskie skrzypce. Zgrzytnął zębami raz jeden i chichotać się zaczął. Dawno już stracił niewielkie mienie, jakie posiadał. Żył teraz z gry i nadzieją dobrego ożenku. Porwał więc Kafthana w swe szpony i dręczył żartami. Wielohradzki, przechodząc mimo, posłyszał:

— Musisz pan iść ją zaprosić do kotyliona... musisz pan... albo czekaj — ja to za pana uczynię...

Kilka panienek zatrzymało się opodal i rozbawione, różowe od tańca, patrzyły na Kafthana z poza koronkowych wachlarzy. Pozbitowski wzruszał ramionami. Znajdował, że Malewicz nudzi wszystkich. Trwa to zbyt długo, należałoby już coś innego wymyślić.

Wielohradzki wsunął się szybko do małego saloniku, tak białego, iż zdawał się być cały ulepiony z cukru. W alabastrową dużą urnę wpuszczona lampa rozlewała dokoła łagodny śnieżny blask. W bieli téj świetlanej rozplywały się delikatne malowidła ścian, *panneaux* o białych tłach, zarzucone

amorkami, różowemi jak zorze, i bukietami kwiatów delikatnych, chorobliwie bladych, wiązanych karbowanemi błękitnemi wstążkami. Bukiety owe, aniołki, wstążki pięły się tak ku górze, ku sufitowi owalnemu, po którym na błękitném tle nieba płynęła nimfa, poprzedzona armią gołębi, motyli i kolibrów. Pod ścianami, na silnie wywoskowanej podłodze, stały białe meble, pokryte kremową w pasy materyą. W głębi majaczył kominiek z różowawego marmuru; na nim statua wysmukłej Dyany. Po obu stronach dwie wazy z porcelany sewrskiej, dwa areydzia różowe, błękitne, białe, wyniosłe i w liniach swych czyste.

Wielohradzki spojrział dokoła, lecz nigdzie nie dostrzegł Muszki. Drzwi od gabinetu stały otworem. Cicho, ślizgając się, aby zagłuszyć odgłos swych kroków, doszedł do tych drzwi.

W głębi dostrzegł, nie jedną, ale dziesiątki Muszek, które nieruchome, spokojnie, z rękoma nie dbałe zwieszonemi po obu stronach ciała, stały obok stosu akcesoryów kotylionowych. I wszędzie, wszędzie powtarzała się ta biała postać zwieńczona koroną włosów o połyskach miedzi.

Na odgłos kroków Wielohradzkiego Muszka odwróciła się powoli. Ten sam ruch powtórzyły też inne dziewczyny białe i tak samo piękne, jak ona, które, skapanie w potoku jasności, zdawały się być jój orszakiem, jój świtą postuszną na każde skinienie. I był to cały las tych młodych dziewczyn, bia-

łych jak brzoza, a smukłych jak sosny, owianych zlatującą z nich draperią, z ciemną plamą ponurych malw w miejscu serca.

Wielohradzki drgnął wobec tego niespodziewanego zjawiska. Stał niepewny i wahający. Nie wiedział, w którą iść stronę i która z tych dziewcząt jest Muszką prawdziwą. Chwilę sądził, że to jest żart, to znów zaczął wątpić o swych zmysłach. Lecz Muszka, bez uśmiechu, spokojnie wyciągnęła rękę. I las rąk, jak w tajemniczym balecie, wyciągnął się nagle ku Tadeuszowi.

— *Et bien?*...—zapytała wreszcie dziewczyna.

Głos ten ocucił i oprzytomnił Wielohradzkiego.

Zrozumiał, iż gabinet miał ściany lustrzane i że układ tych lusterek sprawiał owo fantastyczne złudzenie. Śmiejąc się, podszedł ku Muszce. Lecz ona cofnęła już rękę i najspokojniej zaczęła przerzucać przybory kotylionowe.

— Do czego to ma służyć? — spytała, ukazując cały stos welonów gazowych i lnianych burnusów zrzuconych na kanapkę w stylu *empire*, krytą żółtą materią.

Wielohradzki starał się odzyskać zupełną swobodę i być tak spokojnym, jak ta dziewczyna, która w tej chwili zdawała się troszczyć jedynie o przybory kotylionowe.

— To moja tajemnica!—odparł, usuwając w głąb welony i burnusy.

— Och! — wyrzekła Muszka — zdawało mi się, że pan nie powinienes mieć żadnych tajemnic przede mną.

Mówiąc te słowa, powoli podniosła na niego oczy i patrzyła mu wprost w źrenice swemi szafirami z pod długich fryzowanych rzęs o brązowym od cieniu.

Wielohradzkiemu zabiło żywiój serce. Po raz pierwszy Muszka uczyniła aluzję do tego węzła, łączącego ich pomiędzy sobą.

Chciał koniecznie odpowiedzieć coś, coby podtrzymało ową rozmowę, i w tej chwili nie znalazł nic mądrzejszego nad rzucenie banalnego zapytania:

— Dlaczego?

Po wązkich ustach dziewczyny przewinął się cień ironii.

— Bo... to my prowadzimy zawsze kotyliona... Tak, jak pan jesteś *meneur de cotillon*, tak samo mnie można nazwa *menuese*... a więc...

Urwała i wzruszyła ramionami.

— *Enfin*, skoro pan chcesz grać ze mną w *cache-cache*...

Wielohradzki zaczął obracać szapoplak.

— Ja?... — wyrzekł nareszcie.—Ja przeciwnie... pragnąłbym nie mieć nigdy przed panią żadnych tajemnic! Chciałbym, ażeby pani mogła czytać we mnie jak w otwartej księdze...

Muszka oparła się o poręcz kanapy i patrzyła na niego wciąż z odcieniem ironii.

— *Mais c'est de l'éloquence !...*— rzuciła niedbale — *à propos* akcesoryów kotylionowych, podajesz mi pan zdanie wyjęte z jakiejś komedyi Ohneta... Dlaczego to pan czynisz?... Zemną taka gra na nic się nie przyda. Jeżeli zapragnę słyszeć *des phrases bien tournées*, zawołam Pozbitowskiego, Malewicza, mego kuzyna, i będę je mieć do przesytu. Nie lubię girland nawet na ścianach i saloniku, który poprzedza ten gabinet, znieść nie mogę. Nie wij mi pan więc girland z frazesów nigdy!... — *vous entendez?... jamais.*

Wielohradzki uczył się bardzo skonfundowanym. Ów frazes przyszedł mu na usta bez żadnej chęci popisywania się elokwencyą. Stał więc zmieszany, powiekami mrugał i usta w podkówkę ułożył, przybierając mimowoli minę, jaką czasem swą matkę i Tecię rozbrajał.

Muszka patrzyła na niego długą chwilę i nagle wyciągnęła doń rękę.

— O ile ja pana wolę, gdy pan nic nie mówi!... — wyrzekła, zaginając haczykowato palce, odziane w cienką białą rękawiczkę.

Wielohradzki rękę tę, której całe dziesiątki ujrzał znów w lustrze, pochwycił.

— Milcze!... — szepnął, nieśmiało palce drobne Muszki ściskając.

— *Ouil ouil taisez-vous!* — mówiła dziewczyna.

— Lecz oczy mówić będą... — szeptał Wielohradzki.

— Dlaczego?.. oczom można także nakazać milczenie!

Jakby na potwierdzenie tych słów, odbiegła od niego oczami i Wielohradzki poczuł, że jój dłoń sztywnieje w jego dłoni. Chciał w jakikolwiek sposób przedłużyć tę chwilę rozbudzającej się sympatii i szybko zapytał:

— Tańczymy razem kotyliona?

Oua roześmiała się nagle i całe słońce zabłysło w jój oczach, w dołkach jój bladych, matowych policzków.

— Naturalnie! — odparła z niezwykłą żywością w głosie.

Ten głos, ten śmiech, to nagle ożywienie się ośmieliły i porwały Wielohradzkiego. Natychmiast więc postarał się o spełnienie niedyskretnej niezręczności.

— Ja... byłem przed kościołem!.. — wyszeptał, oglądając się na drzwi otwarte... — byłem przed kościołem i w teatrze...

Ręce ich rozplotły się.

Muszka nagle wyprostowała się, uśmiech jój znikł, dawny spokój powrócił na jój bladą twarz.

— A!.. — odparła obojętnie i przez zaciśnięte zęby — kiedy pan byłeś w teatrze? na jakiej sztuce?..

Wielohradzki uczuł, że traci znów grunt pod stopami.

— Na „Domu otwartym”! — wykrztusił, czerwieniejąc nagle.

Muszka ramionami wzruszyła i, mrugając oczyma, zaczęła w pamięci szukać.

— „Dom otwarty”?.. *connais pas!*.. co to? balet? opera?... *enfin... peu m'importe!*..

Odwróciła się szybko ku drzwiom i rzuciła okiem w głąb saloniku, w którym było słychać od pewnego czasu szelest sukni jedwabnej.

— *Marthe!*.. — zawołała — *est-ce toi?*

— *Oui! sois tranquille!* — dał się słyszeć głos Orzeckiej.

Muszka znów zwróciła się ku Wielohradzkiemu i wyniosłe, zimno, obojętnie mówić zaczęła:

— Czy nie znalazłeś pan przypadkiem kartki pergaminu w formie treflu?.. wypadła mi z karnetu na wieczorze u Bodeckich... jeżeli ją pan znalazłeś... *rendez-la moi.*

I głosem stanowczym dodała: — *J'y tiens!*

Wielohradzki w milczeniu sięgnął do kieszeni fraka. Nie rozstawał się nigdy z tą kartką, na której zmienioném pismem nakreślone zacierały się już zupełnie literki.

Lecz nagle przyszła mu inna myśl do głowy.

Chciał naprawić swą niezręczność i pokazać się gentelmanem w oczach téj dziewczyny.

— Zdaje mi się, iż kartkę tę znalazłem—odparł starając się nadać głosowi ton obojętny — oddam ją pani za najpierwszém naszym widzeniem się.

Urwał i dodał, oglądając guziczki swoich rękawiczek:

— Nie wiedziałem, że ta kartka do pani należy... i zapomniałem formy karnetu pani.

Muszka patrzyła na niego chwilę i cień ironicznego uśmiechu przesunął się po jej ukarminowanych ustach. Jakiś rodzaj wzgardliwej litości dla tego człowieka, który kłamał w tak nędzny i źle udany sposób, ogarnął ją widocznie.

Zwróciła się ku stosowi welonów i burnusów i ujęła w rękę długi szmat białej gazy, nakrapianej srebrnymi gwiazdami.

— Niech mi pan powie, do czego to będzie służyć?

I znów głos jej utracił ostrość i brzmiał równo, melodyjnie, bez cienia jakiegokolwiek nerwowej nierówności.

Przed drzwiami słyhać było wciąż szelest sukni Orzeckiej, która była tam widocznie na warcie przyjacielskiej i dyskretniej. W oddali konały tony walca, który dopływał do kresu.

Wielohradzki zaczął dawać Muszce potrzebne wyjaśnienia. Głos drżał mu lekko. Położył szapoklak i rozrzucił burnusy z mimowolną gracją kupczyka. Ona patrzyła na niego jakby przez zasłonę, nie widząc prawie tych pięknych gestów. Podbijał ją swo-

ją urodą i nieokreślonym wdziękiem dziewczyny zamienioną czarodziejskiem zaklęciem w pięknego i zgrabnego chłopca. A piękność ta różniła się od urody i sposobu noszenia téj urody — Stasiów Pozbitowskich, Malewiczów, Bodeckich i całej falangi „końskiej loży”. Wielohradzki miał w sobie całąmasę kobiecości, miękkiego, kociego ułożenia, kokieteryi i pewnej, mimo wszystko, nieśmiałości dziecięcej. Młodzież zaś z arystokracji, pomimo dystynkcyi i pięknych manier, wygimnastykowana we wszystkich sportach, była dla niej, dla téj Muszki, tak samo jak oni, *sportswoman*'ki — zamało subtelną i pociągającą.

Wielohradzki w téj chwili, z szerokim welonem gazy w obu rękach, wyciągniętych ruchem tancerki, podnosił ramiona, i przez te białe pajęczce zasłony widać było jego twarz drobną, bladą, usta różowe, delikatne, oczy błękitne, czoło niskie, równo zarosnięte, czoło cesarzowych rzymskich na statuach pleśnią wieków porosłych. Mówił słodkim, harmonijnym głosem, iż panie welony te włożą na głowy i zostaną zamknięte w rodzaju maurytańskiego domku, panowie zaś, odziani w burnusy, jak arabowie spowici w biel draperyi, pukać będą do zamkniętych wrót domu, i panie kolejno (według woli) wychodzić mają, znajdując na progu tego, którego jój los za tancerza przeznaczył.

Wskazywał na złożone w kącie dekoracye dom-

ku, wielkie płótna rozpięte na blejtramach teatralnych, i Muszka śledziła gest jego ręki i błysk doskonale wyszlifowanego paznokcia, w którym się światło łamało.

I nagle podbita wyrzekła spokojnie:

— Ja wyjdę wtedy, gdy posłyszę trzykrotne stuknięcie, i to w interwallach...

Wielohradzki chciał odpowiedzieć, lecz już wtargnęła do gabinetu Orzecka i, wzięwszy szybko w rękę jeden z welonów, zarzuciła go na głowę.

Śmiejąc się, przeglądała się w lustrze i szybko mówić zaczęła dość skrzeczącym głosem:

— Tak! tak! należy się porozumić, ażeby później nie było zamieszania... według mnie, ten, który prowadzi kotyliona, dzieli swą odpowiedzialność i pracę z damą, która z nim tańczy... wszak prawda?

Głos jej brzmiał jeszcze donośnie wśród masy lustrzanój, gdyż już na progu stanął kuzyn Muszki, Maleni, i olbrzymią postacią swoją zasłonił prawie drzwi całe. Wyborny „koniarz” w ubraniu balowém wyglądał jakby trzymał lejce i prowadził owe sławne *breaki, mail-coach'e*, z których był tak dumny. Na jego widok Muszka wyprostowała się, porzuciła trzymane w ręku welony i, rzuciwszy przelotne spojrzenie na Orzecką, ujęła ją pod rękę.

— Teraz już wiem, o co chodzi... — wyrzekła — pan (tu wskazała brodą na Wielohradzkiego) wy-

tłómaczył mi dokładnie; możemy wrócić do salonu. *Viens, Marthe!*..

I powoli, uczepona u ręki Orzeckiej, która także przybrała minę seryo, przesunęła się koło Maleniego, zamieniając z nim dość wymowne i głębokie spojrzenie. Lecz Maleni widocznie opierał się czemuś, nie chciał wykonać jej rozkazu czy prośby, i ona sprytem swoim wyczytała to w jego oczach.

Nie zatrzymując się nawet, rzuciła mu przez ramię:

— *Oh! je vous en prie!*.. nie potrafię tańczyć inaczej... *je vous jure...*

I odeszła, nie spojrzawszy nawet na Wielohradzkiego, który zmieszany nagłym pojawieniem się brabiego (który mu szczególnie imponował) zaczął składać porozrzucane burnusy i szale. Maleni stał ciągle w progu, oparłszy się ręką o drzwi białe, dyskretnie złożone.

Był to olbrzym łagodny i spokojny, kryjący pod maską wybornego światowca jakiegokolwiek osobiste uczucia i wrażenia. Wysoko już postawiony u drabiny dyplomatycznej, miał w sobie ciągłą dyskrecję wzorowego dżentelmana, nieożywiającego się nigdy, lecz niepokazującego; zarówno bezwzględnej na wszystko obojętności. Oczami Maleni mówił często i dużo (to, co mówić zapragnął), lecz słowa, które z ust jego wypadały, zdawały się być zawsze prze-

mierzone i zważone na wzorowej szali zastanowienia i rozsądku.

Obaj mężczyźni pozostali teraz sami i Wielohradzki uczuł ten dziwny lęk i zmieszanie, jakie ogarniało go zawsze w obecności Maleniego. Ten typ arystokraty-karyerowicza imponował mu, a człowiek nerwy mu szarpał.

Dla nabrania równowagi zaczął układać porozrucane akcesorya kotylionowe; w lustrach jednak widział kilkakrotnie odbicie postaci hrabiego. Te wielkie blade twarze, powiększone jasnością łysiny i przecięte plamami czarnych oczu, zdawały się unosić w przestrzeni, jak potworne maski japońskie.

Nagle Maleni ręce w tył pod poły fraka założył i ku Wielohradzkiemu twarzą się zwrócił. Maski w lustrach mignęły i teraz kilka profilów białych, niepewnych, rozlanych w fałdach podbródków, z nosami zadartemi, majaczyły w srebrnych taflach szklanych.

Hrabia otworzył kilkakrotnie usta i wreszcie wyrzucił z siebie krótkie, okrągłe frazesy, które niepomierne zdziwiły Tadeusza:

— Urządząm pojutrze *fête champêtre*. U mnie, w Paprotce. Jechać będziemy *mailami*. Później radbym, aby tańczono. Czy zecheesz pan należeć do nas? Może objąłbyś pan dyrekcję tańców? Sądzę, iż możnaby urządzić kotyliona *en plein air*...

coś nowego, niezwykłego. *Enfin, bref*, to już zostawiam znaną imaginacyi artystycznej pana.

Zawiesił głos i, nie zmieniając ani na chwilę pozycji, dodał:

— Czy możemy liczyć na pana?

Wielohradzki w pierwszej chwili miał ochotę odmówić, lecz nagle rozsloniły się przed jego oczyma barwne horyzonty. Kotylion, płynący farandolą pomiędzy wyniosłemi cieniami drzew... Dekorator, baletmistrz, *metteur en scène* brał przewagę.

Skłonił się więc z powagą, mówiąc:

— *Je suis à vos ordres!*

Maleni pośpiesznie zaprzeczył:

— To ja jestem na pana rozkazy! Zechciej je wydać, nie szczędząc swą imaginacyi. Będą wykonane z najwyższą skrupulatnością.

Wielohradzki ciągle się czuł zmieszany tą wielkopańską grzecznością.

— Jutro... napiszę... i w namiestnictwie, jeśli hrabia pozwoli, moje plany prześlę.

— *Parfaitement*. Przyjdź pan sam do mego biura. Przynieś swoje projekty. *Sans discussion* są zatwierdzone.

Lekko głową kiwnął.

— *Au revoir et merci!*

Tadeusz nisko się skłonił i odetchnął, gdy Maleni zniknął z progu, na którym tkwił, jak potworny

drogowskaz, wysuwając naprzód swój tors jarmarcznego siłacza.

Twarz Wielohradzkiego promieniała teraz radością. Muszka wyraźnie zaczęła zaznaczać swoją ku niemu sympatyę. Jakiego to rodzaju była sympatyą, o to Wielohradzki się nie troszczył. Brał to, co mu podawano, czując się szczęśliwym z tych królewskich okruchów. Pełen więc różowych myśli wyszedł z gabinetu. W progu saloniku spotkał już całe grono panien, których białe, liliowe, seledynowe sukienki rozsypały się w przestrzeni jasnych ścian, jak nagle rozwiany bukiet, złożony z cieplarnianych kwiatów. Szczebiot pusty i dźwięczny zaszemrał razem z szelestem wstążek i szybko poruszanych wachlarzy. Był to cały „gołębnik”, wypuszczony nagle na wolność i porwany w siatkę kwieciami zaróżowionych ścian *Petit Trianon*'u. Dziewczyny delikatne, wysmukłe odziane lekko, powiewnie ślizgały się atlasowymi pantofelkami po lustrzanej tafli woskowanej podłogi lub siadały, rozwiewając dokoła fałdy białych sukien, na fotelach pociągniętych białą laką i wybitych białą w kremowe pasy materyą. I wszędzie delikatne profile rysowały się na tle girland, z róż i niezapominajek splecionych; koronkowa złota piana włosów, jak piana czary szampana, biła jasną aureolą w tajemniczym półcieniu płonącej w alabastrowej kolumnie lampy.

Muszki, Musie, Minusie, Maniusie, umitrowane,

bez mitry, z koroną o dziewięciu lub siedmiu perłach przesuwaly się w tój bieli, jak damy dworskie Maryi Antoniny, i tylko brakło im *panier'ów* i wieńców róż księżnej Lamballe.

Lecz sto lat minionych nie wywarło wielkiej zmiany w układzie figur i mózgów tych wykwintnych lalek, stworzonych na przetańczenie wiosny życia bez troski o chleb powszedni. Nie zwróciły uwagi na przechodzącego Wielohradzkiego, zajęte całe studyowaniem swėj własnej nicości. Przeglądały się w lustrach oprawnych w wązkie białe ramy i wydobywały z ukrytych kieszonek małe pudełeczka z pudrem. Znikały na chwilę w obłoku welutiny i pojawiały się znów z porcelaną lwarzy, przygaszoną delikatną, dyskretną osłoną.

Wielohradzki nie szukał pomiędzy niemi Muszki. Wiedział, iż hrabianka trzyma się zawsze zdaleka od swych rówieśniczek i rada przestaje w towarzystwie młodych mężatek, przysłuchując się ze spokojną, marmurową twarzą ich lekkiej i dowcipnej rozmowie.

Zwrócił się więc ku orkiestrze, chcąc dać szefowi niektóre wskazówki, gdyż uroczysta godzina kotyliona zbliżała się i obecnie prawie całe towarzystwo, podzielone na małe grupy, zajęło stoliki w sali bufetowej i przy dźwięku kryształów i srebra w powodzi światel i kwiatów spożywało stosy wytwornych potraw i całe strumienie wina.

Tylko „panienki”, jak zawsze eteryczne, objadłszy się cukierkami i opiwszy oranżadę, ze względu na zbyt ściśnięte gorsety, uciekły do *Petit Trianon*’u.

W salonie krzątał się Wielohradzki, ustawiając krzesła, wydając służbie dyspozycje, układając akcesorya kotyliionowe w rogu sali, odgraniczonym dwoma haftowanemi parawanami. ;

Niedaleko, koło ściany, ponury i tragiczny stał Kafthan, chmurnie wpatrzony w ziemię. Malewicz drwił dziś z niego bez litości, a Pozbitowski, Bodecki i inni dopomagać mu zaczęli. Perwienusz odcinać się nie śmiał, lecz teraz przetrawiał z domieszką żółci wszystkie usłyszane ironiczne przycinki, i karmił się niemi w milczeniu, jak trucizną, którą przecież pił dobrowolnie i której nawet poszukiwał.

Wielohradzki, przebiegając mimo, spojrział na tę olbrzymią postać, stojącą samotnie na tle jasnego obicia.

— Czemu pan nie idziesz do bufetu? — zapytał, czując nagłą litość nad tą wyfraczoną niedolą, tak chmurną wśród blasku świateł i odgłosów śmiechu, dolatujących dokola.

Lecz Kafthan nie odpowiedział ani słowa, pogrążony cały w upartém milczeniu.

.

Na środku salonu, w białe, czarne i pomarańczowe pręgi, stoi domek tekturowy z okienkami zakra-

towaniem w maurytańskim stylu. Kilka olbrzymich palm wyrasta z posadzki, z mogał mchu, i wysoko rozkłada swe wachlarze liści ciemnych i poszarpanych. Dokoła domku krąży grono Arabów, odzianych w długie burnusy i zawoje dziwacznej formy. Z pod burnusów od czasu do czasu wysunie się noga, odziana w lakierowany trzewik i czarną pończochę jedwabną, lecz szybko niknie, i Arabowie krążą po woskowanej posadzce, wśród palm i mchu tajemniczo, w takt dziwacznej, wpółsensnej melodyi.

Koło wrót domku stoi Wielohradzki, odziany tak jak i inni tancerze, lecz burnus jego jest cieńszy, delikatniejszy, zawój ułożony w bardziej artystyczne formy. Na ramieniu ma pęk róż bladych, niepewnej barwy, i kwiaty te kładą poetyczną nutę w surową całość klasycznego stroju. Delikatna jego twarz występuje jeszcze delikatniej wśród téj śnieżnej biele, wyrafinowaniem kokieterijném; turban jego, cokolwiek z czoła zsunięty, odsłania dokładnie jego ładne, regularne rysy.

I co chwila z grona tancerzy występuje jeden i, doszedłszy do drzwi domku, puka i usuwa się na bok. Wówczas otwierają się powoli drzwi i na progu zjawia się postać kobieca, osłonięta welonem gazowym w duże srebrne gwiazdy. Nie odsłaniając owéj zasłony, podaje rękę tancerzowi i gdy drzwi zamkną się z powrotem, odchyła welon i ujawszy

ramię araba, odsuwa się na bok, gdzie stoją już inne, związane wypadkiem, pary.

Gra ta budzi ogólne zainteresowanie. Ze wszystkich salonów pościągano, aby wiedzieć tę nową figurę kotyliona. Hrabia Dezydery wprowadził starą hrabinę Bodecką i usadził ją na wygodnym fotelu, pozostając przy jej boku.

Wielka dama jest głucha, więc hrabia usiłuje krzyżeć, nie przekraczając miary dystynkeji, i tłómaczy jej cel owęj budowli tekturowej, przypominającej dekoracye pantomin, grywanych na arenie cyrkowej.

We drzwiach sali balowej tłok panuje nie mały. Wszyscy starsi mężczyźni przyszli, zwabieni dziwacznością piosenki arabskiej, którą gra orkiestra z akompaniamentem dzwonek, tryangelów i tympanów.

Wielohradzki tryumfuje. Ogarnia okiem cisnące się tłumy i czuje się w tej chwili panem sytuacji.

Przesadza ważność swęj roli wodzireja. Sam otwiera drzwiczki domku i, podając z gracyą rękę wychodzącej damie, oddaje ją delikatnie i ostrożnie, jak bukiet szklanych kwiatów, czekającemu na nią tancerzowi. Z radością widzi zadowolenie na wszystkich twarzach, gdyż kostiumy podbudzają zawsze komedyancką stronę, drzemiącą w duszy każdego człowieka. Wielohradzki prostuje się dumnie i zaczyna mrużyć oczy i gryźć usta. Widzi, że Muszka

jeszcze nie wyszła, czuje, iż ona jest tam, ukryta, czeka na dany znak, i że on, Wielohradzki, potrzebuje tylko uczynić jeden gest, aby przywołać do siebie tę dumną i piękną dziewczynę.

Wszyscy tancerze mają już swe tancerki. Biel welonów i burnusów zaściela całą przestrzeń salonu.

Wielohradzki zbliża się do domku i trzykrotnie, słabo, dyskretnie uderza we drzwi. Otwiera je sam natychmiast i odsuwa się cokolwiek.

Na progu ukazuje się Muszka.

Wbrew przepisom, hrabianka ma welon odsłonięty i prześliczna jej twarz ukazuje się nagle w obłoku białej gazy i w srebrnej koronie z gwiazd, jak nieziemskie zjawisko.

Ręce, splecione na piersi, przytrzymują fałdy welonu, który ją otacza przezroczystą smugą białą, jak mgła poranna.

Wiedzioną instynktem kobiecym, przed włożeniem welonu przyglądała falujące włosy i podciągnęła skromnie opadające ramiączka sukni. W tych ciemnych pasmach włosów, w których nawet złoto iskier wygasło, twarz jej nabiera dziwnego uroku dziewczęcego, niewinnego wdzięku.

Stoi chwilę nieruchoma, czując, że wszystkie spojrzenia biegną ku niej i dziwią się tej niesłychanej przemianie, lecz już Wielohradzki zbliża się ku niej i rękę swą wyciąga.

Muszka podaje mu swą rękę, nie patrząc na niego,

rozmarzoną i w pół senna, zasłuchana w melodyę arabską, kołysankę tęskną i porywającą.

Wielohradzki daje znak muzyce, i nagle kołysanka zmienia się w walca, który chwilę drga w powietrzu nieśmiało, jak nagle uwięzione echo, i powoli przechodzi w taneczne tempo.

Arabowie ujmują w pół swe odaliski, w mgłę i gwiazdy spowite.

I zaczyna się więc szereg srebrno-biały, rozkołysany namiętnie, śnieżny w potokach elektryczności, okrążający, jak wał śniegu, mury domku.

Burnusy wiewają, welony srebrzą się, iskrzą, jak szmaty mgły porannej, rozjaśniane morą nagich górsów i ramion lub złotem włosów, w których teraz światło migocące zapala iskierki.

W téj bieli, w tym delikatnym szumie wirujących tkanin, płyną powoli złączone pary rozbawione, rozflirtowane, uśmiechnięte, i tylko teraz ciemne wachlarze liści palmowych wznoszą się tryumfalnie, wykwitając w swéj apoteozie, jakby z masy skrzącego się śniegu i kołyszącego się lodu.

Dokoła rozległ się szmer uwielbienia. Ta biel, te welony, te gwiazdy płynące na skrzydłach gazy, ta odzież malownicza i wdzięczna — tworzyły całość artystyczną i ciągnącą oczy, przyzwyczajone do bałności fraków i bałowych strojów kobiecych.

Tu i owdzie rozległy się oklaski.

Hrabia Dezydery wołał: — *Bhavo bhavo!*.. wtóro-

wała mu stara hrabina Bodecka. Czar roztaczającej się dokoła przeczystej bieli zaczynał porywać wszystkich. We drzwiach duszono się literalnie.

Wówczas Wielohradzki uczuł wielką dumę, rozsadzając mu piersi. Oklaski te, które tańcząc słyszał, bezwarunkowo należały się jedynie tylko jemu, gdyż to on ubrał te maryonетки i w ruch puścił. Tryumf ten upajał go. *Metteur en scène* promieniał w nim w całej pełni. W objęciach trzymał Muszkę, która w tej chwili wydawała mu się nadziemską istotą, i czuł, jak ręka hrabianki ścisnęła delikatnie jego palce, pomimo, że oczy błędziły wśród tłumu przesuwających się przed nią postaci.

Lecz Wielohradzki na ten szczegół nie zważał; upojony, oczarowany, tańczył wciąż, mając w objęciach Muszkę, a przed sobą białą smugę wirujących par i mgłę rozwiewanych welonów, których gwiazdy, jak srebrne szlaki tajemnicze i uroczę, migotały przed nim z uśmiechem wschodzących jutrzeńnek.

V.

Wielohradzka zaczęła być na seryo o syna nie-spokojną.

Powróciwszy z pikniku, zamknął się on w swoim pokoju, gwizdał, nucił — był w dobrym humorze, lecz wbrew przyjętemu zwyczajowi nie pił barszczu i nie zjadł *salcsztangi*, którą mu Tecią przyniosła.

Poszedł do biura, mając pod pachą portfel pełen papierów, i wróciwszy z biura, zasiadł do obiadu jedynie dla formy.

Nie jadł ani rosółu, ani mięsa, ani mizeryi, tylko wciąż po obrusie jakieś kółka i gzygzaki kreślił, mrużąc półgłosem:

— Dwie czternaste pary!..

To znów liczył coś na palcach, nucąc, gwizdząc walce i polki, raz nawet krzyknął głośno:

— *Arrêtez!*..

Wielohradzka nigdy nie widziała go w tak gorączkowém usposobieniu. Wiedziała, iż układał fi-

gury i kombinacye, lecz ta gorliwość i pośpiech, z jakim pracował, zaczynały ją niepokoić.

— Jédz, Tadziu!.. — prosiła — zupełnie z sił opadniesz...

Lecz on uparcie głową kiwał.

— Nie! nie!.. może później... teraz mam pilną robotę.

— Na wszystko jest czas!—odparła Wielohradzka—teraz powinieneś jeść obiad... proszę cię!..

— Nie!.. gdyż nie mam ani chwili do stracenia — upierał się Tadeusz — jutro *parti de plaisir* w Paprotce... prowadzę tańce, nie mam jeszcze figury nowój wymyślonej. Żadnego *clou!*.. A rozumié mama, iż po wczorajszej figurze arabskiej muszę wykomponować coś niezwykłego. Sukces obowiązuje...

Nadymał się ciągle, nie mogąc zapomnieć szeptu braw, które do téj pory szumiały w jego uszach.

— W Paprotce? — spytała Wielohradzka.

— Tak, u Maleniego! — rzucił niedbale Tadeusz.

— U Maleniego?..

— Tak!..

Lecz nie mógł długo zachować obojętnego tonu. Radość tryskała mu z oczu. Szybko porwał matkę za rękę.

— Ha?.. co mamus na to?.. Tadzio zaproszony do Maleniego?.. będzie *fortancerował!*.. Co mama na to?..

Wielohradzka rozradowała się szczerze. Pochyliła się i pocałowała syna w czoło.

— Dzięki Bogu!.. — wyrzekła — dzięki Bogu, zaczynasz już wchodzić na drogę do kariery... Maleni to gruba ryba... jeżeli zechce, może cię zaprotegować... możesz awansować..

Wielohradzki machnął ręką.

— Ech!.. ja tam o to nie dbam. Zostawiam to Charłupce!.. Teraz chodzi mi o co innego. Widzi więc mamcia, że mam nielada ciężar na swoich barkach.

— Widzę! widzę i cieszę się! Czy zechcesz, ażebym sprzątnęła ze stołu i przyniosła ci papier i pióro?.. Będziesz tu pracował...

Lecz Wielohradzki wyciągnął się na krześle.

— Dziękuję, mateczko!.. — wyrzekł powoli. — Chcę trochę wypocząć... Nie uwierzy matuś, jak taka praca umysłowa męczy...

Wielohradzka pokiwała głową i szukała w myśli łatwego tematu do rozmowy, który pozwoliłby wypocząć spracowanemu mózgowi wodzireja.

— Z kim tańczyłeś wczoraj kotyliona? — spytała.

— Z Muszką Dobrojowską.

— A która z panien była najpiękniejsza?

— Muszka Dobrojowska.

— A najładniej ubrana?

— Muszka Dobrojowska.

Powstała z krzesła i wyniosła, majestatyczna, błada w obramowaniu swych siwych włosów, zaczęła zbierać salaterkę z mizeryą i półmisek z mięsem ze stołu.

— A zresztą... — dodała, zatrzymując się nagle tuż przed synem i kładąc mu rękę na ramieniu — czy ty wiesz, co ci jeszcze Bóg w przyszłości dać raczy?.. Jesteś jeszcze dzieckiem... całe życie przed tobą... Masz pełne prawo do ożenienia się bogato, z panną z dobrego domu, słowem, możesz zrobić... karyerę!

Wielohradzki podniósł na matkę swe wielkie, błękitne oczy.

— Och! — wyrzekł — nie myślę o tém nigdy!..

— To źle! — odparła Wielohradzka. — Bywając w salonach, powinienes mieć na celu swą przyszłość, a tak piękny, elegancki, z dobrém nazwiskiem chłopak nie może przesunąć się niepostrzeżony... Pamiętaj, co ci mówię! Masz zupełne prawo do zrobienia świetnej partyi. Niech to przekonanie nie odstępuje cię ani na chwilę...

Nagle w kuchence zaruszało się coś koło komina.

— Czy to ty, Teciu? — spytała Wielohradzka.

— Tak, ja, proszę pani! — odparł po chwili cienki głosik dziewczyny.

— Co tam robisz?

— Grzeję żelazka!

— Nie potrzeba... czy babka już ubrana?

— Tak, proszę pani!..

— Chodźże tutaj, co tam robisz jeszcze w tej ciemnej kuchni?

Po chwili na progu drzwi ukazała się Tecia, ubrana w szkocką bluzkę i czarną spódniczkę wełnianą. Głowa jej aż lśniła od jakiegoś olejku i włosy piętrzyły się wysoko, na czubku spięte całą baterią szpilek z celluloidu.

— Babcia... czeka!.. — wyrzekła nieśmiało dziewczyna.

Wielohradzka spojrzała na nią ze zdziwieniem i nagle, przypominając coś sobie, uderzyła się w czoło.

— Ach! tak!.. tak!.. powiedz babci, że natychmiast przyjdziemy. Idź naprzód!

Tecia zniknęła we drzwiach kuchenki.

Wielohradzka zbliżyła się układnie do syna.

— Mój Tadziu!.. — wyrzekła powoli — dziś imieniny Teci... możebyśmy poszli na chwilę do Piekiewiczowej ..

Wielohradzki wzruszył ramionami.

— Ani myślę!.. to stara plotkarka.

— Ależ mylisz się!.. — tłumaczyła matka. — Zresztą pomyśl, dawna nasza sąsiadka, stara kobieta... czeka na nas...

Zawahała się chwilę, wreszcie dodała dość szybko:

— Zrób to dla mnie!.. proszę cię!.. Tecia jest mi wielką pomocą w mej pracy! Dziewczyna nie-

zmiernie chętna i zręczna... Ja się starzeję... często ona pracuje za nas obie... Mój Tadziu!..

Wielohradzki powstał i kierował się do swego pokoju.

— Dobrze! dobrze!.. fraka przecież chyba nie włożę...

— Nie! nie!.. weź anglez, to wystarczy.

— Anglez?.. co też mama mówi!.. pójdę w żakiecie...

Lecz Wielohradzka znów prosić zaczęła.

— Mój Tadziu!.. zrób to dla mnie!.. Pikniewiczowa może się obrazić!.. żakiet w dniu imienin!.. Mój Tadziu!..

— No dobrze!.. dobrze!.. — zabrzmiał z po za drzwi głos Tadeusza — wezmę anglez, tylko ten stary, bez aksamitnego kołnierza...

.

Dokoła stołu, nakrytego serwetą siatkową, zasiadło całe towarzystwo.

Na stole znajdował się tort, biedny tort biszkoptowy obłożony cieniuchnemi plasterkami smażonego tataraku. Na środku tortu różowiła się cukrowa róża. Obok, na tacy, kieliszki, butelka wina i korkociąg i kilka małych talerzyków, na których srebrzyły się łyżeczki.

Pociągając wiecznie zakatarzonym noskiem, kręcił się dokoła stołu Felek w zbyt krótkim świątecz-

nym garniturze. Na kanapce włosieniem pokrytej Wielohradzka w jedwabnej sukni i Pikniewiczowa, staruszka zmarszczona i chuda, w dużym czepku z fioletowymi kokardami. Dolna jej szczeka była w ciągłym ruchu, tak, jakby Pikniewiczowa w ustach miała prowizję orzechów. Po za tém była to staruszka dość miła, o spłowiałych zielonych oczach, dystygowana w ruchach i sposobie wyrażania się, lecz wiecznie rozboląła i rozplakana. Wzdychała często i do tej chwili nie mogła przetrwać ruiny, w jaką ją zięć, a ojciec Teci i Felka, wpędził.

Obok matki, na fotelu bezstylowym i ciężkim, przypominającym brak gustu drugiego Cesarstwa i krynoliny, które się weń wciskały, siedział Wielohradzki, znudzony i myślą odbiegający z tego niewielkiego mieszkania, w którym panował płaczący smutek, siatkowe franki i patarafka ze strzyżonych kawałeczków włóczki.

Chwilami zatrzymywał wzrok na siedzącym naprzeciw niego mężczyźnie. Był to wysoki blondyn, czerwony, z twarzą świecąca od potu, jak lakierowana lampa. Ubrany odświętnie w długi surdut, miał w ręku kapelusz z dużemi kresami. Pikniewiczowa traktowała go uprzejmie, zwysoka, z grzecnością wielkiej damy.

Przedstawiając go Wielohradzkim, wyrzekła płacząwie:

— Pan Janczewski!..

W błękitnych źrenicach mężczyzny nie znalazła już ani śladu sympatii, téj przelotnej fantazyi, która od lat dwóch czasem, w chwili dobrego humoru, przewijała się i ciągnęła ją w zastawione sieci.

Natomiast instynktem kobiecym odczuła zimno zupełne i pewien rodzaj estetycznej odrazy. W jednej chwili zrozumiała, iż była niezgrabną, źle ubraną, źle uczesaną, że Tadeusz nudził się i z grzeczności prostej i banalnej siedzi tu, przy tym stole około tortu i naprzeciw babki, która znów z Wielohradzką zapuszcza się w rodowody i wymienianie koligacyj znaczniejszych rodzin arystokracji galicyjskiej. Zwróciła się do stołu i znów, ukrąwszy kawałek tortu, położyła go na talerzu. Obojętnie skierowała się w stronę pana Janczewskiego, który napełniał gorliwie stojące rzędem kieliszki.

— Proszę pana! — wyrzekła dziewczynka, podając mu talerzyk.

Janczewski pośpiesznie postawił na stole butelkę i talerzyk pochwycił.

— Ślicznie dziękuję! — wyrzekł zmieszany, lecz pomimo zmieszania wzrok w twarz Teci zatapiający.

Lecz ona odwróciła się od niego tak, jak przed chwilą odwrócił się od niej Tadeusz, i nagle osowiała i zamartwiona usiadła na brzeżku krzesła, miętosząc w czerwonych rękach wstążkę, którą bluzka jej w pasie przewiązana była. Obok niej Felek zapy-

chał się kawałkiem tortu. Lecz babcia Pinkiewiczowa spojrzęła na wnuka i natychmiast zawołała:

— Teci! pokaż państwu, jakie to powinszowanie Felek wykaligrafował.

Chłopak, przyzwyczajony do popisów, jak uczona małpka, dojadł spokojnie resztę tortu i blademi oczami śledził siostrę, która, powstawszy, podeszła do komody i usiłowała otworzyć szufladę.

Nie udawało jęj się jednak. Komoda była ciężka, staroświecka, *massive* mahoniowa.

Pan Janczewski rzucił się do pomocy; mimowoli Tadeusz powstał i zbliżył się także.

— Niech pani pozwoli!..

Obaj przemówili równocześnie, stojąc po obu stronach klęczęcej przy szufladzie dziewczyny.

Ona, na sekundę, znalazła się pomiędzy nimi dwoma i przeszło ją gorące uczucie, jak gdyby jęj kto kark wrzącą wodą oblewał. Bezwiednie prawie zwróciła się w stronę mechanika.

— Proszę pana!—wyrzekła, powstając i miejsca mu przy komodzie ustępując.

Tadeusz powrócił na swój fotel i teraz jadł tort delikatnie, wybrednie, trzymając łyżeczkę estetycznie i odsuwając na bok tatarak osmażony w cukrze. Tort był dobry i świeży. Tadeusz lubił łakocie. Jedząc, błędził myślą po wczorajszym pikniku i jutrzejszej majówce. Kombinował nowe figury kadryla kotyliona. O mazurze nie można było marzyć,

jakkolwiek doradził Maleniemu wysłać miejsce przeznaczone na salę balową wielką ilością sosnowych igieł. Tańcząc wczoraj kotyliona, kilkoma słowami umówił się z Muszką o prowadzenie tegoż tańca w Paprotce. Otaczała go atmosfera łaskocących wspomnień. Unikał wzrokiem widoku, ruszając się szczęki Pikniewiczowej i siatkowych firanek, aby nie psuć sobie iluzji. Byłby rad zamknął oczy, aby mózgi cofnąć się w głąb siebie i nie widzieć nic z otoczenia, które go tak raziło.

Tymczasem Tucia podała Wielohradzkiej duży arkusz papieru o wyzłoconych ramach, po których czepiały się amorki i łabędzie i czerniły się niekształtne litery, z pod których wystawały gdzieś ślady źle wytartego ołówka. Tucia rozwiązała starannie tanią wstążeczkę, którą owa „laurka” związana była, i położywszy rękę na głowie Felka, stała smutna, z ustami zaciśniętymi, z plamami swych czarnych oczu nagle w cień zapadłych.

Promienie wesołego wiosennego słońca przez szyby przymkniętych okien przez siatkę firanek wpadały do pokoju i słały się po sosnowej podłodze, starannie wyfroterowanej. Jasność ta ujawniała zniszczone tasiemki, które sukienka Teci mozolnie u dołu naszyta była, i jej nowe buciki, zbyt ciasne, o płaskich obcasach, już cokolwiek skrzywione źle ustawioną stopą.

Wielohradzka unosiła się nad pięknoscią pisma

Felka. Starła się ciągle być podwójnie uprzejmą, za siebie i za syna, który siedział wciąż milcząco, z pustym talerzykiem w ręce.

Nagle Pikniewiczowa wytwornym gestem przywołała do siebie Felka.

— To nie wszystko! — wyrzekła. — *Felix* nauczył się powinszowania na pamięć...

I zwróciwszy się do wnuka, dodała parafiańską francuzczyzną:

— *Dis ton compliment, mon ami!*..

Felek podciągnął nosem, opuścił ręce, i przestępując z nogi na nogę, recytować zaczął:

Teciu miła, Teciu droga,
W uroczysty dzień imienia,
Niechaj wielka łaska Boga
Twoje czoło opromienia.

Bądź szczęśliwą i wesołą,
Roztaczaj uśmiech wokoło;
Niechaj szczęście i dostatki
Staną na progu twój chatki.

Recytujący głos dziecka rozlegał się w ciszy, którą przerywał tylko donośny oddech pana Janzewskiego, sapiącego w swém apoplektycznym usposobieniu. Pikniewiczowa kiwała w takt głową, Wielohradzka usiłowała przybrać zachwyconą minę, Tacia stała nieruchoma, wpatrzona teraz z rodzajem rozrzewnienia w bladą twarzyczkę brata. Zdawało

się, że zapomniała o obojętności Tadeusza, o panu Janczewskim, o wszystkich, i jedynie widziała obecność tego dziecka, które sama dzieckiem jeszcze wychowywała i wyniańczyła, zbudzona nagle do roli kobiety w swém przedwczesném sieroctwie.

Tymczasem Tadeusz, nagle wyrwany ze świata swych myśli, kołyszany cienkim głosem recytującego Felka, powracał do swych kombinacji i posługiwał się teraz perspektywą teatralną, rzucając na malownicze tło Paprotki grupy tancerek w jasnych sukniach i sylwetki mężczyzn, odzianych w ciemne stroje.

On sam stał na boku i patrzył, jak wódz, na rozstawioną elegancką i rozbawioną armię, wojującą z wrogiem... czasem, który koniecznie „zabić” było trzeba. Obok siebie miał adjutanta w osobie Muszki, adjutanta o pancerzu z atlasowego różowego ciała i w kasku włosów, rozrzuconych dokoła spokojnej twarzy, kasku, zda się, splątany z węzów o jedwabnym, miedzianym, pełnym złotych iskier, połysku.

VI.

Na placu Jura, tuż u stóp *Sacré Coeur*, naznaczono *rendez-vous* dla wyjazdu ekwipaży gości zaproszonych przez Maleniego do Paprotki.

Na szerokiej jasno-blond płachcie piasku o białawych, niepewnych smugach czerniały teraz ekwipaże: amerykany, breaki, maile, victorie, zółciły się sztylpy butów służby Maleniego i Bodeckich, białały taranty, zaprężone do „koszyka” Orzeckiej, czerwieniał dach dziwaczego omnibusu, należącego do Stania Pozbitowskiego. Kobiety powysiadały z powozów i teraz przechadzały się wśród kół ekwipaży, tuż pod kopytami i łbami koni z pewnością woltyżerek, gotujących się do wzięcia udziału w jakiejś wielkiej pantomimie. Panienki szebiotały głośno, czując się tu więcej u siebie, trochę dalej od oczu gawiedzi, która, cokolwiek odsunięta, rozsypywała się przerwanym różańcem kilkudziesięciu próżniaków, „flanujących” w to czerwcowe popołudnie w cieniu

ogrodu Jezuickiego i zwabionych brzękiem uprząży i jasnymi barwami sukien i parasolek kobiecych.

Słońce jasne, promienne, zwycięskie i tryumfujące, błyszczało, jak olbrzymia lampa, z której zdjęto abażur mgły i szkło chmur. Szafirowe we środku, skrzyło się promieniami wszystkich barw, jak brylant olbrzymi, osadzony w morzu szafiru. I w głębi tej dekoracyi wznosiło się Sacré Coeur — klasztor wychowawczy, cichy i tajemniczy. Promienie słoneczne zapalały olśniewające ogniska w szybach zamkniętych okien. Czasem zdawało się, że w powietrzu słychać było przeciągły jęk organów, płynący z kaplicy klasztornej. Wówczas panienki i panie zatrzymywały się, podnosząc głowy. Prawie wszystkie wychowane były w tych murach i знаły dobrze głos tych organów, które co niedziela rozbrzmiewały po nad ich głowami, okrytymi w białe zasłony muślinowe. Niektóre z odcieniem żalu patrzyły na bramę klasztoru. Inne, a pomiędzy nimi Orzecka i Minusia Bodecka, wzruszały ramionami z uczuciem ulgi pięknych ptaków, które z cel wydostały się na swobodę. Lecz wszystkie czuły się jak u siebie pod temi murami, po za któremi rosły i rozwijały się teraz ich młodsze siostry lub córki. Lubiły ten wielki pałac, na którym odbywały się manewry i który swą pustynią rozrywał je w chwili odbywania naznaczonej pokuty. Śmiejąc się, pokazywały Malewiczowi i Dezyderemu pewne małe okienko, tak zwany „pokój for-

tepianowy”, w którym zamykano uczennicę krnąbrną, nieposłuszną lub nagle zbuntowaną. Orzecka przyznawała się, iż przepędziła tam większą część czasu, przeznaczonego na swe wykształcenie, a zapytana przez Dezyderego, co robiła przez te długie godziny, zamknięta sama w pokoju, w którym, oprócz krzesła i fortepianu, nie było żadnego innego mebla, odpowiedziała, śmiejąc się wesoło:

— Wdrapywałam się na fortepian i spałam jak zabita.

Zachichotała znów, pokazując w tym uśmiechu dwa rzędy zębów białych, jak dobrane perły. Mężczyźni patrzyli na nią z zachwytem. Była to zdrowa roślina o pięknych kształtach, rada z życia, z siebie i ze swego otoczenia. Rujnowała męża na stroje ta mała Charłupczanka, flirtująca z Malewiczem, Pozbitowskim i innymi. Wiedziano wszakże, iż była uczciwą i wierną mężowi. Trzepotała się tylko w słońcu i rada przeglądała w oczach mężczyzn. Obecnie starała się czasem przybierać poważniejszą minę, gdyż wprowadzała w świat pupilkę męża, sierotę, Muszkę Statnicką. Przy wysokiej, chudej, spokojnej dziewczynie Orzecka wydawała się jej młodszą siostrą. Niemniej przybierała poważne miny po to, aby za chwilę wybuchnąć śmiechem.

Bił od niej ten śmiech srebrzysty i woń fijołków St. Remo, którymi przepajała swe suknie. I w tej chwili odziana w ametystowej barwy fular, pachnąca

świeżo i rozkosznie, wyglądała zdaleka jak olbrzymi fioletek, wytryskujący powabnym kielichem ze szmatu złotego piasku.

Dezydery pytał, kogo powiezie swemi kucami, które dzwoniły zdaleka trochę przeciążoną uprzężą o podkładach z fioletowego aksamitu.

— Nie wiem — odparła Orzecka — zobaczę...

— Może Muszkę Dobrojowską.

— Cóż znowu?.. Muszka jedzie *mail'em* Maleniego, to rzecz dawno ułożona.

— Na koźle?

— Naturalnie!..

Malewicz podsunął się teraz. Twarz miał pobladła z powodu nieprzespanej nocy. Przegrał wszystko, co miał przy duszy, nadrabiał jednak sztucznym humorem.

I zaraz ofiarował się na towarzysza Orzeckiej. Lecz młoda kobieta pokręciła głową.

— Nie! nie!.. Wezmę z sobą Musię Statnicką.

— *Laissez la!*.. pojedzie *mail'em* Bonickich, są jeszcze cztery miejsca wolne...

— Nie! nie! — protestowała Orzecka. — Musia pojedzie ze mną... została mi oddana w opiekę...

Malewicz chciał coś odpowiedzieć, lecz nagle na plac wypadł niewielki szaraban, zaprzężony w parę karych, jak piekielne smoki, koni.

Szaraban zakreślał gzygzaki; napróżno mężczyzna siedzący na koźle starał się pohamować zapał

swych rumaków: niewprawna ręka ściągała zbyt nie lejece, konie pędziły, wyrzucając kłęby piasku. Zaczęły z szaloną szybkością okrążać plac, wałąc od czasu do czasu kopytami w pudło szarabana. Jak zjawisko dziwaczne i straszne pędziły, zakreślając koło i pozostawiając w środku całe zgromadzone towarzystwo, ekwipaże i inne konie. Wszyscy umilkli i śledzili z zadziwieniem ową piekielną jazdę czarnych koni, czarnego powozu i czarnego człowieka, który, olbrzymi, z ramionami ściągniętymi siedział na koźle, błyskając w skurczu rozpaczliwie skrzywionych ust dwoma rzędami dużych, żółkłych zębów.

Orzecka przyłożyła do oczu swoją *face à main*, mężczyźni dobywali monokli.

— *Qui est-ce?* — pytano się wzajemnie.

Nagle Malewicz zaniósł się ze śmiechu.

— Kafthan! — krzyknął — daję słowo Kafthan!..

Tragiczny woźnica dobiegał mety, którą jego karpisne rumaki zakreśliły sobie w przystępie chwilowego rozdrażnienia. Zwolniły bowiem biegu i zatrzymały się same, okryte kurzem i pianą. Kafthan, siny, trupio blade z gniewu i trwogi, nie śmiał ruszyć się na ławce. Szaraban jego o dwóch kołach, z dwiema poprzecznymi ławeczkami, nie miał właściwie koźła, lecz z prawej strony coś nakształt wysuniętej poduszeczki, na której powoźcy siedzieć musiał. Kafthan ostrożnie osunął się na ławeczkę, wyściełaną aksamitem centkowanym i przepiętym

rzemykami i zbladł jeszcze bardziej, widząc biegnącego ku niemu Malewicza.

— Co to, Kafthan? — krzyczał Malewicz — kupiłeś sobie bestye apokaliptyczne z obrazu Chełmońskiego?

Na plac w tój chwili wjechało lando namiestnikowój.

Cztery panienki, odziane w skromne kretonowe sukienki, siedziały w głębi powozu.

— Co za szczęście, że wreszcie zdołałeś pohamować swe jukiery — ciągnął Malewicz. — Ręczę, że czwarta panna namiestnikówna dostałaby spazmów, patrząc na twą jazdę!..

Zaczął konie oglądać.

— Drogo zapłaciłeś?..

Kafthan rad, że Malewicz odwraca rozmowę i że będzie mógł pochwalić się zapłaconą sumą, odpowiedział:

— Dwa tysiące trzysta razem z szarabanem.

— Czego? centów?..

— Nie! reńskich!..

— To za drogo!.. A ta szkapa ma *monatsblind* na prawém oku...

Kafthan poruszył się niespokojnie.

— Co znowu!..

— Naturalnie!.. Stoisz na przeciagu, szkapy zgrzane... jeżeli nie mają *monatsblindu*, to dostaną...

Nagle Malewicz otworzył drzwiczki szarabanu.

— Ja z tobą pojedę!

Kafthan pośpiesznie zaczął mu robić miejsce; wiedział, że przejdzie tortury, poddając się drwinom Malewicza przez cały czas drogi; czuł się jednak tak odosobnionym, iż byłby przyjął stu Malewiczów, aby tylko mieć któregośkolwiek z tych paniczów w swoim ekwipażu.

Lecz teraz uwaga wszystkich zwróciła się nagle na ekwipaż Jurka Bodeckiego, zaprzężony w parę jukierów, z których jeden zwłaszcza był przedziwnej piękności. Kosztował dwa tysiące guldenów i był bez zarzutu. Drugi, dobrany do maści i wzrostu, o wiele tańszy. Powóz — zwykła dorożka wiedeńska ze sławnymi kocami przewieszonemi przez koźle. Woźnica — fiakier wiedeński, Bratfisch jakikolwiek, w zwykłym ubraniu dorożkarzy wiedeńskich. Zwartym murem otoczono jukiery, rozmowy wiodły się żwawe, szczebiot kobiet mieszał się z głosami mężczyzn. Jeden tylko Melunio Orlicki, uróżowany i wyczerniony, spowity w długi płaszcz popielaty i straszny w tém oświetleniu słonecznym, wdziały się do czterech panien namiestników, które apatycznie siedziały we wnętrzu landa.

Lecz ciągle jeszcze nadjeżdżały powozy, a nawet dorożki, przywożące przeważnie mężczyzn niemających własnych powozów. Właśnie Orzecka dziwiła się nieobecności Muszki, gdy zdaleka poznano konie i liberyę Dobrojowskich. Za chwilę Muszka, wy-

siadłszy z powozu, odziana w długi płaszcz ze złotawego mieniającego się jedwabiu z masą pelerynek, nastroszonych dokoła jej ślicznej głowy, witała się z Malenim, który natychmiast dał znak gotowania się do wyjazdu. Długie trąby zabłysły w powietrzu jak złote szpady i przeciągła, dziwaczna melodya rozległa się po całym placu, głusząc rzenie koni, brzęk uprzęży i szmer rozmowy. Grali trębacze *mail'*u Maleniego. Zrobił się ruch; zaczęto wsiadać do powozów wśród śmiechu, wrzawy i nawoływania się. Orzecka biegła ku swoim kucom, ciągnąc za sobą Musię Statnicką. Aureola kapelusza Muszki Dobrojowskiej zabłysła na koźle *mail'*u wysoko po nad głowami wszystkich. Kafthan, zielony z trwogi i zdenerwowania, powstrzymywał swe „szkapy”, które dźwięk trąb doprowadzał do szaleństwa. Teraz bowiem trąbom Maleniego odpowiadało echo trąb *mail'*u Bonickich, na który właśnie windował się z trudem Melunio Orlicki, pragnąc zająć miejsce w gronie panien, których jaskrawe parasolki zaczynały zamieniać powierzchnią breku na fantastyczny parter olbrzymich kwiatów.

Nagle, wśród chaosu i wrzawy, zajechała jeszcze jedna dorożka i wysiadł z niej Wielohradzki, błądy ze zdenerwowania i zmęczenia. W biurze dowiedział się z rozmowy, iż wszyscy mężczyźni biorą na siebie dziś płaszcze dla okrycia się przed kurzem, który na drodze do Paprotki był przysłowiowym.

Wielohradzki wybiegł z biura i do téj chwili szukał wszędzie gotowego płaszcza, który chciał kupić za wzięte od matki pieniądze. Znalazł wreszcie jeden, jedyny, popielaty z pelerynką, i porwała go głucha rozpacz! Płaszcz był według jego przekonania zbyt krótki. Lecz wysiadłszy z dorożki i rzuciwszy okiem dokoła, uspokoił się. Płaszcze Bodeckich i Pozbitowskich były jeszcze krótsze. To mu przywróciło trochę fantazyi, lecz teraz nie wiedział, gdzie się ma podziąć, do jakiego wsiąść ekwipażu, do kogo się przyczepić.

Wszyscy ci ludzie zdawali się być sobą zajęci, tworzyli grupy, koterye, kółka, byli pomiędzy sobą jak jedna wielka rodzina. Wielohradzki wzrokiem zaczął szukać Muszki. Dostrzegł ją wysoko, królującą w tryumfie obok Maleniego, mającą po za sobą, jak dwór posłuszny jój skinieniom, kilka rzędów kobiet i mężczyzn, zapelniających ławki *mail'*u.

Trąby dzwoniły wciąż uparcie i wesoło; służba, odziana w buty ze sztylpami i kapelusze z kokardami, gotowała się do zajęcia miejsca wewnątrz powozu.

Wielohradzki nigdy chyba nie znalazł się w tak głupim położeniu. Nikt na niego nie zważał, nikt go zdawał się nie widzieć. Orzecka przejechała mimo niego, zajęta całą prowadzeniem swych kuców. Pozbitowski przebiegł jak strzała, dążąc do swego omnibusu. Wielohradzki obejrzał się za swoją do-

rozką. Miał ochotę wsiąść do niej i pojechać za całym towarzystwem. Lecz natychmiast myśl ta go opuściła. Dorożka wobec tak świetnej linii powozów! Ogarnął go żal do Muszki, do Maleniego, iż zaprosiwszy go, nie pamiętali o nim. Rozgniewany, rozżalony, zaczął myśleć o powrocie do domu. Lecz właśnie *mail* Maleniego ruszył z miejsca. I Wielohradzki widział, jak Muszka w aureoli swego wielkiego kapelusza rozpoczynała wieść cały orszak roześmiany, rozbawiony i powoli oddalała się, znikając na zakręcie drogi.

Powozy szykowały się jeden za drugim, i teraz był to długi szereg najdziwniejszych ekwipaży, które zdawały się być ogonem komety, zatapiając się w słoneczną jasność białej drogi, szeroko otwartej i płynącej w przestrzeń nieskończoną długością olśniewającego węża.

Wielohradzki cały rwał się za tymi, którzy oddalali się od niego z obojętnością najwyższą; gorączkowo obejrzał się dokoła. Wzrok jego padł na szaraban Kafthana, który cierpliwie czekał, ażeby zająć ostatnie miejsce w tym tryumfalnym pochodzie.

Jednym susem Wielohradzki dopadł do drzwiczek szarabana.

— Macie dla mnie miejsce? — zapytał, i nie czekając odpowiedzi, wskoczył do wnętrza powozu.

.

Obiad miał się ku końcowi.

Teraz służba zapalała lampy, osłaniając je abażurami w formie kolorowych tulipanów, i ustawiała je na stole. Podstawy lamp tonęły w massie liści, z których obrus był utkany. Ta orgia kwiatów i zieloności odurzala i rozmarzała zarazem. Kobiety co chwila odrywały róże z tych niezlicznych girland, które wily się wśród srebra i kryształów, i gryzły nadwędle listki. Tylko kandelabry z mchu utkane stały całe i niewzruszone, wznosząc ku górze snopy jarzących świec.

Podniesiono całą jedną ścianę namiotu i oparto ją wysoko na dzidach. Przez tę szeroką bramę wpływało chłodne powietrze wieczoru i blade-niebieski zmrok nadchodzącej nocy.

I tylko drzewa w oddali nabierały wyrazistszych kształtów. Niektóre miały rozpięte korony, jak olbrzymie wachlarze delikatnej koronki, inne karłały jak murzynki smutne i opuszczone, inne szły prosto w górę, jakby uciekając przed wzrokiem ludzkim, który krzywdę im czynił.

I drzew tych była moc cała, nieskończona, armia nierówna wzrostem i umundurowaniem.

Nawet niejednakowe światło, niejednakowe cienie owijały je teraz powoli. Gdzie niegdzie białe smugi wlokły się wśród paproci i gąszczu się chwytaly — to znów szafir czysty zdawał się być resztką dziennego nieba, zabłąkaną wśród zmroku.

Wielohradzki wzrokiem te odcienie i formy śledził. Siedział koło dwóch podlotków, które mówiły mało, lecz jadły dużo cukierków. Muszka tronowała w klanie Bodeckich i bawiła się wesoło z Jurkiem, tęgim i roslym chłopcem, o twarzy ogolonej, przypominającej stajennego chłopca lub wielkiego pana. Wielohradzki, którego rola wodzireja rozpocząć się miała dopiero w chwili otworzenia balu, nudził się w czasie tego obiadu i w duszy krytykował całe urządzenie stołu, znajdując tę profuzję liści śmiesznym objawem sentymentalności miejskich majówkowiczów.

— Koniecznie zachciało się im jeść na trawie... — myślał teraz, licząc świece i starając się odkryć, w jaki sposób mech trzymał się na drewnianych szkieletach kandelabrow.

Ukryta wśród lasu muzyka grała *Symphonie pastorale* Saint Saëns'a, lecz nikt nie zważał na te produkcje. Wszyscy rozmawiali z ożywieniem, tak jak pod koniec każdego obiadu, przy którym znaleźli się wszyscy „swoi” i należący do jednej sfery towarzystwa. Kilku wszakże ludzi milczało tak, jak Wielohradzki. Byli to urzędnicy z biura Maleniego, których on zaprosił na ową *partie de plaisir* z kurtuzą wielkiego pana.

Siedzieli obcy, zmęczeni, znużeni, starając się przybierać o ile możności ożywione i pewne siebie miny. Naprzeciw Wielohradzkiego unieścił się

Kafthan, jeszcze groźniejszy i tragiczniejszy niż zwykle. Malewicz drogo kazał mu opłacić zaszczyt wzięcia go swym szarabanem. Drwił z niego bez miłosierdzia przez całą drogę, folgując w ten sposób swym nerwom nad wszelki wyraz udreżonym „czarną seryą”, jaka się dla niego przy stoliku gry rozpoczęła od dni kilku. Teraz siedział obok Orzeckiej i Stanickiej i śmiejąc się coś im rozповідаł. Kafthan był pewien, iż to o nim mowa, i gryzł się, przeżuując tę zgryzotę, jak konieczną do wypicia trucziznę.

Wielohradzki starał się nie patrzeć na twarz Kafthana i oczyma śledził wśród drzew resztki dnia dogasającego. Nie miał natury skłonnej do marzeń, a jednak w tej chwili zapragnął serdecznie wyjść z tego namiotu, z pod snopów jarzącego światła i szeregu kolorowych tulipanów lamp, i pójść daleko w las, który filtrował przez szczeliny swój piersi jasne błękity, szafiry, liliowe opale, biel pereł dogasającego światła i ciemne onyksy rozpoczynających się cieni. Pragnął przedewszystkiē znaleźć w spokoju i ciszy jakiś pozór do zbliżenia się do Muszki i wręczenia jēj owēj pamiętnēj kartki z karnetu, którą ona zwrócić sobie kazała.

W przystępie nadzwyczajnej delikatności wytarł napisane przez dziewczynę wyrazy, tak, że teraz kartka była zupełnie biała i czysta, tak, jakby nigdy lekkomyślna ręka kobieca nie wezwała go na

schadzkę za jęj pośrednictwem. Uczyniwszy to, rad był z siebie niezmiernie. Kłamiwe wykręty Muszki, które rzuciła mu z lodowatą obojętnością, imponowały mu niezmiernie. Chciał dorównać jęj choć w części i pokazać, że i on potrafi być wysoce „dyskretnym”. Pewny był, że Muszka usiłowania jego odczuje, zrozumie i ocenić potrafi.

Dziś nie widział jęj prawie. Zabłysła mu wysoko na kozle *mail'u*, po nad czerwonymi smugami kół w aureoli swego wielkiego kapelusza. Później przesunęła się koło niego z szelestem jedwabnych fałd płaszcza, którym otulała się zazdrośnie, kryjąc swą suknię przed oczyma innych kobiet. Słyszał ją tylko, jak prosiła Maleniego, aby zaprowadził ją do psiarni, i urywane zdania tęg rozmowy dolatywały go wśród szumu lasu.

— Czy twoje nowe psy *courants* przybyły?

— Nie jeszcze, mam jednak cztery *Gordon Setters*, czarne, podpalane, prześliczne. Ręczę, że ci się podobają.

— Och, mnie się wszystkie twoje psy podobają. Pysznie je kompletujesz. A twoją suka gaskońska czy żyje?

— Żyje, ale nie mam już z nięj żadnej pociechy. Chciałam ją wymienić u Jurka na dwa *Bassety*, wiesz, *Dachshundy* niskie, ale przedziwnej piękności, i dodać mu jednego z mych *Briquetów d'Artois*, lecz nie chciałam...

— Czy to prawda, że *Paton'a* chciałeś dać Staniowi?

— Tak.

— Proszę cię, nie dawaj tego psa nikomu. Ręczę, że z niego będziesz miał pociechę... *Black fiels Spaniels* nigdy nie zawodzą..

Oddalili się, trzymając się pod ręce i Wielohradzki mimo woli patrzył, jak wśród gąszczu leśnego znikały ich sylwetki..

Poszedł obejrzyć miejsce przygotowane do tańców, poprawił girlandy, zdobiące estradę zarezerwowaną dla stariej Bodeckiej, która zawsze musiała tronować, otoczona dworem hrabin i dam, wszedł po ścieżynce świeżo wygracowanej i wijącej się wężowo na dość wysoki wzgórek, odslonięty i zakończony niewielką platformą obsadzoną liliami.

Z góry spojrzął na arenę, usypaną igłami, na nieskończoną ilość lampionów, pouczepianych na niewidocznych nitkach drutów, i stał tak chwilę udrapowany w fałdach swego *cache-poussière'u*, jak wódz w przeddzień walnej potyczki.

Nareszcie zeszedł powoli, jakby z zalem, i szedł w stronę namiotu, pod którym zbierało się powoli całe towarzystwo. W drodze spotkał Kafthana, którego Malewicz wypuścił ze swych szpon, i dostrzegł, że Kafthan najwyraźniej go unika. Przeszedł więc mimo i siedząc przy stole, starał się nawet nie spotkać ze wzrokiem swego kolegi biurowego. Obok

Kafthana dwóch gogusiów, ubranych modnie, mówiących nazbyt głośno, przez cały czas trwania obiadu unosiło się nad taktem i ostożnością, z jaką fiaker wiedeński schylił się dla ujęcia lejce i jak potem delikatnie a subtelnie trzymał te lejce trzema palcami każdej ręki.

Teraz już rozmowa stała się ogólną w podnieceniu humorów, pomimo temperatury chłodnego wieczoru. Powietrze wiejskie upajało może więcej niż wino. Kobiety zwłaszcza miały migocące iskierki w źrenicach, przyćmione odcieniem sentymentalności. Stara pani Bodecka, mająca w uszach brylanty wielkości korka od karafki, tronowała na honorowym miejscu, ze spokojem przywykłego do holdów drewnianego Buddy. Dezydery, pełen uśmiechu i uprzejmości, przyjmował od czasu do czasu zwierzanie, jakie mu rzucić raczyła. Dalej, w klanie młodszych kobiet ogniskiem, koło którego grupowały się spojrzenia, były Orzecka i Muszka, jedna podobna do ametystu w swych fijołkowych fularach, druga w lekkiej jedwabnej sukni, mieniającej się złotem i zielenią, jak sukienka chrząszcza, czającego się wśród traw szerokolistnych.

Orkiestra grała teraz całą seryę starych menuetów i pierwszy skrzypek popisywał się solo, mając, jako akompaniament, dyskretny chór orkiestry całej, przygłuszonej jakby nagle opadającą zasłoną. Lecz nikt nie słuchał delikatnej melodyi, i powstawać zaczęto

od stołu, na którym kwiaty wędły w gorącu świec, wydzielając powoli zapach spoconych i rozgrzanych ciał ludzkich.

W lasach zaczęły przebłyskiwać latarki. Panie naciągały okrycia i Wielohradzki, który jeden z pierwszych wysunął się z namiotu, widział, jak rozchodzą się po lesie grupami, parami, majacząc wzdłuż drzew, nakształt tajemniczych i dziwaczych cieni o białych lub zupełnie ciemnych konturach.

Zapalił papierosa i zaczął iść także w głąb lasu, rad, że wreszcie znajdzie się sam i przestanie słyszeć chór uwielbień nad „dyskrecją i taktem wiedeńskiego woźnicy, z jaką... i t. d.”. Obejrzał się jeszcze za Muszką i dostrzegł, jak stała przed namiotem, owinięta płaszczem i otoczona całą grupą mężczyzn. Była w tej chwili od niego bardzo daleko myślą i całą swą postacią. Spuściwszy głowę na piersi, zagłębił się Wielohradzki w zarośla. Wiedział, że pobudka, wydzwoniona przez trębaczy, da znać o rozpoczęciu balu. Miał jeszcze najmniej godzinę czasu przed sobą.

Szedł więc wciąż wąską ścieżyną wśród niewielkich krzaków, u których stóp wszędzie sterczały wachlarze paproci.

A paproci tych biała tak wielka ilość, a wysokość ich była tak olbrzymia, że chwilami szlak ścieżki ginał i Wielohradzki zapadał w tę ciemną zieleni po

pas i musiał odgarniać z całą siłą gałęzie, okrywające mu plastron koszuli.

— Zgubię się jeszcze w tym stepie — pomyślał, lecz nagle przejęła go jakaś radość — niech tam! — dodał w duchu — niech im prowadzi kotyliona, kto chce... skoro o mnie tak mało się troszczą.

Nagle zdawało mu się, iż posłyszał dźwięk pobudki, i porwał się do powrotu, lecz było to złudzenie słuchu; cisza była dokoła, cisza wielka przedwieczorna, zwiastunka nocnej kołysanki. Gdzie las rzedniał, tam przez koronkę liści przeświecało teraz blado-żółte niebo. Wielohradzki kapelusz z głowy zdjął i pod chłód wieczorny poddawał rozpalone czoło. Ogarnęło go dziwne rozmarzenie. W kurzu miasta i klatkach biurowych vegetujące ciało upiło się przeczystym powietrzem wsi i do smutku ciągnęło duszę i serce. Sentymentalna strona jego kobiecej natury zaczęła się budzić wśród tego wieczornego zmroku. Zapomniał w tej chwili o egoizmie i swęj narecyzowej naturze. Człowiek pierwotny, drzemający na dnie duszy każdej ludzkiej istoty, budził się w tym c. k. concept-praktykancie, spaczonym przez wytwory pseudo-cywilizacyi. Piers jego, rozrosła i szeroka, krył krochmalny pancerz koszuli, wyprasowanej przez matkę stalowém żelazkiem, a na karku sterczała obroża kołnierza i krawata czarnego, szerokiego, w stylu krawatów z trzydziestego roku. Tymczasem pierś pragnęła swobody, kark chciał się

uwolnić z obroży, całe ciało zaczęło dążyć do prostoty. Chwilę szarpało się nieudolnie i nagle zapadło w smutek wielki, wtórujący milknącym w mrocznych cieniach drzewom, widząc się spątane powijkami mody i konwenansów, tak, jak duch spętany był fałszywą chęcią osiągnięcia najwyższej summy kłamane-go i sztucznego zadowolenia.

Wielohradzki nie analizował jednak swego stanu duszy i ciała. Nie zapadł jeszcze na chorobę analizy, która przy jego słabiej woli stać się mogła śmiertelnym niebezpieczeństwem. Przyjmował sytuację i uczucia tak, jak przychodziły, i patrzył na nie wprost, nie stając nigdy w roli obserwatora.

W tej chwili czuł się smutnym i osamotnionym. Zapóźniona wiewiórka zaszemrała wśród gałęzi i skakać zaczęła szybko z drzewa na drzewo. Wielohradzki śledził ją przez chwilę, lecz bez najmniejszej ciekawości. Znikła mu wśród cienia gałęzi. On szedł dalej i nagle wydostał się na niewielką, okrągłą polankę. Pomiędzy kępami paproci szemrała woda. Kilka dużych głazów pokrywał mech i bluszcze. Wielohradzki usiadł na jednym z nich i wpatrzył się w szmat nieba, widniejącego po nad ową polanką. Śledził zmianę barw nieba i dziwić się zaczął, że nigdy nie zauważył tej subtelnej przemiany tonów w chwili nastania zmroku. Zanurzył rękę w miękką kępę mechu i zerwał duży liść paproci. Nagle przyszła mu na myśl matka, która zawsze za wsią tęskni-

ła i miasta nie mogła znosić. Często chwaliła ciszę i urok wsi. Wielohradzki zaczynał rozumieć to jej upodobanie. Oddychał lżej i ten smutek, który go ogarnął, nie sprawiał mu fizycznego bólu. Zdawało mu się, iż zanurzono go nagle w jakiejś chłodnej kąpieli. Oparł głowę na ręce i siedział tak skurczony, smutny, bez śladu zwykłej fantazyi i estetycznej linii w formie pozy.

Nagle z boku polany rozsunęły się wachlarze paproci i pomiędzy tym bukietem olbrzymim i królewskim ukazała się Muszka, osłonięta szczelnie swym jedwabnym płaszczem. Na głowę zarzuciła jedną z pelerynek i spięła ją pod brodą, co tworzyło dokoła jej twarzy rodzaj hełmu zapiętego ze złotej blachy. Dostrzegłszy wstającego z kamienia Wielohradzkiego, szybko pobiegła ku niemu.

— Dobry wieczór! — zawołała prawie wesoło.

On tak był zdziwiony i olśniony tém niespodziewaném szczęściem, że stał, nie śmiać się odezwać, ani wyciągnąć ręki.

Lecz ona już była przy nim i mówiła szybko, biegnąc oczyma po wierzchołkach drzew, otaczających polanę.

— Nie widziałam pana w chwili wyjazdu. Z kim pan przyjechałeś?

On, zdjęty nagle fałszywą ambicyą, nie chcąc się przyznać do jazdy w powozie Kafthana, odparł wymijająco:

— Z Malewiczem.

— A!.. sądziłam, że Malewicz jechał na *mail'u*, obok Statnickiej...

Usiadła na kamieniu pomiędzy bluszczem a paprociami i obojętnie patrzyła dokoła.

Wielohradzki zdobył się na odwagę i ręką na okrąg polany ukazał.

— Ładnie tu? prawda? — zapytał.

— *Owi!.. pas mal!* — odparła Muszka i natychmiast dodała — widziałeś pan jukiery Bodoekich? Nadzwyczajne!.. Maleni umiera z chęci odkupienia ich za jakąkolwiek cenę. Ale Jurek powiedział, iż za żadną cenę nie sprzeda. Gdy byliśmy w psiarni, Maleni ofiarowywał Jurkowi cztery tysiące i swoje cztery nowosprowadzone *Gordon Settery*. I co pan powie... Jurek odmówił...

Mówiąc te słowa, wyciągnęła rękę w stronę Wielohradzkiego i położyła swe palce na dłoni młodego człowieka.

— Powiedziałam jednak Maleniemu — ciągnęła dalej, a w głosie jej nie zaszła żadna zmiana — że jeśli Jurek po wyścigach zdecyduje się sprzedać jukiery, stanowczo mu radzę, aby sprowadził innego doróżkarza z Wiednia. Ten Bratnagel ma wygląd złego i ponurego człowieka...

Urwała na chwilę, poczem dodała:

— Nie lubię ludzi złych, być może dlatego, że sama jestem złą istotą...

Wielohradzki chciał zaprzeczyć, lecz sprytnie odczuł, iż zaprzeczenie to będzie zbyt banalnym frazesem.

— Pan jesteś dobrym, pocziwym chłopcem, prawda? — spytała nagle, pociągając go prawie ku sobie. — Ten właśnie łagodny wdzięk, *ce charme pres-que enfantin*, jest pana największą zaletą. Prawda, że pan nie umiesz się gniewać?..

Wielohradzki z całą szczerością odpowiedział natychmiast:

— Nie!.. nie umiem!..

Był przy niej tak blisko, iż mógł usiąść obok, na brzegu kamienia. Nie śmiał jednak, bojąc się ją spłoszyć. Przyklęknął tylko na poduszce z mchu, ciągle trzymając rękę dziewczyny. Zmrok zapadał coraz większy i nie można było dostrzedz kształtów paproci, które czerniły się w oddali zbitą masą tajemniczej fali.

— Może się to panu dziwném wydawać, że sama będąc złą, lubię łagodne i dobre charaktery... — ciągnęła dalej dziewczyna — ale tak było ze mną od dziecka. Znosiłam tylko niańki, bony i guwernantki spokojne i ciche.. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek można było co u mnie uzyskać inaczej, jak pokorą i prośbą...

Wielohradzki mimowoli zaczął przybierać pokorną postawę. Instynktem i taktem wiedziony, miał

w tój pokorze nutę dziecięcą, nawpół rozgrymaszoną, bez uniżoności żebraczej.

Muszka patrzyła wciąż przed siebie szeroko otwartemi oczyma, jakby wśród ciemności odkrywały się przed nią nieskończone horyzonty.

— Naprzykład Mirzę, ponterkę francuską Maleniego, najlepiej lubię z całej psiarni Paprotki, bo pokorne to, dobre, kochane... Orzecką też lubię, bo Marta jest najłagodniejszą kobietą na świecie... *Enfin* nawet w kwiatach, roślinach lubię bluszcze, mchy... bo to pełza pod stopami i ściele się pokornie...

Zapanowała chwila milczenia. Wielohradzki pragnął skorzystać z niej i oddać Muszce ową kartkę z karnetu, lecz młoda dziewczyna nagle go spytała:

— Jakie pan ma imię?

Wielohradzki wstydził się trochę swego imienia. Ów „Tadeusz” brzmiał według niego bardzo pospolicie. Postanowił je więc upiększyć, tłómacząc je na francuski język.

— *Thaddée!*.. — odparł półgłosem.

Lecz ona zdawała się już nie słyszeć jego odpowiedzi, goniąc ciągle przesuające się jój przez umysł myśli.

— Pan wyjeżdża na lato?

— Nie wiem... prawdopodobnie...

— Przez Orzecką panu powiem, gdzie będę w lecie...

Tadeusz gorąco zaczął dłoń dziewczyny ścisnąć.

— Dziękuję!.. dziękuję!..

Pochylił się nad jej ręką i całować zaczął drobne palce osłonięte duńską rękawiczką. Woń dzikiej jabłoni ogarnęła go w tej chwili. Skóra rękawiczki przepojona była *Apple Blossom*'em. Muszka ręki nie cofała i niskim, trochę przyciszonym głosem rzuciła:

— Pokieruję tak, aby na *season* wybrać jakiegoś nieznanego wybrzeże morskie... Zabawimy tam najmniej dwa miesiące...

Zawiesiła głos i po chwili dodała, patrząc znów przed siebie:

— *Vous viendrez?.. n'est-ce pas?..*

— *Oui!*.. — wyszeptał Tadeusz — *oui!*..

Muszka na chwilę przymknęła oczy, lecz nagle powstała z kamienia, prosta i smukła, owinięta w złoto swego płaszcza i w nocne cienie, które teraz zdawały się podnosić z ziemi, jak kłęby czarnej i fatalnej mgły, grozy i smutku pełnej.

— *Nous serons heureux!*.. — wyszeptała nagle, jakby sama do siebie.

Po lesie rozległa się jękliwie pobudka.

— Bal się rozpoczyna!..— wyrzekł Wielohradzki.

— Tak!.. chodźmy!..

Wielohradzki sięgnął po portfel.

— Przedewszystkiém muszę zwrócić pani zgubę, Muszka zadziwiła się prawie impertynencko.

— Moją zgubę?.. Pan?..

— Tak... oto ona..

Podawał jęj kartkę złożoną nie tak, jak była w bukicie, lecz tak, jak zwykle leżała w karnecie.

— A!! — wyrzekła Muszka — mówi pan, że to moja zguba?.. niechże i tak będzie... nie przypominam sobie jednak, czy zgubiłam podobny przedmiot.

Wyciągnęła jednak rękę, wzięła kartkę i zaczęła ją drzeć w drobniuchne kawałki.

— Tańczyć więc będziemy jedynie walca, kadryla i kotyliona? — zapytała, rozrzucając strzępki papieru dokoła polany.

Wielohradzki doznał niemałego zawodu, widząc, iż Muszka nie dostrzegła jego nadzwyczajnej dyskretycy w wytarciu śladów jęj pisma.

— Tak!..—odparł—teren jest wysypany igłami, ale sądzę, iż jedynie walce i chodzore tańce można ryzykować. Miałem ochotę zorganizować *pavane*, gdyż cztery pary, które tańczyły go przeszłego roku w namiestnictwie, są dziś w komplecie, ale lękam się bez próby...

— Tak!.. tak!.. — odrzuciła Muszka — lepiej nie ryzykować... Uciekam!.. *Je me sauve!*..

— Pani pozwoli... będę towarzyszył... już ciemno!..

— Och!.. znam doskonale Paprotkę, nie boję się, a wreszcie...

Pobiegła w stronę lasu.

— *Marthe!.. Marthe!..* — zawołała.

— *Me voilà!..* — odparł głos Orzeckiej.

I nie spojrzawszy nawet na Wielohradzkiego, Muszka z szelestem i szumem zanurzała się w morzu paproci.

.

Kotyliion ma się ku końcowi.

Setki lamp blado-zielonych i blado-różowych kołyszą się na gałęziach drzew. Gdzieniedzie płoną pochodnie. Estrada cała utkana gwiazdami lampionów, z po za lasu ku górze, ku czarnemu oceanowi przezystego szafiru biją snopy rac i tryskają bukiety złocistych fajerwerków. Muzyka gra jeszcze walca i w tej chwili Wielohradzki rozdaje różnokolorowe szklane latarki w formie gwiazd, które tancerze za pomocą rusztowań drucianych, opasujących ich ramiona i czaszkę, przytwierdzają sobie na czubku głowy. Śmiechy i żarty głuszą niemal dźwięki orkiestry, grającej *pianissimo*. Orzecka zanosi się ze śmiechu, nie mogąc wejść w zbyt ciasny na jej okrągłe ramiona pancierz drucianej klatki. Malewicz pragnie jej przyjść z pomocą, lecz ona zwraca się z prośbą ku Dezyderemu, który zeszedł z estrady, od boku stariej pani Bodockiej, i wmieszał się pomiędzy tancerzy, zaciekawiony mnóstwem kolorowych światełek, które migotały teraz już na głowach tancerzy. Za nim Melunio Orlicki, zziębły pod warstwą bieli-

dła, szedł jak cień nieodstępny, prezentując w tém czarodziejskiém oświetleniu swą bladą twarz stariej i źle zakonserwowanej mumii. I teraz powoli w ślad za nimi osoby niebiorące udziału w kotylionie schodziły z estrady i mieszały się z tancerzami pod szmerem, szerokim baldachimem rozłożonych nad placykami, gałęzi. Jasne sukienki kobiet nabierały w tych refleksach zielonych i pomarańczowych latarni tęczyowych blasków, skradzionych z palety jakiegoś Van Gogha. Tu i owdzie nagle występowała blada twarz dziewczyny, twarz dziewię Boticellego o massie złotych włosów dokoła wydłużonego profilu, oblanego zieloném światłem, które czyniło z niej niezmierną istotę, planującą w przestrzeni. To znów jaskrawy blask odcinał ramiona i plecy jakiejś kobiety, której głowa, okryta czarną masą włosów i pochylona na piersi, nikięła w cieniu.

I był to cały zbiór istot fantastycznych, chwilami monstualnych, dzwoniących hałasem i śmiechem, tonących w powodzi dwubarwnych płam, szeleście drzew i delikatnej harmonii menueta.

Zdaleka na estradzie, jak oczy mistycznego wilka, świeciły brylanty stariej pani Bodockiej, rozdzielone bladawą plamą jej twarzy. Dokoła niej grupowały się inne kobiety w obramowaniu różnokolorowych lampionów. Potok łamiących się jedwabiów zalał estradę ciemną kaskadą. Gdziekolwiek połyskiwały tony szmaragdu lub rubinu i nikięły w po-

wodzi przytłumionych tonów. U stóp estrady, zbity w jeden wał, tłum mężczyzn czerniał, kończąc te harmonię ciemni, wśród której jarzyły się ognie *dormeuses* i żółte światło kandelabrow, płonących wewnątrz namiotu.

Wielohradzki dobywał ostatek sił, aby przyspieszyć ową finalną apoteozę kotyliona. Prowadzenie tańców pod odkrytym niebem nużyło go niewymownie. Zachrypl, pomimo, iż od owego pamiętnego wieczoru, podczas którego po raz pierwszy ujrzał „Dom otwarty”, starał się nie krzyzczyć głośno i komenderować dyskretnie. Pomimo tego jednak gardło go bolało i czuł wielkie znużenie. Kotylion był wyjątkowo świetny i tancerze sprawili się karnie. Teraz jednak należało antrakt skrócić, aby nie osłabiać wrażenia. Biegał więc tu i owdzie, zaklinając, prosząc o pośpiech, pomagając w przymocowaniu rusztowań drucianych, ustawiając kolejno mężczyzn i damy. Hałas jednak wzrastał się, wszyscy żartowali, nie śpiesząc się bynajmniej, zadowolnieni z tej teatralnej *féerie*, do której gotowali się z przejęciem, jak do walki z wiatrakami. Wielohradzki biegł ku Orzeckiej, która miała na bakier przekrzywioną lampkę i śmiała się, otoczona całym sztabem młodzieży. Lecz nagle ogarnęło go zniechęcenie. Opuścił ręce, widząc, iż jest sam jeden przeciw całemu batalionowi, i stanąwszy na środku areny, oczyma szukał Muszki. Stała tuż obok niego, rozmawiając

z Pozbitowskim. Złote słońce, jasne i przezroczyste, błyszczało po nad jój głową. Szeroko rozchodziły się promienie tego słońca, szklane, delikatne, o gorąco żółtej barwie. Wewnątrz, ukryte tajemniczo, płonęło światło, rozświetlające swym blaskiem całą powierzchnię słonecznej lampy. Wszystkie inne latarki w formie gwiazdek malały i bladły wobec tego wspaniałego słońca, płonącego jasno po nad kaskiem rudawych włosów Muszki, włosów, które teraz mieniły się całą masą rubinowych iskier i miedzianych refleksów.

Mieniała się suknia, która owijała jój ciało, wydawała się utkana z złota i zieleni. Szeroko wycięta u szyi, z olbrzymimi rękawami, kończącemi się wysoko po nad łokciami, dawała jój pozór jakiejś fantastycznej libelluli, zabłąkanej wśród nocy, z rozpiętymi do lotu gotowemi skrzydłami. Wązkie i długie ciało, silnie obciśnięte mieniającą się materją, wykwiatało z nad ciemni, jak łodyga wspaniałego egzotycznego kwiatu.

Wielohradzki wpatrzył się w to urocze zjawisko i zapomniał na chwilę o swém wodzirejostwie. Słyszał jój głos niski, leniwy, słyszał, jak mówiła do Stania, wzruszając lekko ramionami:

— A gdyby i tak było?..

Stanio kręcił głową.

— Nie byłoby w tém najmniejszego sensu.

— Dlaczego?

— Statnicka jest bardzo bogata, a Malewicz nie ma ani centa...

Muszka znów wzruszyła ramionami.

— Cóż ztąd? — zapytała.

— Jakto? różnica majątkowa!

— Och! to nie przeszkoda...

Oddalili się, rozmawiając, i Wielohradzki uczył, iż nagle jakiś ciężar moralny spada mu na piersi, coś nakształt refleksyi, zastanowienia się...

— Różnica majątkowa... — pomyślał — według niój to nie przeszkoda!..

Lecz już szukano go, gdyż wszyscy mieli przytwierdzone lampki i teraz sami pragnęli znów rozpocząć tańce. Wielohradzki pobiegł ku muzyce i grać kazał farandolę. Zabrzękły tamburyna, zagrzechotały bębny i zapiszczały flety. Piosenka południa Francyi popłynęła w dal, ku paprociom galicyjskim. Śpiew chłopów Prowancyi wiódł do tańca łańcuch arystokracji lwowskiej. Powoli zaczął szykować się ów łańcuch i Wielohradzki dobierał barwy gwiazd według ułożonej gammy przez jednego z nadwornych malarzy kasyna. Na czele zabłysło słońce Muszki.

Wielohradzki zbliżył się do niój.

— Rzecz ułożona... pani powiedzie farandolę na sam szczyt pagórka, ja pilnować będę oświetlenia...

Uśmiechnęła się do niego w blaskach swego słońca, które oblewało ją złotą falą. Wielohradzki uczył,

iż traci głowę. Zebrał jednak resztę przytomności i klasnął w dłoń.

— *En route !..* — zawołał.

Orkiestra wybuchnęła z całą siłą i Muszka popłynęła, znacząc takt dyskretnie, aby nie naruszyć estetycznej linii, w jakiej słońce płynąć miało. Wielohradzki cofnął się z areny ku krzakom, wśród których stali ukryci elektrotechnicy, mający rzucać elektryczne promienie na tańczące grono. W ciemności jednak, wiedzeni przez Muszkę, okrążali tancerze arenę, tworząc koło barwne, mieniające się od świateł, jak pierścień olbrzymi sadzony szafirami, rubinami, topazami, szmaragdami i spojony słońcem-brylantem. Klejnoty te zdawały się płynąć same w przestrzeni, bo tancerze, według informacyi Wielohradzkiego, starali się opuszczać twarze, aby nie psuć efektu.

I pierścień ten wił się teraz wężowo, jakby łamana nagle palcami olbrzyma, aż nagle rozerwał się na dwie części, które mijać się wzajemnie zaczęły i wreszcie złączone mieszały się harmonijnie po to, aby rozprysnąć się nagle w promienie krzyża, którego środek stanowiło słońce, płonące na czole Muszki. I teraz twarze zaczęły majaczyć fantastycznie, tajemniczo, przyciemnione obramowaniem włosów i u mężczyzn odcięte od reszty korpusu ciemną linią odzieży. I była to cała armia głów bez ciał, płynących w przestrzeni, roześmianych lecz milczących, często bladych trupio w błękitnym blasku, to znów

purpurowych jak upiory w krwawém oświetleniu. I tylko, jak punkt kulminacyjny potężny i wspaniały, wytryskiwał z téj farandoli ściętych głów jaszczurczy tors Muszki, złoty, promienny, z białą plamą twarzy, pleców i karku. Wielohradzki, oparty o pień drzewa, śledził ewolucye tancerzy z gorączkowym natężeniem. Czuł, iż orszak ten, fantastycznie piękny, ma w sobie czar sabbatu nieszkodliwych upiorów, wiodących taneczny korowód przy dźwiękach wygrywanéj na gałęziach drzew symfonii północy. Wzrok jego gonił za Muszką i za wzrokiem biegła cała jego istota. Widział tylko niepewną sylwetkę jéj twarzy i biustu i teraz więcej niż kiedykolwiek wydała mu się niepochwytną, doskonale harmonijną istotą. Zaczął mimowoli przypominać sobie całą rozmowę, przeprowadzoną na polance, i ogarnęła go gorączka. Obiecał, że przyjedzie nad morze... obiecał!..

Tymczasem farandola płynęła teraz powoli w stronę wzgóрка, który zupełnie tonął w cieniu. Muszka bez wahania wiodła cały łańcuch i zaczęła piąć się po ścieżce, która spiralnie wznosiła się ku górze. Wielohradzki zbliżył się ku elektrykowi, który zaczął gotować się do rzucania promieni.

Wąż farandoli, sadzonéj szafirami, rubinami, topazami, płynął wciąż ku górze w takt dziwacznej muzyki, drażniącój formalnie nerwy. Słońce-Muszka wznosiła się powoli, coraz wyżej, jakby na skrzy-

dłach nocnych mgieł, i wiodła za sobą cały rój gwiazd, orszak barwny i migocący, królewski dwór, królewskiego jéj majestatu godny. Wszyscy na estradzie zgromadzeni i wśród areny stojący goście śledzili wzrokiem to promienne słońce, które biegło w ciemnie i chwilami wydobywało na jaw bladą twarz kobiecą i biust spowity w złotą tkaninę. Płynęła tak wśród ciemności, pierwsza i najpiękniejsza a ajemnicza i ciągnąca oczy ludzkie niewysłowionym, czarem piękności i nieukróconej pychy. I nagle zatrzymała się na szczycie wzgóрка, unieruchamiając całą farandolę, której węzowa linia, utkana gwiazdami, łączyła ją z ziemią migocącym łańcuchem.

Purpurowy, mieniaący się zielenią i złotem promień światła oblał ją nagle gorącą kaskadą i z niej spłynął ku innym tancerzom, stojącym teraz nieruchomo, jak szereg różnobarwnych posągów. Blaski lampek zgasły, lecz natomiast całe orgie barw grały teraz na fałdach sukien, na massach włosów, na szmatach ciał, na twarzach kobiet. I punktem kulminacyjnym tych blasków, źródłem światła promiennego, tęczę roztopionych klejnotów — była Muszka, wspaniała, tryumfująca w swéj piękności, wykwitająca z ciemnej zieleni, jak kwiat złoty, czarowny i legendowy, z łodygi swego ciała, spowitego w mieniającą się blaskami złota i szmaragdów szatę. Nie śmiała się teraz; nagle spoważniała, z oczyma przy-

słoniętymi ciężarem powiek, z ustami zaciętymi w tajemniczym milczeniu.

Wielohradzki patrzył na nią jak na drogocenny brylant oprawny w złoto i rozrzucający dokoła słoneczne promienie i czar powabu kobiety z hojnością marnotrawcy. Wszystko płynęło ku niej: spojrzenia i uwielbienie ludzi, promienie światła, tęcza barw, służąca jej za tło, na którym jaśniała w tryumfie, w niezwykłej i wiecznie doskonałej piękności dziewiczej.

VII.

Powoli zapadał zmrok i wkładał się do okna, przy którym szyla Wielohradzka.

Koło niej Teczka składała już robotę i przysuwała maszynę do ściany.

Stara kobieta usiłowała napróżno nawlec igłę.

— Niech pani pozwoli!.. ja nawlekę!.. — wy-rzekła Teczka—wyciągając rękę.

Wielohradzka podała jej igłę i nitkę. Teczka zbliżyła się do okna i zaczęła nitkę zębami przy-gryzać.

Wielohradzka patrzyła na nią przez chwilę. Bła-da twarz młodej dziewczyny nabrała teraz bledości opłatka; jedynie tylko czarne oczy świeciły się wśród téj białej maski.

— Brałaś dziś pigułki? — spytała nagle Wielo-hradzka.

— Brałam, proszę pani.

— A piłaś wino czerwone?

— Piłam, proszę pani. Wczoraj babci pani Boddocka przysłała dwie butelki... Babcia mi dała do obiadu pół kieliszka.

Podawała Wielohradzkiej nawleczoną igłę.

— Proszę pani, już nawleczonę!..

Lecz Wielohradzka zaczęła także składać robotę.

— Ciemno już... nie widzę... mogę sobie do reszty oczy popsuć...

Zwróciła się znów ku Teci:

— Niechże Tecia pamięta święcie słuchać doktora: brać pigułki i leczyć się. Tecia jest chora na niedokrwistość. Taka choroba nieuleczona może się na złe obrócić.

Tecia machnęła ręką.

Wielohradzka gest ten pochwyciła i zmarszczyła brwi surowo.

— Tecia jest głupia!.. — wyrzekła dobitnie. — Naczytała się znów Tecia romansów i zachciało się Teci umierać. To grzech wyzywać śmierć, kiedy Bóg w nieskończonej dobroci swój Teci jeszcze do grobu iść nie każe. Czy Tecia zwaryowała, bawiąc się w jakąś desperację? Ma Tecia z łaski Boga i babki co jeść, w czym chodzić, gdzie spać, ma Tecia rodzinę zacną i dającą jaknajlepsze przykłady... czego się Teci zachciewa?

Tecia stała, przestępując z nogi na nogę i lękając ślinę. Ciemne oczy utkwiała w zamknięte drzwi, prowadzące do pokoju Tadeusza.

— Być może... — ciągnęła dalej Wielohradzka — iż z czasem trafi się Teci jaki poczciwy człowiek, i Tecia pójdzie za mąż...

— Nie, proszę pani!..—przerwała nagle dość re-zolutnie Tecia — ja nie pójdę za mąż!..

— Tecia jest jeszcze głupsza, niż przypuszcza-łam — odburknęła Wielohradzka. — Jeżeli się znaj-dzie uczciwy, z dobrém nazwiskiem i odpowiedniém stanowiskiem człowiek, to nikt Teci o zdanie nie bę-dzie pytał. Zrobi się to, co się zrobić powinno... Słyszała Tecia?.. A teraz idź do domu, bo trzeba babce i Felkowi herbatę przygotować.

— Idę, proszę pani.

Z poręczy sofki zdjęła Tecia włóczkową chu-steczkę i, owinąwszy się nią powoli, jakby z żalem, kierowała się ku wyjściu. Lecz nagle drzwi pro-wadzące do pokoju Tadeusza otworzyły się i w pro-gu stanął sam Tadeusz. Natychmiast Tecia przy-śpieszyła kroku i uciekła, jakby złapana na gorącym uczynku.

Tadeusz nie spojrział nawet na wychodzącą, lecz powolnym, ospałym krokiem zbliżył się ku matce.

Ona wyciągnęła ku niemu rękę i z największą troskliwością ujęła jego dłoń.

— Tadziu!.. ty masz gorączkę!—wymówiła z od-cieniem trwogi w głosie.

Tadeusz usiadł naprzeciw niej na framudze okna. i zaspanym wzrokiem powiódł dokoła.

— Nie mam gorączki!.. — wyrzekł powoli — tylko spałem długo i mocno!..

Ziewnął i dodał natychmiast:

— Niech mamuś da herbaty... Wypiję i położę się na dobre... Spać mi się chce...

Wielohradzka patrzyła na syna z wyrazem wielkiego współczucia.

— Musisz być chory... ciągle teraz śpisz... może odsypiasz karnawał... ale to nienaturalne... Dlaczego nie czytasz?.. dawniej czytałeś przez całe lato!..

Wielohradzki skrzywił się leniwo i z framugi osunął się na krzesło.

— Och!.. dawniej to co innego... teraz nie mogę czytać... w głowie mi się miesza!..

Położył głowę na kolanach matki.

— Strasznie jestem zmęczony i śpiący — wyrzekł wpół sennym głosem.

Wielohradzka pochyliła się i pocałowała syna w czoło.

— Wiem, co cię trapi — wyrzekła pocichu — ale bądź dobrej myśli: wszystko się na dobre obróci.

Tadeusz szybko podniósł głowę.

— Tak mamcia myśli?

— Naturalnie. Inaczej miałabym o pannie Dobrojowskiej bardzo złe wyobrażenie... Ale pod tym względem jestem spokojna. Znam jej matkę i choć jest tylko Jeleń z domu, ale wiem, że ma doskonałe

zasady i musiała je przekazać córce... Dla zabawki, z lekkomyślności taka dystygowana i dobrze wychowana pauna, jak Muszka, nie rozpoczyna tak ważnego kroku. Bądź spokojny: świetniejszą widzę przed tobą przyszłość, niż marzyć mogłam...

On patrzył na nią cokolwiek więcej ożywionym wzrokiem. Od kilku tygodni o szarzej godzinie rozmawiali teraz otwarcie, gdyż Wielohradzki, trapiiony swém kobiecém usposobieniem, czuł konieczną potrzebę jakiegoś dyskretnego powiernika. Wielohradzka, instynktem wiedziona, odgadła prawdę, półsłówkami doprowadzała syna na drogę zwierzeń i szybko uzyskała od zdenerwowanego chłopca dokładne określenie jego stosunku z Muszką. I nagle wypadło z jęj ust słowo, które jak grom uderzyło w Tadeusza.

Małżeństwo!

Według Wielohradzkiej syn jęj mógł się ożenić z panną Dobrojowską. I przed olśnionym chłopcem zaczęła rozaczać tysiące przykładów, tysiące małżeństw, w których mąż oprócz nazwiska i urody nie przyniósł nic ze swęj strony. Według nięj te małżeństwa były bardzo szczęśliwe i dowodziły wielkiego przywiązania, boć i mężczyzna czynił *ofiarę* ze ze swęj miłości własnej, przyjmując posażną żonę, i abnegacyą tą dawał jęj dowód swęj bezinteresownęj miłości. Było to dowodzenie cokolwiek bałamutne, lecz Wielohradzka czerpała je rzeczywiście

w głębi duszy, przekonana o prawdzie słów swoich. I nagle zaczęła gorąco kochać tę Muszkę, nieznaną, zaledwie dojrzaną w cieniu kościelnym, która wyróżniła jęj syna i z taką lekkomyślną szczerością zdawała się objawiać mu swe uczucia.

I od tęg chwili Wielohradzka całemi godzinami komentowała wraz z synem każde słowo, każdy ruch, każde spojrzenie Muszki. Wyszędłszy z założenia, że Muszka, wychowana za granicą, ma swoje pojęcia i swój odrębny, a czasem nadto swobodny sposób zachowania się, tolerowała teraz w nięj wszystko, zaślepiona macierzyńską miłością, nieprzerazona niczém, nawet kartką, nawet potajemnymi uściskami rąk, igrających z palcami Tadeusza, jak z bukietem kwiatów lub ze skrzydłami wachlarza.

Wielohradzka widziała to jedno, iż Muszka kochała się w jęj synu. Kochając i przyznając się do tego uczucia, musiała myśleć o małżeństwie. Wielohradzka bowiem nie znała *flirtu*, nie wiedziała nic o tym nowomodnym objawie neurastenii i przewrotności ludzkiej. Przyjmowała uczucia prosto i nie pojmowała inaczej rozwiązania miłosnej intrygi, jak w połączeniu dozgonném. Pomimo zaślepienia wiedziała doskonale, że pomiędzy Muszką a Tadeuszem leży cała przepaść, lecz, na romantyzmie wykarmiona i wyhodowana, sądziła, iż miłość Muszki zdoła tę przepaść wypełnić. Dlatego więc owo tajemnicze i niewyraźne postępowanie panny Dobrojowskięj

znajdowała dość naturalném i tłómaczyła je delikatném sondowaniem serca i siły miłości, zanim do otwartéj walki z rodziną i światem przyjdzie. Wiedziała, iż walka ta będzie gorąca, ciężka i długa, —ecz ani na chwilę nie wątpiła o zwycięstwie Tadeusza. Dziś rodzaj arrogancyi Muszki wydawał się jéj tylko objawem silnéj woli, i to, co dawniej pocztywała jéj za wadę, dziś dawało jéj rękojmię doskonałości charakteru dziewczyny. Słowem — według Wielohradzkiej—była to „Miłość ubogiego młodzieńca” z bardziej ludzką i szlachetniejszą bohaterką.

Ona zaś stawiała po za postacią swego syna, gotowa także do walki, zbrojna w bezgraniczną miłość macierzyńską, w fałszywie pojęte przekonanie o szczęściu życiowém, i gorączkowo pragnęła jak najszybszego wyjaśnienia całej sytuacji. Zalecała jednak synowi dyskrecyę i cierpliwość, zachęcając go do zdania się zupełnego na wolę Muszki.

— Ona wie, czego chce, i wie najlepiej, jakimi środkami zdoła przeprowadzić swe plany!.. — mówiła Wielohradzka do syna.

I teraz, o szaréj godzinie, rozpoczynali ciągle i zawsze jedną i tę samą rozmowę, z tą jednak różnicą, iż o ile on stawał się niepewnym i wahającym, o tyle ona zdawała się być zupełnie spokojną, ufną i pełną otuchy. Lękała się zawsze, aby Tadeusz nie związał stosunku z jaką zameżną kokietką, któraby mogła lekkomyślnością swoją zepsuć mu sytuację

w świecie, w którym przebywał. Zrozumiawszy, iż w całej téj sprawie chodzi o Muszkę, doznała olśnienia. Widziała syna swego mężem panny Dobrojowskiej, komisarzem cesarsko-królewskim, starostą w Żółkwi lub Sądowej Wiszni. . później może... kto wie, starostą w Krakowie...

Serce jéj bilo gwałtownie. Do ust cisnęła się modlitwa dziękczynna. Nareszcie... syn jéj nie zginie, „nie zmarnuje się” i zajmie przynależne mu stanowisko. Nie mówiła jednak z nim o karierze. Widziała, iż owe możliwe awanse, owa drabina dygnitarska nie olśniewała go i nie ciągnęła nigdy. Kryła tę ambycję w głębi duszy. Z Tadeuszem mówiła tylko o Muszce. Widziała, iż syn jéj zaczynał kochać się niemal po dziecinnemu, po studencku. Rzuciła słowo „małżeństwo” — i zmieniła tor jego myśli.

Od téj chwili Tadeusz spoważniał i zaczął sam uważać się za feuilletowskiego bohatera. Miał oczy powleczone mgłą i zdawał się ciągle myślać błędnie w przestrzeni. Ożywiał się tylko, rozmawiając z matką o Muszce, zdjęty kobiecą potrzebą zrzucenia ciężaru, jaki dręczył jego moralną istotę, egoistycznie nudny w ciągłym przeżywaniu jednych i tych samych frazesów, które nizał na różaniec miłosnego samolubstwa.

Lecz Wielohradzka, równie jak on nieznużona, powracała teraz ciągle do tego tematu, podsycając nieustannie jego imaginację i tworząc dokoła niego

atmosferę romantyzmu, przesiąkniętą platoniczną obecnością Muszki. I Tadeusz dążył teraz do domu z najwyższą niecierpliwością, wiedząc, iż tam tylko jedynie może mówić swobodnie, myśleć głośno i że znajdzie w głosie matki echo własnych myśli. Winshawał sobie, że wpadł na dobry projekt uczynienia z matki powiernika, który dodawał mu energii i słabnącą wiarę rozbudzał.

A wiara ta w istnienie jakiegokolwiek uczucia ze strony Muszki słabła teraz coraz więcej, gdyż Muszka od chwili owjej rozmowy w Paprotce nie dała o sobie nawet znaku życia. Znając jej kapryśne usposobienie, Tadeusz bał się jej narzucać swoją osobą i teraz jedynie Wielohradzka chodziła do katedry, o godzinie dwunastej w niedzielę, aby ujrzeć zdaleka Muszkę i powiedzieć o tém synowi. Lecz widziała ją zaledwie dwa razy.

Nadchodziły wyścigi; cała arystokracja galicyjska zaczęła ściągać do Lwowa. Urządzano nieustannie *Schnitzel-Jagdy* i Tadeusz słyszał, jak w biurze Malewicz, Pozbitowski i inni „koniarze” komentowali i rozbierali wypadki dnia poprzedniego, rzucając jak kulami, nazwiskami Dobrojowskich, Boddockich, Statnickich i innych. Wiedział, iż Orzecka miała fatalną szkapę i nosiła pod amazonką popielate jedwabne trykoty. Słyszał, jak Malewicz, zanosząc się ze śmiechu, opowiadał, iż wmówił w Kafthana, że koń jego wierzga, i Kafthan powinien sobie kazać na

plecach rajtroka wyszyć wielką podkowę z białego sukna. Kafthan pochwycił tę myśl z wielką skwapliwością i dał odpowiednie polecenie krawcowi. Malewicz obiecywał sobie wiele radości z powodu owej podkowy. Lecz już Stanio Pozbitowski blagował i śmiał się z Malewicza, który, będąc wybranym graczem, nie był tęgim jeźdźcem. Wygrawszy niedawno w karty znaczną sumę, zjawił się nagle na placu Jura w chwili wyruszania całej kalwakady na „halblutce”, kupionej naprędce ze stajni Bodoekich i mającej brzydkie przyzwyczajenie tarzania się w piasku. Klacz, widząc step złotego piasku, ścielącego się dokoła, zapragnęła użyć kąpieli i położyła się, zmuszając Malewicza do zeskoczenia z siodła, ku wielkiej ucieście Kafthana i całego towarzystwa. Stanio Pozbitowski, opowiadając ten fakt, śmiał się do łez. Wtórował mu Jurek Bodoeki, który klacz natychmiast odebrał i pieniądze Malewiczo-
wi zwrócił. Malewicz przyjmował te drwiny wesoło i piękna twarz jego, roweselona i rozjaśniona, zadziwiała siedzącego przy biurku Wielohradzkiego regularnością rysów i czystością liliową doskonale pielęgnowanej skóry.

Lecz w tej atmosferze plotek i stajennych przygód nie wspomniano nigdy o Muszce. Wielohradzki nie śmiał się o nią pytać, lękając się zdradzić ze swą tajemnicą. Wiedział tylko, że była we Lwowie, gdyż raz Pozbitowski przyniósł zbiorową fotografię

całego „towarzystwa” w chwili rozpoczęcia *Schnitzel-Jagdu*, prowadzonego przez Orzeckiego, któremu przypadła rola jelenia.

Pozbitowski zbliżył się do stolika, na którym leżała fotografia, i wymieniał osoby, wskazując je ołówkiem.

— Orzecka!.. o tu... wsiada na swoją szkapę... koło niej Melunio w płaszczu i — w cylindrze na bakier... tu ja, tu — moja matka i dwie siostry, a tu stara pani Bodocka, tu hrabianki... niedaleko Kafthan...

— Nieprawda!.. pokaż!.. — zachichotał Malewicz.

Pochylił się nad stolikiem i śmiał się, mając usta zapchane rogalikiem i cukrem.

— Jak Boga kocham, prawda!.. — wołał — prawie przy samym powozie... umyślnie się tak umieścił... Hej!.. panie Kafthan...

Natychmiast w sąsiednim pokoju dały się słyszeć ciężkie kroki i na progu ukazała się olbrzymia, tragiczna postać Kafthana.

— Widziałeś pan fotografię?..

— Jaka?..

— A no zbiorową, z ostatniego *Schnitzlu*... Dlaczego umieściłeś się pan u stóp czwartej panny?

Z pod brwi krzaczystych Kafthan rzucił na Malewicza ponure spojrzenie.

— *Malédiction!* — wrzasnął „koniarz” — co za

oczy!.. *jettatura!*.. z pewnością dziś przegram moje ostatnie czterysta guldenów!..

Lecz Kafthan wyszedł z pokoju ciężkim krokiem, pochylając jeszcze więcej zgarbione plecy. Tymczasem Pozbitowski przyglądał się drobnym figurkom, czerniącym się na fotografii, i starał się rozpoznawać fizyognomie.

— Zdaje mi się, że to... Maleni!.. tak, to jego łysina!

— Pst!... — zasyczał Bodocki, pokazując drzwi prowadzące na kurytarz.

— A to Muszka Dobrojowska, obok niej Muszka Zahorowska, a tu niżej Muszka Hrunicka...

Wielohradzki wpatrzył się w czarną plamkę, mającą reprezentować Muszkę, *jego* Muszkę... i mimo woli przedstawiał sobie chwilę, w której ta fotografia była zdejmowaną. Słoneczny plac Jura, setka ekwi paży, stroje kobiet, świetny szyk mężczyzn, wesołość, nietroszczenie się o jutro, bezustanna zabawa, jedna smuga śmiechu, błysku i wszelkich estetycznych zadowoleń. Ze świata tego był on prawie wykluczony, czasem jednak dopuszczany w chwili, gdy świat ten błyszczący kręcić się zaczynał. On w ruch puszczał i kierował. Lecz był zabiedny, aby mózdz znajdować się na takiej fotografii i stanowić jedną z tych czarnych plamek, które były odbiciem ich postaci. Rozgoryczony powrócił do domu i, nie jadłszy prawie obiadu, rzucił się na łóżko. Zaczął

po raz pierwszy może tak dotkliwie odczuwać swoją nędzę i ubóstwo. Dawniej owe *Schnitzel-Jagdy* były mu obojętne. Dziś marzył o nich z gorączkową pożądlivością.

O szarej godzinie przywłókł się do owej framugi okna i usiadł naprzeciw matki, zdrczony, zboleły stokroć więcej, niż to Wielohradzka przypuszczać nawet mogła. Ona, zmęczona całodzienną pracą pospieszoną, z całą przyjemnością zanurzyła się moralnie w ową kąpiel romantycznego uczucia i sama naprowadziła syna na drogę zwierzeń. Lecz dziś Tadeusz milczał, czując w sercu, oprócz miłego niepokoju, jad dręczących go od rana myśli. Nie mógł i nie chciał mówić o nich przed tą kobietą, która pokłóte palce owijała szmatkami płótna, pragnąc je wygoić do jutrzejszej pracy. I w milczeniu tém się trawiąc, cierpiał więcej, bo jego natura potrzebowała koniecznie ujścia. Milczał jednak, i szary cień zapadał mu na twarz, cień smutku i wielkiego niezadowolenia.

Tymczasem Wielohradzka starała się obudzić wiarę w sercu syna. Po raz setny powracała do tłumaczenia mu, iż postępowanie Muszki nawet ona sama znajduje naturalném.

— Jakże chcesz — mówiła — aby Muszka tak otwarcie i brutalnie stanęła do walki ze światem! Powoli, umiejętnie przygotowuje teren, stara się wybadać matkę, opiekuna, całe swe otoczenie.

Tadeusz, milcząc, głową kiwał.

Wielohradzka pochwyciła go za rękę.

— Słuchaj, dziecino! — wyrzekła. — Zmuszasz mnie tą swoją niewiarą do powiedzenia ci całej prawdy. Małżeństwo twego ojca i moje było twém przyszlém małżeństwem z Muszką. I on, jak ty, był ubogi, tylko — rasowy, pan w każdym calu i mający piękne nazwisko. Ja, z zamożnego domu obywatelskiego dziewczyna, wyróżniłam go odrazu w tłumie otaczającej mnie młodzieży. Przewalczyłam, przecierpiałam i doprowadziłam do tego, że ojciec twój mnie poślubił...

Zawahała się chwilę i twarz jój piękna w obramowaniu siwych włosów, na które padał zmrok wieczoru, przybrała odcień zakłopotania.

— Nie powiem... ażebym postępowała z twoim ojcem, jak postępuje z tobą panna Dobrojowska — ciągnęła łagodnie — lecz... inne czasy, inne obyczaje. Rozumiem to i uwzględniam. I ja kryłam się długo, ze swoim wyborem, lękając się gniewu i oporu rodziców... Wreszcie przyznałam się...

Uścisnęła gorąco rękę syna.

— I ona się przyznała.. — wyrzekła — zobaczysz będziesz szczęśliwy!.. ja także!.. och! droga, dzielna dziewczyna!..

Tadeusz od kilku chwil myślał o tém, iż zataił przed matką punkt ważny, to jest przyrzeczenie da-

ne Muszce, iż przyjedzie nad morze w sezonie letnim tam, gdzie ona przebywać będzie.

Nie śmiał się do tego przyznać, nie śmiał o tém mówić. Rozpacz bezsilna ogarniała go. Nie miał nawet dziesiątej części pieniędzy potrzebnych na tak daleką i kosztowną wycieczkę. Co począć miał!..

Minęły wyścigi, i Tadeusz przesiedział te dni w biurze i w domu. Nie chciał jechać dorozką na tor, co dawniej byłby uważał za szczyt szczęścia. Zaczął się teraz robić coraz wybredniejszym w sposobie pojawiania się w towarzystwach, i sama myśl niewzięcia udziału w *corso* powyścigowém odwiodła go od myśli pojechania na tor. Te trzy dni były dla niego najwyższą męczarnią. W dodatku wiedział, iż odbyło się kilka wieczorów, na które go nie zaproszono. Zaczął tracić nadzieję w świetność gwiazdy, która go wiodła do téj chwili i ułatwiała mu przesuwanie się po ślizgawce życia.

Ostateczny cios spadł na niego z ust Stania Pozbitowskiego, który dnia jednego w rozmowie z Charłupką wspomniał o nagłym opustoszeniu Lwowa.

— Wszyscy wyjeżdżają! — mówił — przedwczoraj Bodocey, wczoraj Muszka Dobrojowska, dziś Orzeccy...

— Ba!.. — odparł Charłupko — zostaną się panny namiestnikównie, *kaiser-königliche* fornalka, będziemy grać z niemi w *tennis*; namiestnikowa mówiła mi, iż urządzać będzie *garden-party*...

— Śliczna perspektywa!.. westchnął Pozbitowski. Wielohradzki pochylił się nad swém biurkiem i udawał, że czyta Walter-Scotta. Ale litery skakały mu przed oczami. Muszka wyjechała, nie zobaczywszy się z nim nawet. Prawdopodobnie zapomniała o nim zupełnie.

Powrócił do domu i od progu matka, spojrzawszy na jego twarz zmienioną, spytała szeptem z powodu obecności Teci:

— *Et bien?*..

— *Elle est partie!*.. — rzucił Tadeusz przez zaciśnięte zęby.

Wszedł do swego pokoju i tam położył się na łóżko w palcie, zakrywając twarz ręką. Martwił się, nie jak mężczyzna, ale jak dziecko, jak nerwowa i rozkapryszona kobieta. Nie krył się przed matką ze swém zmartwieniem. Owszem, przesadzał je nawet, pragnąc wywołać współczucie.

Wielohradzka zbliżyła się ku niemu, starannie drzwi zamykając. Chwilę szukała wytłómaczenia postępku Muszki i sposobu pocieszenia syna, lecz nie znaleźć nie mogła. Zaczynała sama dziwić się, lecz nie straciła ani na chwilę wiary, ani pewności siebie. Pochyliła się nad leżącym Tadeuszem, który wcisnął twarz w haftowaną poduszkę.

— Nie martw się — pocieszała go. — Dostaniesz dziś jutro list, w którym znajdziesz słowo pożegnania i nadziei. Ja mam jaknajlepsze przeczucie...

Prześpij się... ja wychodzę... wstąpię do kościoła...
Bóg przemieni to nasze strapienie... Zobaczysz, list
wkrótce mieć będziesz...

Wielohradzki nie odpowiedział ani słowa, lecz
jeszcze większy niepokój pochwycił jego istotę. Li-
stu tego bał się jak ognia.

Jeśli bowiem Muszka da mu znać, gdzie się znaj-
duje, powinien jechać natychmiast. Lecz za co?
zkaąd wziąć potrzebnych na tę podróż pieniędzy?
Kto wie, dokąd Dobrojowskie pojedą? Nad Atlan-
tyk? lub nad morze Śródziemne?...

Wielohradzka, zasłoniwszy okienko firanką z cie-
mno-zielonej satyny, wyszła cicho z pokoju. Koło
okna siedziała Teczka i szyla pilnie, wyciągając ner-
wowym ruchem igłę z tkaniny. W jasnym oświetle-
niu delikatny, blady jęj profil rozplýwał się prawie
i nikł w przestrzeni. Słónce zapalało świetlane bla-
ski w jęj włosach i migotało w celluloidzie strzały,
sterczącęj blond promieniem z pośród upiętęj wysoko
torsady.

Siedząc tak przy tém oknie, z którego plynęły
strugi przejrzystego światła, miała w sobie wdzięk
obrazu, nakreślonego ręką jakięjs belgijskieję impre-
syonistki. Błado-liliowe draperye łączyły się z lek-
ko zaprawioną woskiem podłogą, po której słały się
promienie słońca.

Wielohradzka zbliżyła się do stołu i w kapelu-
szu i w okryciu zaczęła układać sfastrygowane

z głasy staniki i rękawy. Starła się zawinać je w gazetę tak, aby tworzyły jaknajmniejsze zawiątko. Chwilę opuściła ręce i stała tak zafrasowana, spoglądając na zamknięte drzwi, prowadzące do pokoju syna.

Cierpiała nad tém, iż musiała w całej tej sprawie pozostać beczynną i nie mogła żadną miarą wystąpić ze swą interwencją. Nie była jednak zdziwiona tą całą przygodą. Według niej Tadeusz, czy prędzej czy później, powinien był zrobić „karyerę” i zacząć ją od zawarcia jakiegoś świetnego związku małżeńskiego. Zbroiła się więc do walki, znając słaby charakter syna. Postanowiła iść do kościoła i prosić Boga o siły i cierpliwość. Dziś, mając podwójne zmartwienie, potrzebowała ciszy kościoła. Oprócz bowiem strapienia z powodu syna, lękała się teraz, iż Teciś lada chwila opuścić ją może. Pikniewiczowa wezwała ją zrana do siebie i prosiła, aby wpływem swoim uzyskała od Teci zgodzenie się na zostanie żoną pana Janczewskiego. Mechanik oświadczył się o Teci i, zyskawszy przychylną odpowiedź babki, znalazł się nagle wobec szalonego oporu ze strony samej panny. Pikniewiczowa tłumaczyła Wielohradzkiej, iż Janczewski, kolligacyami swemi spokrewniony z Charlupkami i innymi wysokimi rodami, będzie awansował szybko i zrobi „karyerę”. Damy, opiekujące się Pikniewiczową i dające jej dożywotnią zapomogę, życzyły sobie

tego związku. Tymczasem Teczka wybuchem łez odpowiedziała na czynione jęj w tym względie zapytania i teraz zamknęła się w uporczywém milczeniu, którego nie przełamać nie mogło. Wielohradzka z uśmiechem na ustach składała Pikniewiczowej życzenia, lecz serce zamierało w jęj piersiach. Teczka, raz zamąż wydana, musiała, naturalnie, opuścić jęj pracownię i przestać dopomagać jęj w pracy. Była to dla nięj ruina, gdyż młoda dziewczyna prawie sama jedna dźwigała teraz cały ciężar powierzanych Wielohradzkiej robót.

Nie chcąc jednak dla egoistycznych powodów druzgotać przyszłości całej rodziny, Wielohradzka od rana usiłowała nakłonić Teczę do przyjęcia oświadczyn pana Janczewskiego. Teczka jednak bez gniewu i żalu odparła stanowczo, iż zamąż wyjść nie myśli, i z takim zapalem zajęła się szyciem i fastrygowaniem świeżo skrajanęj sukni, iż Wielohradzka poczuła chwilową otuchę, wstępującą w jęj zamierające z trwogi serce.

Niemnięj jednak obecnie, kierując się już ku wyjściu, uznała za stosowne zwrócić się ku dziewczynie, która z ustami pełnemi szpilek siedziała pochylona nad blade-liliową kaskadą jedwabiu, opływającą ją dokoła.

— Wychodzę... — wyrzekła Wielohradzka—powrócę za godzinę. Niech Teczka pomodli się o dobre natchnienie i zastanowi się nad tém, co powiedzia-

am. Pan Janczewski zdaje się być uczciwym i zawnym człowiekiem. Gniazdo dobre, ród bogobojny. Przym babka będzie z tego niewymownie szczęśliwa...

Zawahała się chwilę, poczem dodała mniej już pewnym głosem:

— Ja... także!

Lecz Tacia, nie wyjmując z ust szpilek, zaczęła mówić przez zaciśnięte zęby:

— Proszę pani... ja nie mam się co namyślać... ja za mąż nie pójdę... mnie tak dobrze... ja zawsze zostanę przy babce... przy Felku... i przy pani... dokąd mnie pani zechce trzymać u siebie...

Wielohradzka miała ochotę pocałować Tecię w czoło, lecz powstrzymała to grzeszne według niej uczucie radości.

— Niech się Tacia jeszcze namyśli... — wyrzekła, za klamkę ujmując — a!.. jeszcze jedno... niech nie szyje na maszynie, bo pan Tadeusz się położył...

I, jakby czując konieczną potrzebę zwierzienia się z części swego strapienia, dodała:

— Nie trzeba robić hałasu... Tadzio ma zmartwienie...

Tacia szybko głowę podniosła...

— Co mu się stało, proszę pani?.. — zapytała nieśmiało.

Lecz Wielohradzka ściągnęła tajemniczo usta.

— To są zmartwienia, których Tacia jeszcze

nie rozumié!.. — odparła, znikając w głębi przed-pokoju.

Za chwilę słychać było, jak delikatnie zamykała drzwi wejściowe, szumiąc jedwabną podszewką sukni, zlataną z tysiąca kawałków różnorodnej czarnej materyi.

Koło okna pozostała Teczka, blada w jasnym oświetleniu, które nadawało jej cerze przejrzystość japońskiej porcelany.

Ze złożonemi na kolanach rękami siedziała prosto, sztywno, jak dziewice na obrazie prymitywistów, odziane w sztywne futerały blado zabarwionych brokartów. I tylko z jej ciemnych oczu zaczęły szybko toczyć się duże łzy.

VIII.

Z bijącym sercem sięgnął Wielohradzki ręką po list, który na jego biurku w namiestnictwie leżał pomiędzy nielicznymi papierami, rozrzuconymi dokoła.

Koperta była zwyczajna, biała, bez zapachu, bez monogramu,—koperta osób niechęcych się kompromitować lub niemających środków do wykwińskiego dbania o sposoby korespondencyi.

Tadeusz chciał już rozerwać ową kopertę, gdy do pokoju wszedł Pozbitowski i Jurek Bodocki, rozmawiający głośno o świeżym skandalu w łonie arystokracji galicyjskiej. Książę Boniński ożenił się z wieloletnią swą „przyjaciółką”, córką ekonoma, i podobno miał zamiar otworzyć salony i przyjmować przyszlęj zimy. Bodocki pochwalał niezmiernie odwagę Bonińskiego i cieszył się nadzieją tój „*bonne farce*”, jaką Boniński damom galicyjskim urządził. Pozbitowski, mniej ekscentryczny, bardziej konserwatywny, ramionami ruszał i zdania swego nie wypowiadał.

Wielohradzki list do kieszeni włożył i wysunął się cicho z pokoju na kurytarz.

Po froterowanej posadzce, wśród wąwozu ścian białych, biegła ścieżka dywanika aż ku oknu otwartemu szeroko; po za niém szumiały i zieleniały drzewa rosnące na szkarpach. Szybko w oddali przesunęła się z jednych drzwi do drugich sylwetka Wojsy, niosącego pod pachą egzemplarze sztuk teatralnych przysłane do cenzury.

Wielohradzki podszedł ku oknu i wreszcie koper-tę rozerwał. Na białej ćwiartce papieru nakreślono tylko te słowa:

— *France, Finistère, Concarneau.*

To było wszystko.

Wielohradzkiemu zdawało się, iż czyta wyrok swój śmierci.

Wolał już zupełne Muszki milczenie. Te trzy wyrazy nakreślone smagały go chłostą nędzy. Schował list do kieszeni i, oparłszy się o okno, patrzył na ulicę, nie widząc nic, prawie obłąkany z bezsilnego gniewu, jaki nim miotać zaczął.

— *Finistère! Concarneau!.*

Musiała to być gdzieś na północy Francyi, nad brzegiem oceanu. Tysiące mil dzieliło go od tego miejsca. Nie mógł nawet marzyć o pojechaniu natychmiastowém. Postanowił nie mówić nawet matce o otrzymaniu listu. Po co? wszak ona nie poradzi nie jest w stanie.

Oparł się o ramę okna i bezmyślnie zaczął patrzeć przed siebie. Przed nim, po za szerokością placu, który szarzał jasno w przestrzeni, bieliły się brutalnie baryery, otaczające dokoła szkarpy. Po za nimi pnie drzew nabierały fioletowo-czerwonych tonów. Na żółtym piasku alei grały złote plamy słoneczne. I dalej panował cień trawników dobrze utrzymanych, pokrytych baldachimem lipowych gałęzi. Tu i owdzie migwały sylwetki ludzi, dzieci odzianych jasno, mundury żołnierzy, białe fartuchy nianiek. Gdzieś daleko grała katarynka i urywane, chrypliwe tony dolatywały do uszu Wielohradzkiego. Zdenerwowany, cofnął się od okna i powrócił do biura. Usiadł, starając ukryć się po za rodzaj szafki, stojącej na biurku i przeznaczonej na chowanie papierów. Lecz i tam słyszał ciągle nosowy głos Stenia, jego śmiech kozi i niski gardłowy głos Jurka. Rozmawiali teraz o Malewiczu i o jego prawdopodobnym małżeństwie z panną Statnicką. I znów Bodocki znajdował odwagę panny bardzo „bath”, a Pozbitowski ramionami ruszał. Poczém utonęli w powodzi drobnych plotek, zagładając od czasu do czasu do rozmaitych psiarni, stajni i wozowni. Plotkowali z prawdziwem zamiłowaniem, zrecznie, dowcipnie, tak, jak to mężczyźni plotkować umieją.

On dit było ciągle na porządku dziennym. Wielohradzki, który dawniej przysłuchiwał się takięj

rozmowie z pewnym rodzajem respektu, dziś gryź sobie do krwi ręce, aby nie wybuchnąć nagle nerwowym płaczem i nie zacząć ciskać papierami i raportami na głowy arystokratycznych plotkarzy. Porwał Walter Scotta i zaczął czytać przerwana powieść. Lecz teraz znów Bodocki powrócił do Malewicza i opowiadał, że zapanuje wielki smutek wśród dam, skoro ten *professional lower* ożeni się i przestanie w wolnych chwilach od grania w karty flirtować na seryo i na żarty.

Wielohradzki wetknął obydwie wielkie palce w uszy i siedział tak blady, z oczyma nagle podsiąniętymi, z wargami pogryzionymi, w przystępie szalonego nerwowego podrażnienia.

.

Gdy powrócił do domu z silnym postanowieniem niemówienia matce o otrzymanym liście, pierwsze jego słowa były:

— Mam list!..

Wielohradzka złożyła ręce jak do modlitwy.

— Chwała Bogu!.. — zawołała radośnie.

Lecz on zawrzał cały i wybuchnął teraz tak długo powstrzymywaną rozpaczą.

List!.. tak!.. zapewne, otrzymał list, a raczej świstek, na którym było wypisane miejsce pobytu Muszki, lecz co mu z tego? do czego mu to służy?.. do czego?..

Położył przed matką ów arkusik papieru i sam zaczął biegać po pokoju, jak pantera po klatce. Rozzerwał u szyi kołnierzyk i krawat. Rozdrażnienie i upał dusiły go. Sine żyły wystąpiły mu na skroniach, na delikatném tle przejrzystej skóry.

Wielohradzka przeczytała list i zdziwiona spojrziała na syna.

— Nie rozumiem twego rozdrażnienia... Panna Dobrojowska przysłała ci swój adres, chcąc, ażebyś do niej napisał. Trzeba, ażebyś brulion ułożył dziś wieczorem.

Lecz on przerwał jój gwałtownie, nie hamując nawet swego uniesienia.

— Nie!.. — krzyknął — nie pisać, nie układać bruliony powinienem... ale... jechać!!! Tak! jechać do tego Concarneau!.. i to natychmiast. Zataiłem przed mamą, iż lekkomyślnie przyrzekłem Muszce przyjechać tam, gdzie ona będzie w lecie! Dziś, wierna swemu przyrzeczeniu, daje mi znać o sobie, i przesyłając adres, wzywa, abym dotrzymał danego jój słowa... a ja... jechać nie mogę! nie mogę!.. nie mam za co!.. nie mam za co!..

Wielohradzka pobladła nagle i usiadła na poblizkiem krześle, jak ktoś, na kogo spada nagle nieprzewidziany zupełnie cios w chwili wielkiej radości. Twarz jój postarzała nagle o kilkanaście lat, ręce obwisły wzdłuż ciała.

Tymczasem Tadeusz zaczął znów biegać po po-

koju, rwąc febrycznie krawat i zaciskając go dokoła szyi.

— Jechać!..—śmiał się gorzko—jechać!.. z czém? z temi czterema guldenami w kieszeni?.. A!.. gdy pomyślę, że stracę Muszkę przez tę moją nędzę przekłątą, mam óchęć polecić nad staw Pełczyński i rzucić się w wodę!..

Chciał jeszcze mówić, lecz Wielohradzka powstała nagle i ze stanowczością żelazną w głosie wyrzekła:

— Postaraj się o urlop i dowiedz się, ile kosztuje kolój tam i z powrotem do tego Concarneau...

Tadeusz stanął na środku pokoju i ramionami wzruszył.

— Po co?... — zapytał — przecież nie pojedę!..

Lecz Wielohradzka odparła z prostotą;

— Pojedziesz!.. musisz!..

.

I Tadeusz pojechał.

IX.

Trzęsący omnibus hotelowy o wyzłocném dziwacznie pudle zaczął dudnić z hałasem po bruku. Tadeusz, zmęczony forsowną w trzeciej klasie jazdą, wtulił się w kąć i przymknął oczy. Lecz w okienku drzwi pojawiła się głowa posługacza, który wrzasnął z całej siły:

— *Le port!*.

Tadeusz oczy otworzył i zaczął patrzeć przez szyby na panoramę portu Concarneau, znajdującego się w chwili zupełnego przypływu morza. Patrzył i oczom swym nie wierzył, tak czarowny widok miał przed sobą. Wychowany pomiędzy ulicą Jezuicką i namiestnictwem, nie zastanawiał się nawet, iż na świecie, oprócz Wałów i salonów, ogrzanych sztuczném światłem i przesyconych duszną atmosferą, są inne jeszcze miejsca, pełne jasności, przestronne i całe białe od szerokiej płachty staczającego się w przepaść widnokręgu.

Jego biedne oczy *konceptspraktykanta* otwarły się

szeroko na widok starego miasta Concarneau, występującego nagle fortyfikacyami z granitu z fal morza, jał w tój chwili szaro-zielonych, osrebrzonych masą białej piany, która śniegowym wałem bramowała obrosłe szmaragdową pleśnią granity.

A dokoła tój fortecy, tak czarodziejsko wyrastającej wśród fal, jak potworny i skamieniały kwiat o zębatěj koronie, kolysał się cały las bark, statków i łodzi o jasno-zielonych, purpurowych i brązowych korpusach. Z purpury tój i zieleni sterczały wysoko w górę maszty, z których spływały olbrzymie siatki, wydęte wichrem o czarująco delikatnych, niepewnych i zmieniających się barwach. Zdaleka wyglądały te siatki jak olbrzymie wuale z krepy szafirowej, brązowej, liliowej, szarėj... Wiatr rozwiewał je jak najcieńsze, najdelikatniejsze zasłony. Na ciemném szafirze nieba cień tych krep siatkowych nabierał mistycznych, dziwacznych tonów, kryjąc w swych fałdach brutalność masztowego skieletu. I daleko, daleko: wzdłuż kamiennego ocembrowania wybrzeża, widać było tę masę wualów, wiewających powoli, wysoko, po nad tłumem rybaków i rybaczek, cisnących się po nad wybrzeżem. Omnibus zawraca teraz dokoła placu, po którym biegały dzieci, odziane w szafirowe płótno i w klekocące drewniane saboty. Wielohradzki dojrzał jeszcze całą masę białych, muślinowych czepków, których szarfy wiatr rozwiewał,— płaskie kosze, osrebrzone tysiącami sardynek, i żółte

stroje rybaków, rozchodzących się z bark po szynkach i knajpach nadbrzeżnych.

Owionął go ostry zapach *warechu* i świeżych ryb. Dzuł się dziwnie niespokojnym i mimowoli drżał teraz na całym ciele. Lecz już omnibus zajeżdżał przed hotel pierwszorzędny i wysoka kobieta w małym czepku, odziana czarno, z twarzą rozpaczliwie smutną, otwierała drzwiczki omnibusu. Była to sama właścicielka hotelu, pani Leclinche, chłopka bretońska, zbogacona i wiecznie zachmurzona. Szybko zmierzyla wzrokiem wykwintne ubranie podróżne Wielohradzkiego i oceniła jego bagaże. Widziała, iż walizki nie były wielkie, lecz dość eleganckie, okryte pokrowcami z szarego płótna, na których czerniły się dyskretnie wyszyte monogramy. Zwróciwszy się do służby, zadysponowała numer 42 i, oddawszy dziewczynie walizki, powróciła na ławkę, stojącą przed hotelem, na której usiadłszy z założonemi na piersiach rękami, zdawała się zapominać o Wielohradzkim i o świecie całym. Z pod oka jednak śledziła wciąż sardynierki, przechodzące z koszami pełnemi sardynek przez plac, czekając na wysłanie swych ludzi w chwili, gdy fabryki przestaną już kupować potrzebne im ilości ryb. Później bowiem przybyłe barki musiały sprzedawać połów swój za bezcen, nie chcąc być zmuszonemi do wrzucania sardynek w morze. Pani Leclinche miała niewielką fabrykę, cokolwiek oddaloną od miasta. Skupowała

zwykle już trochę przestarzałe sardynki i miała je za znacznie niższą cenę, spekulując na ogólnej nędzy, panującej pomiędzy rybakami Concarneau.

Tymczasem Tadeusz gorączkowo obmywał się z podróznego kurzu i, zadzwoniwszy na służącą, rzucił jęj z niechcenia pytanie: czy hrabina Dobrojowska mieszka w tym hotelu? Dziewczyna, gapiowata bretonka o wspaniałych czarnych oczach, cała rozeźmiana w promieniach muślinu swego czepka i olbrzymiego kołnierza, odparła, że jest w hotelu „*comtesse Dobrożeki*” i że te panie są teraz na wybrzeżu. Tadeusz podziękował jęj uprzejmie, na co bretonka odparła skromnie, iż „niéma za co”, i, pozostawszy sam, otworzył walizy i rozkładał na krzesłach, fotelach i stole zgniecione cokolwiek przez tak daleką drogę ubranie. Po głębszym jednak namyśle postanowił nie zmieniać podróznego garnituru i jedynie włożyć świeżą bieliznę, krawat i kapelusz. Nie wiedział bowiem, co i kiedy się kładzie nad owém „morzem”, pomimo, że krawiec we Lwowie dał mu odpowiednie informacye.

Ubrawszy się, uczesawszy, skropiwszy wodą kołońską, przejrzał się Tadeusz z zadowoleniem w lustrze. Zmęczenie podróży dodało mu interesującej bladeści. Schudł trochę i oczy mu zapadły. Znalazł się ładnym i powrócił jeszcze raz do lustra, aby lekko pociągnąć popękane od wiatru wargi pomadką poziomkową. Wciągnął rękawiczki i, nałożywszy

kapelusze, wyszedł wreszcie, starając się odgadnąć, które z tych zamkniętych drzwi prowadziły do pokoju Muszki.

Na wschodach spotkał się nagle z całą bandą młodych dziewczyn — w białych, różowych, niebieskich bluzkach i szewiotowych ciemnych spódnicach. Panny te mówiły po angielsku i miały duże nogi, obute w jasne trzewiki, i wielkie zęby, wysuwające się fatalnie aż po nad dolne wargi. Niektóre miały małe męskie kapelusiki na gładko wyczesanych włosach, inne — berety, a dwie czy trzy — sukienne kratkowane czapki z daszkami silnie opuszczonemi na cokolwiek zaczerwienione nosy. Panny te przemknęły koło Tadeusza jak cienie, nie zwracając na niego uwagi, szwargocąc głośno i dźwigając pod pachą teki, pudelka z farbami, płótna na blejtramach, składane krzeselka, a nawet małe stalugi trzcinowe.

Wielohradzki wyszedł na ulicę i szedł teraz wzdłuż ocembrowanego brzegu, pragnąc wydostać się na „plażę”, gdzie prawdopodobnie znajdowała się Muszka. Lecz tłumy bretonek, cisnące się dokoła bark, z których rybacy podawali im cebry i kosze sardynek, zmuszały go co chwila do zatrzymywania się. Pod domami siedziały całe rzędy kobiet bezczynnych, z rękami opuszczonemi na czarnych fałdach odzieży, i patrzyły na port, do którego bezustannie wpływały barki o żółtych i pomarańczowych za-

glach. Żagle te przy wejściu do portów zwijały się szybko, jak skrzydła olbrzymich ptaków dążących do gniazda o wieczornój porze. I zamiast żagli, powoli ku górze wznosiły się siatki rozpięte szeroko, siatki, w których szafirze lub zieleni przeblyskiwały srebrne ciała dużych ryb o purpurowych ogonach i skrzelach. Dno barki wyścielał śnieg sardynek, w którym słońce zapalało złotawe iskierki. I kołyszac się zwolna, nowo przybyłe łodzie torowały sobie drogę ku kamieniom ocembrowania pomiędzy masą innych bark, a na podstawie srebrnej sardynek rysowała się teraz postać rybaka, brutalna i niezgrabna, w niekształtnych liniach odzieży, uszytej z żaglowego płótna, gorąco-pomarańczowego koloru.

Od brzegu wyciągały się ręce, ramiona kobiet, rzucające po przez głowy innych, jak piłkę potworną i pękniętą, płaskie koszyki. Krzyk gardłowy wypełniał powietrze. Ciemne twarze mężczyzn, zjedzone przez wiatr i wodę morską, ciemniały jeszcze pod wpływem nabiegającej krwi z wysiłku przy dźwiganiu koszów. Kobiety zachowywały ciągle dziwną przejrzystość pści, niemal dziewiczej, pod delikatném obramowaniem swych prześlicznych muślinowych czepków. Kilkanaście szarf długich, oszytych koronką, zwieszało się z pod takiego czepka, a wiatr rozwiewał je dokoła, jak promienie świetlanėj i doskonale białej mgły. Kołnierze białe odsłaniały szyje rybaczek i spadały do pasa na czarnej tkaninie aksa-

mitem ubranego stanika. Spódnice krótkie sięgały niemal do kolan i odsłaniały nogi w wysokich skarpetkach z zielonej wełny. Na nogach klekotały saboty.

Wielohradzkemu zdawało się, iż nagle znalazł się na przedstawieniu jakiegoś baletu, i że te rybaczki w koronkach i zielonych skarpetkach złączą niezadługo jakiś taniec przy dźwiękach orkiestry teatralnej. Lecz one rozchodziły się wolno po zaułkach miasta, po dwie, niosąc kosze sardynek.

Niektóre przechodziły most zwodzony i znikaly w obrębie fortyfikacji starego miasta, które teraz traciło cokolwiek na swęj tajemniczości, pokryte lasem masztów i siatek pełnych ryb.

Wielohradzki zapominał się ciągle, stając co chwila na brzegu ocembrowania. Ten ruch, to morze, tak blisko rozbijające się o kamienie, tuż pod jego stopami, zadziwiała go. W oddali po za linią portu dostrzegał białawą płaszczyznę olbrzymią, niezmierną. Był to ocean, i Wielohradzki uczył nagle dreszcz trwogi. Biedna dusza lwowskiego filistra doznała wstrząśnienia. Odwrócił się i zaczął iść szybko wzdłuż domów, na których progu siedzieli mężczyźni szyjący kobiece spódnice i dziecinne sukienki. Tymczasem kobiety, obarczone ciężarem ryb, kierowały się szybko w stronę fabryk, których kominy sterczały samotnie wzdłuż wybrzeży. Tu i owdzie z szynków dochodziły ochryple głosy, ry-

bacy wychodzili z łodzi i znikali w głębi szynkowni, zmęczeni i zużywający tytoń.

Wielohradzki błądził chwilę wśród tych domów pomiędzy bandami dzieci, które przeciągały po ulicach poważne i milezące w swych aksamitnych czepkach, haftowanych złotem i szklanymi paciorkami. Zatrzymał się przed sklepem sabotów i dziwił się, jak ludzie mogą chodzić w podobnych pudełkach. Lecz tuż obok niego maluchna dziewczynka szła szybko, klekocąc po bruku drewnianymi podszewkami sabotów, i małe jej nóżki wysuwały się z pod dość długiej szafirowej spódniczki, obciążonej czerwonymi pończoszkami. Nagle Wielohradzki pochylił się ku dziecku, pytając:

— *Où est la plage?*

Lecz mała podniosła na niego wielkie czarne oczy i nie odpowiedziała nic, nie rozumiejąc po francusku. Weszła w wąską uliczkę, która schodziła na dół, cała obwieszona masą liliowych akacyj, zwieszających się z murów bramujących ten wąwóz. Wielohradzki patrzył na dziecko, jak szło poważne i spokojne, podobne do szafirowo odzianej mniszki, podnosząc sabotami brzeg sukienki i niosąc niemal nieruchomie swą głowę, okrytą muślinem bardzo skomplikowanego czepka.

Mimowoli ta miniaturka kobiety, niknąca coraz dalej wśród murów zielonych od pleśni, pociągnęła go za sobą. Wszedł w tę uliczkę cichą i odludną

i szedł tak długo pomiędzy ciasną przestrzenią liliową, zieloną i różową od akacyj i złotą od przedzierających się przez gałęzie promieni słonecznych. I nagle doznał olśnienia. Uliczka urywała się na zakręcie, i oczom Tadeusza odsłoniło się morze, całe różowe i jasno popielate; rozciągające się niezmierną płaszczyzną pod baldachimem przeczystego szafiru.

Wielohradzki stanął na chwilę i zamienił się cały w oczy, zapominając na sekundę o Muszce, oczarowany, podbity; lecz wnet usunąć się musiał, gdyż z wąwozu uliczki wypadł teraz mały wózek, naładowany rozmaitej wielkości łódeczkami i okręcikami, ciągniony przez dwóch chłopczyków odzianych w białe flanelowe garnitury z ponsowemi beretami na złotych włosach. Za wózkiem pędziło kilka dziewczynek z łopatami i kubelkami w obnażonych do pleców rękach. Cała ta banda, piszcząc, krzycząc, migając purpurą beretów, rozwiewając różowe i białe fałdy sukienek, przemknęła koło Wielohradzkiego i zapadła po kostki w piasek biały i czysty, który rozścielał się dokoła delikatną warstwą, obramowany zielenią tuż ciągnących się łąk, które szły w górę, ku miastu, służąc za podstawę nadbrzeżnym willom i murom opasującym zabudowania fabryczne.

I wówczas dopiero Wielohradzki zrozumiał, że jest na owej „plaży”, której szukał. Przed nim — morze wyżarło rodzaj małej zatoki i teraz łagodnie

muskało ten brzeg, cały biały od lekko zwilgotniałego piasku, po którym snuły się ciemne sylwetki postaci ludzkich. W półokrąg, jak łoże teatralne, stały kabiny, pomalowane czerwono lub żółto, i sterczał duży piec blaszany, przy którym jakaś kobieta olbrzymia, odziana w rybacki kaftan i męski kapelusz, grzała kubły z wodą. Kilkadziesiąt osób zajmowało brzeg „plaży”.

Zdaleka widział Wielohradzki kilka kobiet odzianych w długie białe peniuary, chodzących tu i owdzie pomiędzy grupami osób siedzących na składanych krzeselkach lub na fotelach w formie małych namiotów. W liliowej powierzchni morza migotały blisko brzegu czarne punkciki. Byli to bez wątpienia kąpiący się. Po lewej, na wierzchołku niewielkiej skały, odcinały się czysto, jak chińskie cienie, sylwetki kilku małych chłopców, giestykulujących żwawo. Cisza była wielka i tylko szmer lekki rozbijającej się o kamienie wody rozpływał się w powietrzu.

Wielohradzki stanął niepewny i niezdecydowany. Przez całą drogę gorączkowo podniecony odsuwał myślą chwilę spotkania się z Muszką. Tyle razy był boleśnie dotknięty, gdy przybył przez nią wezwany, iż zaczynał nie mieć więcj złudzeń. Mimo to jednak urok téj długiej, pierwszej w życiu podróży, romantyczne rady matki upoiły i rozkołysały go. Teraz stanął wobec rzeczywistości. Wyobrażał sobie, iż Muszka, ta *jego* Muszka, jest tam, o kilka kroków,

i ogarniała go wielka nieśmiałość. Wezwała go sama, lecz czy pamiętała już, iż sformułowała z dobrej woli to wezwanie? Jak go przyjmie? co mu powie? może wobec tych wszystkich ludzi odwróci się od niego, jak od natrętnego intruza...

Zaczął powoli okrażać „plażę”, topiąc nogi w piasku i posuwając się z trudnością. Nie miał odwagi zejść na dół i zmieszać się z tymi ludźmi, którzy na tym morskiem wybrzeżu, pod ścianami kabin, zdawali się być u siebie, na swoim terytoryum. Gdy przedostał się na drugą stronę zatoki, ze zdziwieniem ujrzał, iż po za pierwszą jest druga „plaża”, a za tą trzecia i czwarta.

Lecz tu było mniej osób. Dwie kabiny, zamknięte na kłódki, sterczały samotnie, oparte o skałę. Kilka osób znajdowało się na wybrzeżu.

To ośmieliło Wielohradzkiego. Brnąc w piasku, zeszedł i odetchnął, gdy poczuł żwir pod stopami. Wtedy dostrzegł, że po brzegu chodzili mężczyźni w kostiumach kąpielowych i wygrzewali się na słońcu. Byli to ludzie dziwaczeni, z długimi włosami i brodami. Dwóch paliło fajki, plując na żwir, a jeden z nich, kościsty, olbrzymi brunet, który miał na plecach swego trykotu wyhaftowaną wieżę Eiffel, siedział na piasku, z nogami podkureczonemi na sposób turecki i w milczeniu patrzył na morze.

Żaden z tych ludzi nie spojrział nawet na Wielohradzkiego. Wszyscy zdawali się być pogrążeni

w jakiejś niemyj kontemplacji i zajęci tajemnicą własnych myśli. Po za jedną z kabin Wielohradzki, przechodząc, zauważył stalugi, płótno, pudełka z farbami i drzemiącą murzynkę, odzianą w jaskrawą żółto-czerwoną szatę. Do murzynki tuliła się małpa, nawpół zakopana w piasku.

Wielohradzki minął i tę „plażę” i mimowoli szukał teraz kąta, gdzie mógłby myśli zebrać i nakreślić sobie plan działania. Trzecia „plaża” była zupełnie pusta, bez kabin, bez kąpiących się ludzi. Olbrzymi szmat piasku rozścielał się od morza ku górze, ujęty z obu stron w ciemne ramiona skał i przechodzący powoli w zieleń łąk, z których tu i owdzie wystrzelały czerwone pnie świerków o czarnych bogatych baldachimach.

I tylko po prawej stronie, na wierzchołku skały, zamajaczyła zdaleka jakaś sylwetka. Mewy od czasu do czasu zrywały się z brzegów, przelatywały po nad powierzchnią morza i spadały znów na skały, gdzie pozostawały nieruchome, zapatrzone w dal, zasłuchane w loskot fal.

Wielohradzki zaczął iść w kierunku skały. Pragnął usiąść na jej wierzchołku i zostać chwilę sam z sobą. Nie pragnął teraz ujrzeć Muszki, wpierv chciał się otrząsnąć z doznanych wrażeń.

Teraz, pozostawiony sam sobie, samotny, zaczynał się analizować i instynktem oszczędzał swe

nerwy. Czuł, iż nie jest w téj chwili przygotowany do stanięcia oko w oko z Muszką.

Wszedł na wierzchołek skały i nagle, z drugiej strony odłamu kamienia, ujrzał pannę Dobrojowską.

Oddech mu zamarł w piersiach, ona zaś zupełnie spokojnie, z lekkim odcieniem dobrze odegranego zdziwienia, wyrzekła, podając mu rękę:

— *Tiens!.. c'est vous?..*

I z pod przysłoniętych rzęs patrzyła mu prosto w twarz, z takim spokojem, jakby to nie ona rozkazem swoim zwabiła go na ten kraniec Europy, nad brzegi oceanu.

On patrzył również na nią, lecz był zmieszany, jak człowiek złapany na gorącym uczynku kradzieży albo innéj zbrodni. Widział przed sobą jéj prześliczną twarzyczkę, wysuwającą się z dziwaczego kapelusza, zrobionego z różowego batystu w formie dużej budki, jaką noszą angielskie *Katy Grenway* dziewczynki.

Miedzianego koloru jéj włosy lekką złotawą pianą ciemniały pod arkadą koronek i batystu, przez którą przeświecały różowe, słoneczne blaski. Nigdy może Muszka nie wydała mu się tak piękną, tak złągodzoną jakimś dziecinnym, uroczym wdziękiem.

Szerokim, miękkim giestem ukazała mu natychmiast horyzont, mówiąc z półśmiechem:

— *Regardez!.. comme c'est beau!..*

Wielohradzki pobiegł oczami po za tę rękę, która,

wysnuła i piękna, zamajaczyła przed nim, opięta długą rękawiczką duńską. Pragnął porwać ją, przycisnąć do ust, do serca, zdjęty nagłą potrzebą wypowiedzenia wszystkiego, co tłumił w sobie od tak dawna, lecz milczenie Muszki dławilo mu wyrazy cisnące się do gardła. Nie chciał być śmiesznym: a czuł, iż byłby śmiesznym, dając w tej chwili ujście swym romantycznym popędom.

Muszka, zapatrzona w dal, zdawała się w tej chwili już zapominać o jego obecności.

Przed nią słońce zapadało powoli, zawieszono jeszcze po nad morzem naksztalt olbrzymiej purpurowej lampy. Odbijało się w morzu daleko, rozplaszczając się na całe pasma, drżące złotem i krwią rubinów. Lecz już w oddali, ku skrajom widnokręgów, i niebo i morze przybierało żółto-białe tony i zlewało się razem tak, iż zdawać się mogło, że to ocean podnosi się ku górze i przechodzi w ten ciemny szafir, służący za tło purpurze słonecznej. Z mokrego *warechu*, który włóczył się bronzowemi kłębami po rozpadlinach skały, wznosiła się ostra woń jodu. Dziwaczne zielony mchy o szmaragdowych cieniach czepiały się kamieni jak warkocze topielicy.

I nagle, z szaloną szybkością, zaczął kończyć dzień. Morze cofało się, odsłaniając coraz więcej wybrzeże, pokryte teraz gładką powierzchnią zwilżonego piasku. Po morzu liliowo-białém, o czerwonawych smugach świeżo przelanej krwi, przesuwaly się barki

o brunatnych, szeroko rozpiętych żaglach. Wiatr powiał silniejszy i w górze słońce bladło, zatracając swą purpurę, topiąc ją w blaskach chłodnej, pomarańczowej barwy.

Wielohradzki chciał coś przemówić, rozpocząć rozmowę, chwalać morze, pytając o starą hrabinę, lecz Muszka uprzedziła go szybkim ruchem, nakazując mu milczenie.

— *Oh!.. tais-toil!..* — zawołała po raz pierwszy mówiąc mu *ty — tais-toil!..*

On umilkł, nie mogąc pojąć, dlaczego ona każe mu milczeć wtedy, gdy jemu potrzeba słowa piersi rozsada, wtedy, gdy są sami i mówić mogą bezpiecznie. Lecz ona powróciła znów do swój kontemplacyi i pragnęła odnaléć widocznie przerwane przez Wielohradzkiego marzenie.

Trudno jednak było. Urok znikł, Muszka zmarszczyła brwi i niecierpliwie zaczęła gryźć usta.

— Czar prysł!.. -- wyrzekła jakby do siebie półgłosem.

Wielohradzki naiwnie zapytał:

— Dlaczego?

Ona popatrzyła na niego z pewnym rodzajem współczucia i nareszcie wzruszyła ramionami.

— Nic... nic... chodźmy!.. — wyrzekła.

Zesli powoli ze skały i Wielohradzki, który ślizgał się po wilgotnej massie *warechu*, podziwiał, jak Muszka zsuwała się lekko, stawiając umiejętnie na

odlamkach skały swe stopy, obute w płócienne o gumowych podeszwach trzewiki.

Milcząc, przeszli całą „plażę”, i teraz Muszka szła cokolwiek naprzód, dziwnie wiotka i kształtna w swym białym flanelowym kostiumie, składającym się ze spódnicy, krótkiego żakietu i sznurowanej u szyi bluzki. Przechodząc mimo drugiej „plaży”, Muszka zatrzymała się na chwilę, obok drzemiącej murzynki.

— Cóż to? śpisz, Dżali? — spytała po francusku.

Murzynka, a raczej taitianka, otworzyła szeroko swe prześliczne czarne oczy (oczy dobrego domowego zwierzęcia) i z uśmiechem, odsłaniającym w ciemni jej twarzy dwa sznury białych zębów, odparła chrapliwie:

— *Moâ... froid!*

Przytuliła małpę, owinęła się w szmatę jedwabiu i znów zaczęła drzemać, ciągle zmarzła i drżąca, nawet w jaskrawym blasku słońca. Muszka pochyliła się nad małpą i głaskać zaczęła jej kosmatą czaszkę.

— *Joli Coco!*.. — mówiła pieścizliwym głosem.

W sercu Wielohradzkiego wezbrał wielki żal. Muszka miała nawet dla zwierząt dobre słowo: dla niego nie, prócz odegraną komedii w chwili powitania. Gdy odeszli od małpy, zdjęty nagłą determinacją, wyciągnął rękę.

— Ja panią pożegnam! — wyrzekł, starając się ukryć zły humor.

Lecz ona wciąż szła dalej, nie patrząc na niego.

— Cóż znowu? — odparła—zaczekaj pan chwilę, przedstawię pana mojej mamie...

Dochodzili do kabin, i Wielohradzki ujrzał zdaleka samą hrabinę Dobrojowską, która stała na stopniach swjej kabiny, ubrana szaro, z parasolką białą w ręku. Obok niej krzątała się panna służąca, składając fotele, stołeczki, książki, i wnosząc ten cały bazar do wnętrza kabiny. Wielohradzki poznał w niej natychmiast tę samą istotę, która oczekiwała nań we Lwowie przed bramą domu i wezwwała go w imieniu Muszki do teatru. Otoczyła go natychmiast dziwna atmosfera tajemnicy i kłamstwa. Ta służąca powiernica, spełniająca tajemnicze zlecenia córki i krzątająca się koło matki, przejęła go niesmakiem i trwogą. Lecz już widok samej Dobrojowskiej, którą widywał tylko zdaleka, dopełnił téj trwogi. Zdawała mu się, że od téj szaro-ubranéj damy, na pozór nic nie znaczącéj i podobnéj do tuzina dam z arystokracji, zależą losy jego przyszłego życia. Mimo swego zmieszania, starał się jednak iść z gracyą, o ile mu piasek, wypełniający jego półbuciki, na to pozwalał. Nie miał pojęcia, w jaki sposób odbędzie się owa ważna prezentacya. Tymczasem Muszka, doszedłszy do matki, wyciągnęła rękę w stronę Wielohradzkiego i wyrzekła z wielką prostotą:

— Mamó! pan Wielohradzki!..

Dobrojowska uśmiechnęła się blado i uznała za stosowne zdziwić się: co robi ten pan Wielohradzki w Concarneau, tak daleko od Lwowa?

— A!.. a!.. — wyrzekła, głową kręcąc—zład pan się tu wziął?.. Taki kął zapadły!.. co pana tu zagnało?..

Wielohradzki nie przewidywał tego zapytania. Spadło na niego, jak piorun, lecz Muszka, dostrzegłszy jego zakłopotanie, zaczęła mówić:

— Och!.. pan Wielohradzki nie może się tu znużyć... Artysta!..

— Pan maluje?.. — spytała stara hrabina.

— Tak!.. trochę!.. akwarelle... — odparł Wielohradzki, patrząc uparcie na końce swych bucików.

— A!.. w takim razie — mówiła Dobrojowska—rozumiem pana preferencję dla Concarneau. Mnóstwo tu artystów. Sanderson, pejzażysta amerykański, z całą szkołą amerykańek, także tu bawi... Trzydzieści panienek... bardzo oryginalne dziewczęta. Przytém jest kilku Francuzów malarzy... ale to wielkie oryginały... Czasem się ich lękam... mają długie brody... włosy... *Ils ont l'air des anarchistes...*

Zaczęła śmiać się cicho i zwróciła się ku pannie służącej, która zamykała kabinę na klucz, chmurna i czarna pod strzechą swój odstającą grzywy.

— Panna Marcela skończyła? — spytała hrabina.

— Tak, proszę pani hrabiny.

— Proszę wziąć Mopcię i zawołać Tamtutkę...

Panna Marcela wyciągnęła rękę, i dopiero teraz Wielohradzki dostrzegł, iż hrabina trzymała pod pachą małego pieska, tak popielatego, jak jej okrycie.

— Tamtutka!.. — wołała panna Marcela.

Z po za kabin wybiegł śliczny King-Charles z olbrzymiemi czarnemi oczami.

— *En routel!*.. — zakomenderowała hrabina. — Muszko, podaj mi ramię, bo utonę w tym piasku!

Muszka podała matce ramię i obie, skinąwszy głową Wielohradzkemu, odeszły powoli, kierując się w stronę wązkiej uliczki, którą wydostał się na „plażę” Wielohradzki.

Tadeusz patrzył za nimi przez długą chwilę. Szły wolno, obie sztywne, prawie jednakowego wzrostu, obojętne na wszystko, co się wokoło nich działo.

Za nimi, jak cień, wlokła się czarno ubrana panna Marcela, a za panną Marcelą kopała się w piasku Tamtutka, wyglądająca zdaleka jak czarna niewielka kula.

Za chwilę cała ta karawana, obnosząca z taką godnością swe moralne i fizyczne *ja*, zniknęła pod arkadami liliowych akacyj i różowych powojów.

.
Table d'hôte!..

Wielohradzki pewny, że spotka przy stole Muszkę, wszedł pierwszy do sali jadalnej.

Chciał cofnąć się od progu, widząc, iż niema jeszcze nikogo, lecz już pani Leclinche płacząco wskazywała mu miejsce w samym środku długiego stołu.

— Oto miejsce pana! — wyrzekła grobowym głosem.

Wielohradzki usiadł i zaczął wodzić wzrokiem po ścianach pokrytych deskami, na których wisiały stare porcelanowe talerze z Quimper i rozkładały się dziwaczne obrazy o brutalnych płaskich sposobach malowania. Gdzieś jaśniał blado-liliowy pasek morza roztopionego w szklance osłodzonej wody. Jasne światło gazu wydobywało złośliwie na wierzch wszelkie wahania się nieumiejętnej techniki wirtuozów pendzla i oświetlało tryumfalnie proste środki, jakimi widocznie „nowi” starali się osiągnąć doskonałą summę wrażeń dla patrzącego na ich obraz człowieka.

Wielohradzki, zdziwiony, uznał w duszy, iż podobne „bohomyzy” nie powinny być zawieszane nawet w salach hotelu, a wiedząc tyle o prerafaelitach, co o królowej siamskiej, ciasną duszą filistra zwracał się chętniej ku liliowym piaskom, mającym być olejną fotografią nieskończonego w swym majestacie morza.

Tymczasem dokoła stołów krzątały się sługi, przeważnie młode dziewczyny, odziane w kostiumy

rybaczek, tylko w dłuższych spódnicach i bez sabotów na nogach.

Zapały kandelabry, układały owoce, przynosiły serwetki wsunięte w srebrne i kościane kółka, oznaczone nazwiskiem właściciela, i kładły je obok talerzy. Wielohradzki usiłował odgadnąć, gdzie siedzieć będzie Muszka, i gorąco mu się robiło na myśl, iż może zajmie miejsce obok niego. Po za nim, przez rząd szeroko otwartych okien, widać było konanie dnia, przepływającego z jasności w błękitnawoszarą mgłę. Z trzaskiem zamykano żaluzje. Rybacy klócili się na placu i ochryple ich głosy mieszały się ze szczękami talerzy. Nagle, z ostatnią zamkniętą żaluzją, wrzask ten ucichł i teraz tylko słychać było dźwięk fajansu i suchy łoskot przetrząsanego srebra.

Lecz już powoli drzwi otwierać się zaczęły i wchodzili goście, szukając swych miejsc, odsuwając krzesła, oglądając serwety, zamieniając je, witając się wzajemnie. Nikt nie zwracał uwagi na Wielohradzkiego, który w swym kostiumie lwowskim, skrajanym modą wiedeńską, w sztywnym kołnierzyku i krawacie miał minę wystrojonego komiwojażera. Wszyscy ci ludzie, którzy wchodzili do sali jadalnej, przybierając maniery i pozy rybaków i rybaczek, mieli na sobie odzież flanelową, luźne bluzy, koszule rozchylone u szyi, szewiotowe żakiety, alpagowe kurtki, ręce opalone, twarze zaczerwienione

i pogryzione słonem, morskiem powietrzem. Z hałasem i śmiechem wtargnęła grupa dzieci, dwóch chłopców w marynarskich kurtkach, dwie dziewczynki w długich, flanelowych, różowych sukienkach. Rzucili się do swych krzeseł, czyniąc wielkie zamieszanie, zajmując dużo miejsca swemi maluchnemi osóbkami.

Prawie wszystkie miejsca przy stole były teraz zajęte. Dwa krzesła obok Wielohradzkiego i trzy naprzeciw pozostały próżne. Teraz rzędem zaczęły wchodzić amerykanki i zasiadać dokoła osobnego stołu, który bielił się, jak długi wążki wąż, w głębi sali. Wszystkie te *miss* były do siebie podobne: chude, cienkie, w bluzkach perkalowych, odstających na plecach jak balony, w spódnicach z ciemnej wełny. Niektóre miały cerę dość świeżą i przejrzystą, przeważnie jednak były to brzydkie dziewczyny.

Na samym końcu stołu, w otoczeniu owych amerykańkanek, zajął miejsce siwy mężczyzna, wysoki, blade, o długiej, białej brodzie i spłowiałych turkusowych oczach. Miał wygląd morfinomana i źrenice zaszkłone. Był to sławny malarz amerykański, Sanderson, nauczyciel tej całej falangi młodych *miss*, które przywędrowały za nim po grzbiecie oceanu do Bretanii, dla „studowania morza”.

Dziewczyny usługujące roznosiły zupę, bulion bladawo-żółty, po którym pływały kawałki chleba.

Łyżki zaczęły dzwonić o talerze i jedynie ten hałas przerywał grobową ciszę panującą w sali. Grono malarzy Amerykanów i Anglików, odzianych *correct* w surduty i krawaty, odbijało od reszty gości swą zimną poprawnością niekompromitujących się w zbytniem *laisser aller* ludzi. Wielohradzki zaczął się przypatrywać ciekawie tym bladym, podłużnym twarzom, oprawionym w wąskie paski baków lub wygolonym starannie, jak twarze aktorów lub dzokiejów. Zauważył, iż od czasu do czasu malarze przesyłali znaczące spojrzenia ku *missom*, a te nawzajem odpowiadały z pod przysłoniętych powiek, zaczerwienionych od wiatru i słonego powietrza morskiego.

Nagle drzwi się otworzyły z hałasem i wtargnęło do sali czterech mężczyzn oraz owa murzynka, którą Wielohradzki widział drzemiącą na „plaży” po za kabinami. Murzynka miała teraz tryumfujący turban z fularu mocno czerwonego. Dreptała po za mężczyznami, którzy szli prosto ku swoim miejscom, rozmawiając głośno. Odziani byli dziwacznie, brudno w zbyt ciasnych koszulach, w wyplamionych kurtkach. Jeden z nich miał na nogach saboty i stukał nimi przeraźliwie; inni szli cicho, jak koty, mlaskając kaloszami o zbyt wyfroterowaną podłogę.

Swobodnie i niedbale zajęli miejsca i zabrali się ostro do jedzenia zupy, odgarniając długie włosy i brody, które im spadały na ramiona, nadając pozór bandytów włoskich. Koło Wielohradzkiego usiadła

murzynka i natychmiast wpackowała olbrzymi kawałek chleba w swoje szerokie usta. Miała ruchy małpy i kurczyła się na krześle, ciągle zziębła. Gorąco jednak zaczynało już panować w sali i jedna z dziewczynek otwierała wentylatory. Inne sprzątały talerze i przynosiły półmiski. Wielohradzki posmutniał i zaczął melancholijnie wpatrywać się w swój pusty talerz.

Muszka nie przyszła.

Liczył tak wiele na owo zbliżenie się przy stole, na ciągłą rozmowę, na to odosobnienie się, pomimo obecności współbiesiadników! Zamiast Muszki, miał obok siebie potworną postać taitianki, czarno-żółtą w okrutnym świetle gazu, z plamami sinemi paznogi na długich kościstych palcach.

Wielohradzki podniósł oczy, chcąc uniknąć widoku tej ręki, która ciemniała przed nim na bieli obrusa, poruszając się nerwowo, jak gad czarny i potwornie brzydki. Szmer rozmów zaczynał powoli dzwięczeć w powietrzu. Roznoszono ryby nieznanne Wielohradzkiemu, prawie purpurowe. Francuzi ożywiali się, nalewając wino, jabłecznik lub piwo. Dzieci rozprawiały dość głośno o zapowiedzianych za dni parę regatach, w których miały wziąć udział wszelkie małe okręciki, jachty, barki będące w posiadaniu dzieciarni w Concarneau. Długowłosi mężczyźni zawiązali pomiędzy sobą pogawędkę, interpelując się

przez stół, nazywając się pomiędzy sobą *nabi* *) i zdając się nie zważać na otaczające ich osoby. Jedyne tylko klan malarzy amerykańskich jadł w milczeniu, zamieniając spojrzenia z *miss*'ami, które jadły powoli, nie śpiesząc się, wyprostowane w sztywnych kołnierzykach kretonowych bluzek.

Wielohradzki szczęśliwy był z owego braku ciekawości, jakim się odznaczali ci wszyscy ludzie. Był jedynym krzesłem zapełnionym czémś, co zdawało się nie egzystować w przestrzeni. Nie potrzebował ukrywać wcale złego humoru i zdenerwowania, jakie go ogarniało. Myślą przebiegał świeżo odbytą podróż, męczącą, straszną, upokarzającą, w brudnym wagonie trzeciej klasy, pomiędzy chłopami, plującymi bez przerwy na podłogę, i handlarzami koni, którzy powracali do Laval. Jechał tak bez wytchnienia przez Wiedeń, przebiegał miasta, goniąc tanie pociągi, i dopiero w Laval wsiadł do pierwszej klasy, lekając się jakiego nieprzewidzianego wypadku, który-by mu kazał się wstydzic za tę źle ukrytą nędzę. Przywitanie z muszką nie odpowiedziało jego oczekiwaniom. Dziewczyna znów zamknęła się w sobie zazdrośnie i nie dała mu niczem poznać, że była rada z jego przybycia...

— *Choux-fleurs, sauce blanche*... — zabrzmiało nad jego uchem.

*) W hebrajskim i arabskim *nabi* znaczy podprorok. (P. A.)

Wziął odrobinę kalafiorów, pragnąc odosobnić się znów i powrócić do swoich myśli. Lecz teraz było to już niepodobieństwem. Rozmowy krzyżowały się w powietrzu, a grupa długowłosych mężczyzn żarliwą dyskusją przewyższała wszystkich. Wielohradzki zaczął się im przyglądać uważniej i zdziwiony był dziwną łagodnością, jaką przebijała się z tych twarzy. Wszyscy byli do siebie podobni; sposób noszenia długich włosów i bród nadawał im zapewne ową wspólną cechę. Z rozmowy ich Wielohradzki zrozumiał, że to była właśnie owa grupa źle wychowanych malarzy francuskich, o których mówiła hrabina Dobrojowska. Zbliżka jednak byli mniej straszni, niż widziani na wybrzeżu w purpurze zachodzącego słońca. Wielohradzki starał się pochwycić treść ich rozmowy. Lecz naprózno wyteżał swoją inteligencję. Słyszał ciągle słowa: „synteza”, „symbol”, „styl” — imiona: Gwido ze Sieny, Cimabue, Ghirlandajo, Monticelli... I znów, z błyskotliwością, właściwą wykształconym Francuzom, ludzie ci przeskakiwali w rozmowie do wad ustroju społecznego, do namiętności wstrząsających umysłem ludzkim, do psychologii, do filozofii, wspominając bezustannie Platona, cytując Villiers de l'Isle Adam'a. Był to chaos, gorączka słów, wymiana myśli, chwytywanie w lot wrażeń. Wielohradzki, ze swoim biednym, zaciemnionym umysłem filistra lwowskiego, przeraził się wobec tej napozór bezładnej gadaniny ludzi, tak jaskrawo

już wysuwających się po za zwyczajne objawy szaroty codziennego życia ślimaka biurowego. Dla niego prócz ścian namiestnictwa, salonów i powieści historycznych, nie istniały żadne horyzonty. Tymczasem ci ludzie o długich włosach i poplamionych farbami kurtkach grali w piłkę wiedzą i własnym zrozumieniem obowiązków człowieka. Malarze amerykańscy, ciągle milezący, zdawali się uważnie przysłuchiwać słowom tych czterech „rozczochańców.” Czasem półgłosem zamieniali z sobą jakąś uwagę, lecz natychmiast milkli i siedzieli jakby skamieniałe sfinksy w swoich dobrze wykrochmalonych gorsach, nad talerzami, zieleniejącymi resztką sosem oblanymi kalafiorów.

Obiad dobiegał do końca. Wnoszono pieczone i sałatę. W okienku, przez które wysuwano z kuchni półmiski, ukazała się biała postać „szefa” i obok niego tragicznie melancholijna pani Leclinche. Gwar rozmów wypełniał teraz całą salę. Jedna z dziewczynek różowo ubranych, korzystając z zamieszania, piła czyste wino szklankami i purpurowe rumieńce wykwitły na jej małą twarzyczkę. Francuzi promienieli na widok salaterek z sałatą. Miss agielskie żądały już séra i owoców, jedząc bardzo mało, dla zachowania „wiotkości” swojej kibici. I nagle, tuż po za Tadeuszem, zaczęły rozmawiać dwie usługujące dziewczyny. Jedna z nich zapytywała drugą: czy *comtesse* posłano sałaty. Na przeczącą odpowiedź,

dziewczyna wzięła salaterkę i znikła z nią we drzwiach, które do téj chwili były zamknięte. Przez szczelinę Tadeusz dostrzegł brzeg nakrytego obrusem stołu, oblanego jarzącóm światłem. Natychmiast zrozumiał, że Dobrojowska jada osobno, w małym saloniku. Sprawilo to mu pewną ulgę, iż wiedział, że przez ścianę znajduje się Muszka, która zanadto była wyniosła i dumna, aby się mieszać z tym szarym tłumem. Zaczął żywić sekretną nadzieję, iż może hrabina zaprosi go do swojego stołu, i z wielkim apetytem zjadł udko kurczęcia oraz cały stos sałaty. Nalał nawet murzynce szklankę wina, za co otrzymał tak straszne przewrócenie białkami, iż wzdrygnął się nerwowo, nie będąc przygotowanym na podobne wyrażenie wdzięczności.

Gorąco w sali panowało straszliwe. Francuzi pocili się, i mężczyźni bez żenady rozpinali kamizelki, rozwiązywali krawaty. Kobiety wachlowały się serwetami. Dzieci kręciły się na krzesłach, pijąc coraz więcej wina. Jedyne tylko amerykańskie i amerykańskie pozostały spokojni. Za to malarze francuscy gestykulowali teraz zawzięcie, deklamując całe tyraady na cześć Oven'a. Dziewczyny usługujące krzątały się, roznosząc sér, ciastka i owoce, a białe ich czepki wirowały po sali, jak olbrzymie émy, zwabione światłem gazu. I nagle z wielkim hałasem zaczęto wstawać od stolów, cisnąc się ku wyjściu. Wielohradzki, pragnąc pokazać się dobrze wychowa-

nym, uklonił się murzynce, która roześmiała się, pokazując dwa rzędy olbrzymich, zżółkłych zębów. Turban zsunął się jój na bakier, fałszowane wino podniecało dobry humor. Zaczęła podskakiwać, jak małpa, pomiędzy dziećmi, które ją otaczały, przyglądając się jój ze źle ukrytą ciekawością.

Wszyscy przechodzili teraz do salonu i na werendę, każąc sobie podawać tam kawę i likiery. Wielohradzki, nieprzyzwyczajony do jedzenia obiadu o tak późnej porze, wysunął się na plac, pragnąc odetchnąć świeżym powietrzem.

.

Uśpieni w barkach ludzie leżeli na dnie łodzi, powijani smołą napojoném płótnem, które w słabém świetle zawieszonych u burty latarek nabierało tonów blado-oranżowych.

Barki te stały rzędem wzdłuż ocembrowania, jak cała serya dziwacznych i nędznych alków, wrytych teraz w dno portu, z którego morze uciekło, odsłaniając łożysko zavalone kamieniami i krzakami *warechu*, przybierającymi w cieniach nocy zagadkowe kształty przysiadłych do ziemi potworów.

Na środku portu, czarną masą dźwigając się od ziemi, uśpione i ciche, wznosiło się stare miasto Concarneau, i tylko most zwodzony, oświetlony kilkoma latarkami, znaczył się mistyczną ścieżką, zawieszoną w przestrzeni.

Wielohradzki szedł wzdłuż wybrzeży i łoskot jego kroków po kamieniach rozchodził się daleko. Jedyne tylko oświetlone szynki wyrzucały ze swego wnętrza kłęby ludzkich głosów, głosów ochrypłych, przyciszonych szczelnie zamkniętymi drzwiami. Gdzieś tam pijany rybak leżał na chodniku lub zataczał się wzdłuż wybrzeża, pragnąc znaleźć swą barkę. I tylko u góry, pomimo panujących ciemności, kołysały się lekko wiatrem wydymane welony siatek, jak wuale niewidzialnych żalobnych tancerek wykonywujących ewolucje pod sklepieniem w kir spowitęj świątyni.

Wielohradzki oddychał z trudnością. Straszne wyziewy rozkładających się ryb zatruiwały powietrze. Szybko Tadeusz odnalazł ową uliczkę, którą się wydostał na „plażę”, i biedz nią zaczął. Znalazłszy się przed kabinami, odetchnął. Powietrze było czyste. Dokoła panowała cisza i spokój zupełny. Tylko zdaleka słychać było szelest fal morskich. Wszystko jednak rozplywało się teraz w ciemności. W oddali wszakże, wysoko, jakby w powietrzu zawieszona, płonęły purpurowo latarnie morskie. Wyglądały jak nagle rozpalone w przestrzeni ogniska. Promienie ich płynęły daleko. Lecz nie dostrzedz więcej nie było można. Morze cofnęło się, jak zwierz do legowiska.

Wielohradzki zaczął błądzić po „plaży” i znów uczucie wielkiego osamotnienia przepełniło mu serce.

Przypomniał sobie matkę i usilne staranie, z jakim zdołała pożyczyć w różnych miejscach tych pięćset guldenów, jakie mu dała na drogę. Nie starał się powstrzymywać jęj w tém szaloném postanowieniu. Wydawało mu się rzeczywiście, iż przyjazdem swoim dokona cudu. Tymczasem rezultat był nędzny, mały i smutny. Tadeusz postanowił nie pisać matce całej prawdy. Oddalony od nięj, nie pobudzany serdecznością jęj głosu do szczyrych zwierzeń, zaczynał znów być blagierem i pozwalał chęćce przechwalania się brać górę nad codzienną szczerością. Zresztą, nie wiedział jeszcze nic pewnego. Kto wie, co mu jutro przyniesie...

Nagle zobaczył jakieś dwa cięnie, sunące po skałach i niknące w oddali. Wyteżał wzrok i śledził je, gdy znów podobna para musnęła go prawie i zniknęła w jakiejś rozpadlinie. Wielohradzki, nagle zaniepokojony temi milczącemi zjawiskami, zaczął iść pośpiesznie w stronę hotelu. Lecz co chwila spotykał teraz takie pary, przesuające się w stronę skał, jak sylwetki pokutujących cieni.

W jednęj z tych par Wielohradzki poznał jedną z miss amerykańskich, prowadzoną pod rękę przez jednego z amerykańskich malarzy. Wybrzeże zaroiło się teraz od tych czarnych sylwetek. Zdawało się nawet Tadeuszowi, iż w jednęj z tych kańciastych i sztywnych postaci poznał samego mistrza, Sandersona, o szklitych źrenicach morfinomana, pro-

wadzącego pod rękę najmłodszą ze swych uczennic lecz nie był pewnym.

Powrócił teraz na wybrzeże, gdzie coraz więcej w płótno smołowe owiniętych postaci zaległo dna barek. Latarki, kołysane wiatrem, rzucały niepewne drżące smugi. W jednym szynku drzwi uchyliły się nagle i Tadeusz dostrzegł całą bandę francuskich malarzy, pijących koniak razem z rybakami i chłopami. W ponurém oświetleniu szynkownianej izby brodate ich twarze nabierały znów wyrazu fantastycznej dzikości. Pomiędzy nimi płonął turban mn. rzynki i błyskały białka jój oczu. Nagle drzwi się zamknęły i w umyśle Tadeusza pozostało widzenie ujrzanego nagle dziwnego obrazu.

Gdzieś, w oddali, jakiś majtek zaczął wyć popularną piosenkę:

*Allons à Lorient
Pêcher la sardine...*

I nie mogąc przypomnieć sobie dalej ani melodyi, ani słów, powracał ciągle do tych dwóch wierszy, do tych dwóch taktów, z uporem pijaka. W wycie to przeciągle wpadł nagle odgłos dzwonów. Było to *couvre-feu*, godzina dziewiąta, godzina szynku.

Głos dzwonów przeleciał w tej czerni po nad barkami, po nad starém miastem, zamkniętém w kamiennój skorupie fortu, i po faldach rozwianych wi-

chrem siatkowych welonów popłynął na morze, nad którym czerwieniała purpura latarni portowych.

Po placu błędził Wielohradzki, wpatrując się w okna hotelu, w których powoli światła gasły. Chciał odgadnąć, gdzie się znajdował pokój Muszki, i banalny w objawie swych uczuć, zwracał się w swą moralną istotę, pragnąc pobudzić *serce* do rozwiązania téj zagadki.

Lecz serce milczało...

IX.

— Niechże pan weźmie moje *bokale*, a ja poniosę siateczki.

— Więc na seryo idziemy łowić kraby?

— Na seryo... robię to codzien po odpływie morza. Zobacz pan, jak się wybornie bawić będziemy!

W białym berecie, z pod którego wymykały się pasma kręconych włosów, w białym krótkim zakiecie o dużych złożonych guzikach, z siatkami na ramieniu, ze szklanymi słojami pod pachą i z niezwykłą wesołością w szafirach oczu, przywitała Muszka schodzącego wczesnym rankiem ze wschodów, Tadeusza.

Wielohradzki trzymał w ręce list, który napisał w nocy do matki, proste zawiadomienie o szczęśliwem przybyciu i kilka słów o serdeczném powitaniu Muszki.

Nie spodziewał się zastać panny Dobrojowskiej w przedsiönku hotelowym. Zmieszał się i list ukrył w kieszeni. Muszka dostrzegła ten manewr i przy-

gryzła usta. Szybko jednak przybrała na twarz maskę wesolej obojętności, oddała Wielohradzkiemu słoje i zaprosiła go na połów krabów.

— Musimy wstąpić na „plażę” do naszej kabiny — wyrzekła — nie mogę przecież wejść do wody ubrana tak, jak jestem w tej chwili.

Przeszli plac i zagłębili się w wąwóz, na który spadał deszcz akacyj. Poranek był prześliczny. Niebo miało tony opalu. Słońce z trudem przebijało się przez te mgły mleczne, które powoli rozdzierały się, znacząc owe rozdarcia złotemi zygzakami. Gdy doszli do „plaży”, morze zdaleka miało te same białe barwy, niepewne i wahające. Gdzieś tam migotała złotawa iskierka, lecz szybko gasła, pokryta płatami piany. Szeroko rozciągała się piaszczysta wydma łożyska, na którego jasnój posadzce występowały brutalnie czarne skały, przyczajone, to znów wyciągające się w górę, pierwsze naksztalt uśpionych potworów, drugie, jak olbrzymie, zrywające się do lotu ptaki wodne.

Wielohradzki stał koło kabiny, w której przebiegała się Muszka; i smutek jego i zniechęcenie rozpląwały się razem z temi mgłami, które słońce ostrzem swych promieni rozpraszało. Życie wydało mu się całym pasmem nieskończonych rozkoszy, i pełen otuchy przyglądał się swemu białemu flanelowemu garniturowi w wązkie niebieskie paseczki. Na nogach miał długie ciemno-granatowe pończochy, silnie obciąż-

gnięte i wybornie kształt łydki uwidoczniające. Obuty w płócienne trzewiki o kauczukowych podeszwach, które kazał sobie wczesnym rankiem do hotelu przynieść, odstaniał stopę małą, kształtną, stopę kobiety o charakterze wiecznie chwiejnym i niezdecydowanym. Szeroki pas granatowy jedwabny ścisnął jego biodra. Głęboko wycięta biała koszula wehłiana, związana krawatem z tego samego, co i pas, jedwabiu, dopełniała kostiumu. Na głowie Tadeusz miał beret granatowy, włożony z pewnym szykiem, tak, jak noszą berety młode kobiety, nie uciskając całej czaszki i nie zakrywając czoła. W tym całym ubraniu, a raczej półchłopięcym kostiumie uroda jego, delikatna i dziewczęca, uwidoczniła się i nabierała wdzięku. Woniał dyskretnie werweną, i ten zapach, cokolwiek mdły i niewyraźny, był wyborynym akompaniamentem do jego całej istoty.

Drzwi kajuty otworzyły się zeicha i wybiegła z nich Muszka, odziana dziwacznie, w szerokich plisowanych spodniach z granatowej serży, które opadały dokoła niej naksztalt spódniczki. Wązkie stopy obute miała w *espadrille* białe płócienne, tors zaś okryty granatową, fularową koszulą, szeroko otwartą u szyi, z dużym, wehnianym białym marynarskim kołnierzem. Na głowie beret biały, a na plecach zarzucony zakieciak ciemny o świecących guzikach. Wyglądała jak paż smukły i zuchwały, no-

sząc ten kostium trochę ryzykowny z nieporównaną dystynkcyą i wdziękiem.

Wielohradzki wpatrywał się w nią z niemym zachwytem, ona zaś patrzyła na niego z widoczném upodobaniem. Chwilę tak skrzyżowały się te cztery źrenice. Pierwszy ocknął się mężczyzna i, uśmiechając się teraz tak, jak uśmiechają się ci, którzy mają atu w ręku, wyrzekł:

— Chodźmy!

I poszli w głąb wydmy piaszczystej, ku drzemącym lub zrywającym się do lotu skałom, po za któremi białe, jak mleko, morze powoli zaczynało się złościć i różowić po brzegach szumiących fal.

.

Szli tak długo, milcząc, aż dotarli tam, gdzie woda cienkimi strumykami przepływała po piasku, nakształt niezliczonych strumieni, czystych jak lza i szmerzących cichutko po milionach muszelek, które się żółciły, różowiły, białały i czerniły wśród niepewnego tła piasku. Wielohradzki zdjął trzewiki i pończochy, ukrył je w rozpadlinie skały i brodził teraz boso po piasku, cokolwiek zażenowany, nieoswojony ze zwyczajami przyjętymi na wybrzeżach morskich. Lękał się kataru i newralgii, lecz widząc, z jaką odwagą i niedbałością Muszka zanurza się w coraz głębsze pasma wody, usiłował ją naśladować, pomimo

pewnego wstępu, jaki mu ta zimna, szczypiąca woda sprawiała.

Co chwila przelatywały drobniuchne szare rybki, uderzały go po nogach i zakopywały się szybko w piasek, niknąc w jednej chwili, niemal w czarodziejski sposób. Czasem przewinał się jakiś długi robak, który zastanawiał Muszkę, śledzącą ciekawie jego wężykowate ciało. Tu i owdzie płynęła dziwna gwiazda kraba, mała i jakby z kryształu zrobiona. Muszka jednak potrząsała głową. Pragnęła dziś złowić kilka większych krabów do swojego akwaryum, które miała w pokoju hotelowym.

Szli więc coraz dalej, spotykając teraz gromadki dzieci błądzące wśród wody, z siateczkami na ramionach, wpół nagie, ciemne od wiatru morskiego, lub młode dziewczyny w kostiumach kąpielowych, idące na połów krewetek. Jakiś pies, chudy i brzydki, błądził wśród skał i nagle pokornie przyplątał się do stóp Muszki, która przyjaźnie pogłaskała go po długim, lisim pysku.

— Pan się dziwi, że ja tak lubię zwierzęta?... — spytała nagle. — Lubię je, bo wiem, że pieszczołą swoją sprawiam im wiele radości... Pokorne to i tak się lasi...

Głaskała wciąż łeb kudłatego kundla.

— Czegoż ty szukasz tu po skałach, sieroto? — spytała — może czekasz na swojego pana, który barką popłynął na morze?...

Nagle zwróciła się ku Wielohradzkiemu i dość rozkazująco spytała:

— Do kogo był ten list, który pan schował do kieszeni, widząc mnie w bramie hotelu?...

Wielohradzki spojrział na nią zdziwiony i ogarnęła go wielka radość.

Ta jej niedyskrecya zbliżała ich już, łączyła jakimś węzłem, w słowach wyrażonego uczucia zazdrości.

Płaski jego umysł nie znalazł nic lepszego, jak w banalny sposób wyzyskać sytuację.

— Och!... — wyrzekł, cedząc wyrazy — pani tej osoby nie zna... to... *enfin*... nie mówmy o tém.

Uśmiech ironii przesunął się przez usta Muszki.

— Powiedziałaś już panu — wyrzekła tym samym ostrym głosem — że lubię tylko istoty dobre, potulne i proste... Jestem sama *trop bonne comédienne*, ażebym mogła znosić grę innych aktorów koło siebie. Prosto, otwarcie, szczerze, poczciwie powiedz mi pan, do kogo pisałeś?

Wielohradzki w tej chwili porzucił maskę subtelnego światowca.

— Do mojej mamy!... — odpowiedział prawie dziecięcym głosem.

Muszka uśmiechnęła się teraz znowu, lecz bez śladu ironii, i szafiry swoich oczu utkwiła w twarzy Tadeusza.

— Powtórz to pan jeszcze raz!... — wyrzekła.

— Do mojej mamy!... — powtarzał Tadeusz.

A ona podała mu nagle swoją rękę i, wciąż się uśmiechając, wyrzekła:

— Dziękuję!...

Rzuciła siatki na skałę i usiadła na wielkim kamieniu płaskim, głaszcząc wciąż jedną ręką zblakłego psa, który się do niej tulił, a drugą przyciągając do siebie Tadeusza, pokornego i usiłującego być jak najprostszym, jaknajszczerzym, skoro w ten sposób mógł zdobyć jój dobre słowo i—serce.

Słońce teraz tryumfalnie rozproszyło mgły i błady błękit zaczął się ukazywać, kładąc niebieskie plamy na powierzchni morza. Tu i owdzie zjawiały się barki o szeroko rozpiętych żółtych i pomarańczowych żaglach. Jakiś jacht przepłynął zdaleka, płaski, z parasolem dachu w purpurowe i białe paski. Po skałach, gdzie czerniały całe masy *warechu*, chodziły bretonki w białych czepkach i, schylając się, zbierały brunatne kłęby roślin, składając je, mokre i oślizgłe, w duże płachty szafirowe, rozciągnięte na grzbiecie kamieni. I nagle wyjechał z po za skały wóz zaprzężony w dużego rudego konia, napełniony *warechem*, mając na wierzchu tój zionącej jodem sterty dwoje dzieci w niebieskich sukienkach i czerwonych, jak mak polny, czepkach. Stary breton, dawny rybak, z twarzą zjedzoną morzem, niemal brunatną w jasnym oświetleniu słonecznym, trzymał konia za uzdę i przeprowadzał wóz ostrożnie śród nagromadzonych dokoła kamieni. Jedno z dzieci

podniosło się nagle i przez chwilę chwiała się na czarnej płaszczyźnie *warechu*, jak roślina o błękitnej łodydze, uwieńczona purpurowym kwiatem. I nagle pozostało nieruchome, z wyciągniętymi rękami, odcinając się z precyzyjną dokładnością na tle coraz bardziej jaśniejącej przestrzeni.

Muszka, szeroko oddychając, piła tę czystość i ciszę, ten bezmiar olbrzymiej krystalicznej pustyni i, trzymając wciąż rękę Tadeusza, zaczęła mówić niskim, harmonijnym głosem:

— Niech mi pan tu nigdy nie mówi o Lwowie... o tych, którzy nam są wspólnie znani... Ja tu chcę żyć zupełnie inném, pełniejszym, piękniejszym życiem... Nie chcę, aby mi sylwetki tych ludzi mąciły jasną linię morza...

— Dobrze! — odparł Tadeusz. — Ja sam rad bym o nich zapomnieć.

Był w tej chwili zupełnie szczery. Ta poranna wycieczka, złota od słońca i różowa od uśmiechu i obecności Muszki, przenosiła go w nieznaną mu dotąd krainę szczęścia. Ogarnęło go rozmarzenie, smutek; uzuł, że zaczyna się kochać w Muszce bez pamięci. Lwów majaczył w oddali, jak wejście do butwiejącego grobowca. Chciał o nim zapomnieć, o swój nędzy, o namiestnictwie, o wszystkiém.

Muszka szerokim giestem ukazała mu przechodzącą grupę rybaczek.

— O ile one od nas estetyczniejsze... o ile więcej mają w sobie wdzięku!...

Lecz Tadeusz nie odczuwał jeszcze tego piękna i zauważył w duchu, że wszystkie te kobiety były płaskie i źle zbudowane. Zachował jednak dla siebie tę uwagę, teraz przykląkł obok Muszki i delikatnie, kolejno całował jej cokolwiek opalone palce, z których Muszka poprzednio zsunęła rękawiczki, rzucając je na deseczkę kabiny.

Białe ptaki nagle porwały się do lotu i zaczęły bić skrzydłami, kierując się w stronę morza. Płynęły w jasności słonecznej, która powoli zaczęła gorzeć łuną na skraju horyzontu. Muszka radosnym głosem zawołała:

— Mewy!... patrz!... mewy!...

Tadeusz rękę jej do swój twarzy przytulił.

— Jaka pani dobra!... — wyszeptał.

Muszka śmiać się zaczęła przeciągle.

— Muszę!... choćbym nie chciała... Mam wszystko, dokoła mnie, co mi jest drogie... morze... słońce... tęczę barw... ciszę... i dwa pocziwe stworzenia...

Obiema rękami pogłaskała psa po łbie.

Lecz Wielohradzki nie czuł tego dziwnego zidentyfikowania go z psim przybłądą.

— Nie znalazłem pani... z tej strony — wyrzekł — byłaś pani tak zawsze poważną, dziwną, niemal surową...

— Och!... — odrzuciła Muszka — nie uwierzy

pan, jak owo *milieu* przejrzyste i jasne na mnie działa... A przytém...

Urwała i pochyliła się teraz nad psem, któremu uważnie przyglądać się zaczęła.

— Jak pan sądzi? jaka to rasa? mnie się zdaje, że to będzie *chien-loup*. Spotykałam często takie psy w Bretanii, tylko... tamte miały guzy na czole, a ten... nie ma guza.

Wysunęła prawą rękę z dłoni Wielohradzkiego i zaczęła gorliwie poszukiwać owego guza na łbie zwierzęcia.

— Niema... — wyrzekła po chwili — co téż to może być za rasa?... A może to jaki *bâtard*, a ja naprózno sobic głowę łamię. Jak pan sądzi?

— Nie wiem... nie znam się...

— Prawda, zapomniałam. Nie należysz pan do sportowców... I w tém cały pana wdzięk...

Dawniej Tadeusz byłby się nadał i odpowiedział: „nie lubię sportów”; dziś czuł, iż to kłamstwo fałszywe może sprawić złe wrażenie, więc milczał, klęcząc wciąż na kamieniu z potulną miną grzecznego chłopczyka.

Muszka zdawała się teraz pogrążoną w ciągłej kontemplacji morza.

— Patrz pan — wyrzekła — jak się tam mienia turkusy, szafiry, szmaragdy... Wszystko to wypływa z liliowej bieli porannej i powoli zamienia się w cały pas najkosztowniejszych klejnotów.

Po chwili dodała, przeciągając zgłoski:

— Ja kocham się w morzu!...

— Tak!... — podchwycił Tadeusz — dobrze pani mówi, że kocha się w morzu. Pani kocha w tych mieniących się falach siebie samą... swój charakter... swe porywy... nawet barwę swych oczu...

— Więc według pana jestem taką mieniącą się tęczą?

— Tak!...

— Jedną z tych heroin obecnych francuskich romansów, niepochwytną, nadzwyczajną, *une Slave aux yeux glauques*... prawda?

Głos jój brzmiał ironicznie. Różowe usta w złośliwym uśmiechu krzywiły się niemiło.

Tadeusz doznał uczucia zimna.

— Tak!... trochę!... — wybełkotał, tracąc kon-
tenans.

Ona leciuchno, prawie niedostrzeżenie wzruszyła ramionami.

— *Oh!... que c'est fadé!*... — wyrzekła, odwracając głowę.

Zapanowało głucho milczenie, przerwane tylko na chwilę cieniutkimi głosami dzieci, które powracały z połowu, zmoczone, obryzgane wodą, z kieszeniami wypchanymi masą muszli, ze wstążkami *warechu*, przewieszonymi przez plecy. Nagie ich różowe nóżki zamigotały w powietrzu, purpurowe berety przez

chwilę rzuciły płomienną nutę i zgasły po za parawanem skał.

Tadeusz klęczał, jak dzieciak na pokucie, szczerze zmartwiony i skubał własne palce z gorliwością, godną lepszej sprawy. Nagle zdecydował się położyć kres téj sytuacji.

— Pani znów niedobra!... — wyrzekł cicho, a głos jego brzmiał taką szczerą pokorą, iż Muszka odwróciła się szybko i z uśmiechem spojrzała na jego zasmuconą minę.

— Ależ nie!... nie!... — zawołała — nie jestem niedobra!... nie lubię tylko, gdy kto chce ze mnie gwałtem zrobić ekscentryczną istotę. Nie znam nic trywialniejszego i bardziej banalnego, jak wszelkie ekscentryczności...

I zrywając się nagle ze skały, dodała:

— Chodźmy łowić kraby!...

I poszli znów dalej ku morzu, wśród ciemnych stert *warechu*, pełzającego po piasku, jak najcudowniej wycinane wstęgi. Przed nimi masa niezmiernie rzona wody pokrywała się coraz gęściej kadłubami statków i teraz tryumfalnie z owej walki złota, rubinów, opali i szmaragdów stawała się jednym wielkim szafirem, czystym, doskonałym, który przechodził ku brzegom w bładość turkusu, oprawionego w srebro pian.

— Mamy jeszcze godzinę czasu przed sobą... — wymówiła Muszka — później wrócimy na śniadanie i, idąc koło poczty, wrzucimy list do mamy.

Wymawiając te słowa, starała się nadać im intonację głosu Wielohradzkiego. On, nagle porwany, usłyszał ten dźwięk i przejęła go radość i nadzieja, gdy Muszka raz jeszcze, jakby wsłuchując się w ulubioną melodyę, powtórzyła z lubością melomana:

— Do mamy!...

.

Codziennie teraz rano wychodzili na połów owych krabów i siadali na odłamach skały pomiędzy stosami brunatnego *warechu*. I natychmiast Tadeusz szukał ręki dziewczyny, która poddawała się chętnie tej dyskretnej pieśczości i pozwalała całować swe palce długie, wązkie, zakończone różowemi pazurkami.

Patrzyli na morze, mówili niewiele: ona—ciągle pomimo pozornego przystępu szczerzej dobroci zamknięta w sobie, często ironiczna; on—niepewny i wahający się, lecz wchodzący już w rolę pokornego psa, czekającego cierpliwie na dobre słowo swego pana i chlebowdawcy.

Często spotykali na skałach którąś z Amerykanek, siedzącą sztywno przed stalugami pod parasolem z białego płótna, przymocowanym do poręczy krzeselka. Muszka zamieniała z malarką kilka słów po angielsku, co pozwalało amerykance pokazać szereg strasznych zębów i rzucić na Tadeusza przelotne, ledwie dostrzegalne spojrzenie.

Raz Wielohradzki posłyszał najwyraźniej:

— *Your correspondent!*...

— *No!*... — odparła Muszka.

Lecz amerykanka zaczęła śmiać się tak, iż jój bluzka, tworząca na plecach garb, zupełnie wysunęła się z paska.

Tadeusz zmarszczył brwi i uczył się tym śmiechem mocno dotknięty.

Skoro zesli ze skały, odezwał się natychmiast:

— Cóż to za monstrum!...

Mówił umyślnie głośno, pragnąc, aby amerykanka usłyszała ostatni wyraz.

Lecz Muszka, będąca dnia tego w wenie wielkiej pobłażliwości, wyrzekła tonem właściwym doskonale pięknym kobietom, które w obecności mężczyzny bronią innych, doskonale brzydkich kobiet:

— Och!... piękność jest rzeczą względną... *On ne sait jamais*, co ludzie rozumieją pod słowem piękność! Te panienki nie są piękne... być może..., ale mają dużo dystynkcyi... są zgrabne... doskonale wychowane... ułożone... i rozumieją życie...

— Co do téj ostatniej kwestyi, ma pani najzupełniejszą rację — odparł ciągle zirytowany Tadeusz.

Muszka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Pana zapewne razi ich flirt z kolegami? Co do mnie uznaję to za rzecz zupełnie naturalną. Korzystają z wolności i swobody... są młode... kochają....

— Och!... — podjął Tadeusz.

— Ależ tak!... — ciągnęła Muszka — kochają *sezonowo*... Taka miłość kompletuje ogólną harmonię, całą pieśń morza, nieba, gwiazd, urok ciszy i promieni słońca... Czy pan tego nie rozumie?

— Nie!... — odparł Tadeusz.

— A!... — zdziwiła się Muszka — *tiens*, ja myślałam...

Lecz Tadeusz, zdjęty nagłą śmiałością, szybko mówić zaczął:

— Nie... nie rozumiem... miłość nie może być sezonowa... to nie jest miłość, to zabawka...

— A!... pan rozumie tylko miłość tragiczną... na całe życie!...

— Tak!... na całe życie!...

Zatrzymali się teraz na środku dużej płaszczyny, po której biegły srebrne strumienie wody.

Oczy ich po raz pierwszy może spotkały się szczerze, otwarcie, i pierwsza kobieta uciekła w bok źrenicami, jakby ten nadmiar silnego uczucia, który się objawił w tym lalkowatym wzroku mężczyzny, przeraził ją i sprawił w jej moralnej istocie silne wstrząśnienie. Zaczęła iść naprzód szybko, milcząc, nagle spoważniała, zamysłona, lecz on dogonił ją i, ująwszy jej rękę, zapytał niskim głosem, pochylając się nad jej ramieniem:

— Czy to cię przeraża?...

Ona nie odpowiadała, pobladła, z oczyma rozsze-

rzonemi, postarzała nagle, jakby na jej barki walił się ciężar przechodzący siły.

Lecz nie odsuwała od siebie drżącego i olśnionego swoją śmiałością chłopaka: przeciwnie, zwalniała kroku, jakby pod urokiem mistycznej i niewidzialnej siły.

— Czy cię to przeraża? — powtarzał Tadeusz.

— Nie!... — odparła nareszcie zaledwie dosłyszalnym głosem.

Milezeli chwilę, oddychając ciężko, lecz szli ciągle ku morzu, które, dziś wzburzone, biło z dalekim głuchym łoskotem o skały i podstawy sygnałów.

Tadeusz pochylił się tak, iż ustami prawie dotykał włosów dziewczyny.

— Na całe życie?... — zapytał.

— Na całe życie!... — zabrzmiało jak echo.

.

Tego dnia Tadeusz, powróciwszy do hotelu, zastał dwa listy pod swoim adresem.

Na jednej kopercie poznał rękę matki, drugi adres był nakreślony nieznaném mu pismem. Zadziwił się niepomiernie.

Oprócz matki, nie wiedział nikt o miejscu jego pobytu.

Zdjął go nerwowy niepokój. Zamknął drzwi na klucz i rozerwał ową kopertę. Ukazała się ordynaryjna ćwiartka papieru, zakreślona drobnem, niewy-

robionem, prawie dziecinnem pismem. Wielohradzki brwi zmarszczył i, usiadłszy na stole, czytać zaczął.

List Teci do Wielohradzkiego.

Bardzo się pan zapewne zadziwi, dostawszy ten list, i to jeszcze więcej pana zadziwi, że to ja do pana piszę w sekrecie przed Babką i Mamą Pana. Ale ja bardzo dużo walczyłam, zanim wzięłam pióro do ręki, dużo płakałam, bo wiedziałam, że źle robię i że nie powinnam pisać do Pana tak w sekrecie przed Babką i przed Pana Mamą. Tylko mnie się zdawało, że Pan był dla mnie bardzo życzliwy, a nawet przez jakiś czas to Pan mówił mi, że jest moim przyjacielem. Więc ja pomyślałam, że przecież Pan to sobie przypomni i tego mojego listu za złe wielkie mi nie poczyta. Ja, widzi Pan, nic nigdy nie zapomniałam z Pana dobroci dla mnie, i teraz mam to wszystko ciągle żywo przed oczami, tak, że ani na chwilę nie mam wolnej myśli, i schudłam i nie śpię, a wciąż tylko przypominam sobie, że Pan był dla mnie taki dobry i tak życzliwie się ze mną obchodził.

Ja nie wiem, czy Pan to wszystko pamięta i czy Pan też jeszcze myśli o mnie kiedy, bo ostatniemi czasy to zdawało mi się, że Pan mnie nie lubi, i starałam się Panu z drogi schodzić, aby tylko Pan źle na mnie nie patrzył, bo takie Pana oczy to mi bardzo wielki smutek sprawiały i ja już potem w nocy nigdy nawet zasnąć nie mogłam.

Więc ja-bym wolała, żeby mi Pan poprostu powiedział i poradził, co ja mam począć, bo Babka i Mama Pana chcą, żebym wyszła za męża za pana Janczewskiego, i chwili spokoju teraz w domu nie mam, tak mnie ciągle Babka prosi i namawia. Babka mówi, że to będzie dla niej śmierć spokojna i los Felka zapewniony... Ja chciałabym wiedzieć, co mam robić, czy mam się jeszcze czego dobrego spodziewać w życiu i czekać cierpliwie, czy też już tak powiedzieć sobie, że dla mnie wszystko przepadło i pójść za tego pana, Babkę uspokoić i bratu dać wychowanie? Niech Pan mi napisze szczerze, jak na świętej spowiedzi: ja się nie pogniewam i przebaczę Panu, i będę zawsze dla Pana i dla Mamy Pana życzliwą przyjaciółką. Choć smutno mi będzie i bardzo ciężko tak wyrzec się wszystkiego. Ale niech będzie tak, jak Bóg chce. Ja tak postąpię, jak Pan powie, i nigdy się nawet żalić nie będę, że o mnie tak Pan prędko zapomniał. Niech Pan ten list spali, proszę Pana na słowo honoru, bo bardzo się boję, ażeby kto nie dowiedział się kiedy o tej mojej śmiałości. Ale to tylko rozpacz mnie doprowadziła do tego, niech mi Pan wierzy i nie myśli źle o mnie, bo ja jestem bardzo nieszczęśliwa i mam przecucie, że ja to już taka nieszczęśliwa zostanę na całe życie. Adres Pana to ja podpatrzyłam z koperty, jak Mama adresowała, tylko błagam Pana, niech Pan mnie nigdy nie zdradzi, bo chyba zabiłabym się ze wstydu, gdyby się ludzie do-

wiedzieli, że ja do Pana taki list napisałam. Niech Pan napisze na pocztę *restante*, to ja codzień wpadnę, jak będę odprowadzać Felka do szkoły. I raz Pana jeszcze proszę, na wszystko co panu święte, niech Pan mi napisze całą prawdę, niech ja wiem, czy Pan też jeszcze o mnie myśli.

Przywiązana i nieszczęśliwa

Tecia.

Tadeusz wolno odłożył list na bok.

Skrzywił usta, zasepił się, przez długą chwilę siedział nieruchomy, przenosząc się nagle myślą do Lwowa, do ciasnych i smutnych klatek swego mieszkania, do wyrobniczej postaci Teci w czerwonym jerseyu, schylającej swą anemiczną twarz nad turkoczącą maszyną. I powstało w nim wielkie uczucie niesmaku i odrazy do samego siebie za to bezmyślne i głupie zbliżanie się do tego dziecka, do którego nie go nie ciągnęło! Nie mógł teraz zrozumieć, dlaczego w sekrecie przed matką zamieniał z ową Tecią spojżenia, uściski rąk, nawet pocałunki. Dziewczyna wzięła tę rzecz na seryo i najwyraźniej w liście pragnęła dowiedzieć się prawdy. Pogrążony w egoistycznym zadowoleniu nie odczuł ani na chwilę rozpaczy, jaka dławić musiała serce dziewczyny. Siedząc tak na stole, w tym eleganckim numerze hotelowym, obwieszonym draperiami zielonego aksamitu i zastawionym meblami z różanego drzewa i palisandru,

mając przed sobą przez otwarte szeroko okna cały port morski, z którego wystawały tajemnicze i fantastyczne fortyfikacje starego grodu, cały jeszcze upojony pięknnością, elegancją, szykiem Muszki, sam szykowny i zgrabny w swój białej flanelowej koszuli i pasie z czarnej wełny, z beretem na lekko zafrzywanych włosach, nie umiał a raczej nie chciał zrozumieć smutków innej istoty. I tak jak w porcie mijal obojętnie klnących i złorzeczących sobie rybaków, którzy wskutek konkurencji zmuszeni byli wyrzucać owoc całodzienniej, ciężkiej pracy w otchłań morza i skazywać tém samém siebie i swą rodzinę na nędzę i głód całej doby, tak samo stawał obojętny, a raczej znudzony, wobec skargi Teci, uważając ten list tylko jak rodzaj intruza, nieproszonego gościa, który mu przypominał w niewłaściwej chwili szarą banalność jego życiowej ścieżki i jego niewytlómaczoną minioną głupotę.

Wyciągnął rękę i sięgnął po list matki. Otworzył kopertę i czytać zaczął ćwiartki bladzielone, zakreślone pięknem, równem pismem spokojnej i ufniej zawsze w przyszłość kobiety.

List matki do Tadeusza.

Najmilszy mój i najukochańszy Synu.

Po twym pierwszym liście, krótkim i nakreślonym z widocznym pośpiechem, nadszedł wreszcie twój list drugi, dłuższy i szczerze mnie radujący. Te trzy

dni, które trwała twoja podróż, spędziłam na modlitwie, tak bardzo się lękałam jakiego wypadku na kolei, boć to o to nietrudno, zwłaszcza za granicą. Nareszcie odetchnęłam, mając od ciebie wiadomość. Gdybyś wiedział, ile mi szczęścia i radości przysporzyły te słowa twojego listu, w którym tak ładnie i serdecznie piszesz, iż pierwszy twój list został wrzucony do puszki przez „was dwoje”. Błogosławiłam was w myśli oboje, ciebie mój Tadiusi najdroższy, i tę dobrą, szlachetną dziewczynkę, którą codziennie więcej kocham i którą z taką radością przycisnę do serca i nazwę swą córką. Mów jój często o mnie — i nawzajem wywdzięczając się za jój dla mnie delikatne i pocziwe uczucie, staraj się być z jaknajwiększą atencją i respektem dla jój matki. Wiem, iż nie potrzebuję ci tego polecać. Znam twój takt i wiem, że rozumiesz całą doniosłość podobnego kroku. Potrzeba, ażebyś pozyskał serce nietylko panny, ale i całej rodziny; wtenczas poczujesz się pomiędzy nimi jak u siebie i sytuacja twoja się ugruntuje. Niemniej przeto bądź pełnym szacunku dla hrabiny, lecz bez zbytniej uniżoności. Oni mają za sobą w téj chwili przewagę materyalną, lecz ty—moralną. Oboje wraz z Muszką walcząc zwyciężycie, a wasza stara matka odetchnie radośnie ciesząc się waszem szczęściem. Mówię — ciesząc się z daleka — gdyż ja z wami mieszkać nie będę. Wiem, że młode małżeństwo lubi być w domu samo. Wyślecie mnie na wieś, na moją

drogą wieś, do której bardzo tęsknię, i tam ja ode-
technę swobodnie i dokończę życia w spokoju, ciszy
i modlitwie za was oboje i za szczęście wasze.
Jeszcze dwa tygodnie, zanim cię ujrzę i przycisnę do
mego serca. Bardzo mi tu smutno bez ciebie, każdy
kącik mi ciebie przypomina. Wczoraj uporząd-
kowałam twoje archiwum. Nie bój się, nie popsu-
łam nic i wszystkie ordery i cacka napowrót ułoży-
łam na swoim miejscu. Zdrowie moje niezłe, trochę
mi tylko oczy nie dopisują. Tecia za to ma się jakoś
niedobrze, chudnie i traci siły. Piknicka koniecznie
postanowiła ją wydać za mąż. Ja się zachowuję ne-
utralnie. Oto chyba wszystkie nowiny. Niewiele cię
one obchodzą, bo masz teraz o czemś ważniejszym do
myślenia, o czemś, co los twego całego życia roz-
strzyga. Zawsze miałam nadzieję i wiarę w miłosier-
dzie Boskie. Wiedziałam, że nie dziś to jutro pozycya
twoja się zmieni i że powrócisz nareszcie na stanowi-
sko, które zajmować winienes. Dobroć Boża jest nie-
ograniczona. A teraz niech cię ucałuję, mój synu
najukochańszy, i polecając opiece Boskiej i natchnie-
niu Bożemu, kreślę znak Krzyża nad twoją głową.

Twoja najprzywiązańsza matka,

Adela Wielohradzka.

P. S.—Mój drogi Tadzium—staraj się, aby te pie-
niądze, które ci dałam, wystarczyły, bo trudno

byłoby mi posłać ci jeszcze cośkolwiek. Całuję cię raz jeszcze—was dwoje—Twoja matka.

Tadeusz obydwie listy złożył do szafy, namyślił się jednak i, szybko zapaliwszy świecę, wyjął listy i spalił je w głębi kominka. Uczyniwszy to, obejrzał popiół, roztarł w palcach to, co jeszcze pozostało z kawałków spalonego papieru, i wydobywszy z podróżnej teczki arkusik papieru, pisać zaczął.

List Tadeusza do matki.

Droga Mamo!

Liścik Mamy w tej chwili otrzymałem i natychmiast nań odpowiadam, całując ręce Mameczki za jej dobre słowa i poczciwe życzenia. Spełniło się przewidywanie Mamuchny. Dziś, przed chwilą — ja i Muszka zamieniliśmy z sobą przyrzeczenie dozgonnego przywiązania. Nie wiem teraz, co mam począć. Czy zapytać jej, jak mam postępować? Jak Mamuchna myśli? Boję się jakimś niestosownym krokiem popsuć to, co ona, biedactwo, musi zdobywać u swój rodziny. Nie mówiliśmy nigdy o tém, bo pojmuje Mameczka, jaka to jest delikatna materya. Przyznałbym się w takim razie do mojej *infériorité*, musieliśmy analizować sytuację, a to dla nas obojga byłoby niewymownie przykre. Obecnie jednak jestem prawie spokojny, bo Muszka nie kryje już przedemną swego uczucia i, nie zapominając na chwilę o taktce.

i godności kobiecój, otwarcie daje mi do poznania, iż jestem dla niój czemś i że się liczę w jój życiu. Nigdy nie widziałem jój we Lwowie tak miłą, naturalną, dobrą i szczerą, jak tutaj. Jestem przekonany, że Mameczka przywiąże się do niój całą duszą. Dlaczego Mamusia pisze, że z Tadzkiem już mieszkać nie będzie, skoro się Tadzio z Muszką ożeni? Mamusia będzie zawsze z nami: jestem pewny, że Muszka nie pozwoli, aby Mamcia osobno mieszkała. Wszystkie garnitury leżą doskonale, tylko się trochę w kuferku pogniotły. Koszule zaś, tak jak Mamcia je zwija, są wybornie dowieszone i gorsy zupełnie nie połamane. Tylko tutaj chyba nigdy nie włożę fraka, bo tu niema kasyna i wieczorem wszyscy się rozchodzą do swoich pokojów. Posłucham rady Mameczki co do zyskania sympaty samój hrabiny, ale, jak dotąd, nie widziałem jój prawie. Muszka mnie przedstawiła matce, hrabina mnie doskonale przyjęła, i od téj chwili znikła mi z przed oczu. Pójdę jutro na plażę w godzinie kąpieli i zastosuję się do życzenia Mamy. Kończę ten list, bo lada chwila zadzwonią na obiad. Niech się Mamuchna nie boi: nie wydam więcój, jak Mamcia mi dała, gdyż, tu niema poprostu na co wydawać. Wiem, że i te pieniądze Mamcia cudem zdobyła, ale może już w niedalekiej przyszłości zdołam odwdziżyć się Mamci za wszystkie jój dla mnie dobrodziejstwa.

Ręce i nogi Mamci całuję i proszę kochać mnie
zawsze i być jaknajlepszój myśli i nadziei.

Najprzywiązańszy syn,

Tadzio.

P. S. Niech Mameczka powie Teci, że ja radzę
jój szczerze, aby się nie wahała i poszła za mąż za
pana Janczewskiego.

Włożywszy list do koperty i nakreśliwszy adres,
Tadeusz umył ręce, przyglądał włosy, uperfumował
się dyskretnie wodą kolońską i zeszedł do sali jadal-
nej, nie zmieniając ubrania. Przyjął bowiem sposób
życia Francuzów, którzy siadali do stołu we flanelo-
wych koszulach i *espadrillach* o podszwach słomia-
nych, nie żenując się bynajmniej, przesadzając o ile
możności owo zaniedbanie w stroju, jakby dla kon-
trastu z Amerykanami, którzy, zawsze *correct*, zmie-
niali sweienne kurtki na smokingi i stanowili
w kącie stołu klan światowy, detonując tą poprawno-
ścią na ogólnem tle stajennego zaniedbania innych
gości.

Wielohradzki zasiadł na swoim krześle i z miną
znudzonego wielkiego pana zaczął czytać *menu*.
Zauważył, iż dystygowańsze osoby piły wody mine-
ralne i droższe wina. I on miał teraz swoją armię
butelek, którą obstawiał dokoła talerze. Nie rozma-
wiał z nikiem, niezmiernie dumny ze swój blizkiej
zażyłości z Dobrojowskiemi, których odosobnienie się

imponowało niezmiernie Francuzom. Naprzeciw niego malarze francuscy, codzień więcej rozczochrani i dziwaczni, prowadzili teraz rozmowę o Wolterze, starając się zrehabilitować jego fatalną a niezasłużoną opinię. I nagle, przeskakując z przedmiotu na przedmiot, zaczęli mówić o Muszce, porównyując jej rysy do obrazu Tomasza Grimma, znajdującego się w Southampton Galerie. Wielohradzki zmarszczył brwi, zaczął gryźć usta i wyzywająco spojrzął na rozczochrane głowy malarzy, gotowy w każdej chwili do nerwowego wystąpienia w razie, gdyby który z tych panów ośmielił się w lekceważący sposób odezwać o pannie Dobrojowskiej.

Lecz malarze, jedząc szparagi, debatowali teraz, czy nie należy przyjąć jako pewnik teoryę, iż zamiast transformacyi, udoskonalającej coraz więcej żywą istotę, istnieje wręcz przeciwna transformacya obniżająca. I tak my, ludzie, jesteśmy niższe istoty niż owady i ptaki, lecz wyższe niż zwierzokrzewy i rośliny. Powoli zatracając ruch, który jest życiem, i wrastając w ziemię, staniemy się cząstką kamieni, gruntu skalnego, i utworzymy ową bryłę wystygłą, która będzie w przyszłości ziemią naszą.

Wielohradzki przez chwilę starał się zrozumieć wątek tej rozmowy tak, jak codziennie mimowoli starał się wniknąć w sens owych dziwacznych a dla niego niezrozumiałych słów, które po przez stół krzyżowały się dokoła niego z szybkością i migotliwością

błyskawicy. Lecz malarze, znudzeni już tym przedmiotem, zajmowali się teraz „Katechizmem buddyjskim” przez Soubhadrę Brikshon i ganili niezmiernie jego zbyt dowolny układ, „dla użytku europejczyków” sporządzony.

Powstała dyskusya gorąca i ożywiona, gdyż jeden z malarzy bronił owego Soubhadrę i usiłował dowieść, że katechizm ów jest najzupełniej zgodny z doktryną Buddhy Gotamy. Wśród tej wrzawy murzynka, coraz więcej zziębnięta, zjadła całą stertę szparagów, polykając je całe, i otwierała przytem tak szeroko swe grube wargi, iż zdawało się, że połknie cały stół wraz z biesiadnikami. Niektórzy goście, siedzący bliżej klanu malarzów, zaczęli mieszać się do tej dyskusyi, i nagle Wielohradzki uczuł się otoczony teozoficzną atmosferą, pełną burżuazyjnego mistycyzmu. Pojawienie się olbrzymich baranich pieczeni, zlocących się rudemi masami w obramowaniu białych półmisków, przerwało żarliwe ścieranie się zdań przeciw i w obronie budyzmu. Rzucono się z zapalem do mięsa i sałaty i przez długi czas widać było tylko szczęki poruszające się i miażdżące jadło. Lecz, gdy służące zjawily się, aby uprzątnąć talerze, błękitny kwiat modnego mistycyzmu zaczął krążyć znów w przestrzeni. Wypoczywano po zwalczeniu trochę twardej baraniny, w oczekiwaniu kremu czekoladowego, który zapowiadało *ménu*, przelatując z rąk do rąk z szybkością papierowego motyla. Czasu tego

Na „plaży” czerniło się aż od dzieci, które znosiły swoje okręciki, yachty, łódeczki, barki, yolle, i ustawiały je rzędem na piasku. Stary wilk morski Jagoury, z nogą drewnianą i twarzą czarną od wichru i soli, czekał w niewielkiej łodzi spokojnie, paląc fajkę i plując w morze. Co chwila jakieś dziecko wybiegało tuż po nad brzeg, tak, że fale, zielone dnia tego jak szmaragd, moczyły końce drobnych nóżek, i, stanawszy nad wodą, krzyczało:

— *Jagouryl!*...

— *Ben quoi?*... — pytał flegmatycznie breton.

Dziecko dawało mu jakieś polecenie, którego on słuchał obojętnie, kiwając głową. On-to bowiem miał zabrać na swą łódź wszystkie okręciki i wypuścić je na pełne morze. Latarnia morska była metą tych regat miniaturowych; dziesięć franków — pierwszą nagrodą. Statków zapisanych była spora liczba; lecz ciągle jeszcze nadciągały dzieci, prowadzone przez bony w białych fartuchach i muślinowych czepkach, niosące maluchne okręciki. Ze wszystkich uliczek, rozpadlin murów, wawozów, wysuwali się tryumfujący malcy w beretach, z nagiemi łydkami, drepcąc po piasku, bijąc się z boną i spiesząc nad brzeg, aby natychmiast zacząć krzyczeć:

— *Jagouryl!*...

— *Ben quoi?*

Lecz dzieci już odbiegały i stawały na ich miejsce

inne, tak samo w beretach, z nagimi łydkami, i wołały cieniutko:

— *Jagoury!*...

Starsze osoby powoli odmykały swoje kabiny, wydostawały fotele i składane krzesła i siadały, usiłując znaleźć choć odrobinę cienia. Słońce jaśniało w całej potędze i piasek plaży był prawie gorący od jego promieni. Purpurowe parasole, porozpinane dookoła, wyglądały jak polne maki olbrzymie, a złoty kolor piasku zdaleka sprawiał wrażenie wielkiego łąnu pszenicy. Kilka dziewczynek miało błękitne sukienki, co w ten łąn rzucało niewielkie punkty chabrowe. Lecz już morze zielenią swoją, dziwną i nieusprawiedliwioną (bo całe niebo czerniało aż do szafiru), obejmowało wielką ramą wysunięty daleko przylądek i, bieląc się lekko srebrną pianą w rozpadlinach skał, symfonię chabrow, maków i kłósów zmieniało w step zieleni, step niezmierny, niosący na swoim rozkołysanym grzbiecie pomarańczowe plamy rozpiętych szeroko żagli.

Nagle u brzegu powstał ruch wielki: powoli mały i bosy breton, w płóciennych spodniach i niebieskiej kurtce, zaczął podawać kolejno okręciki Jagouremu, który przybił do ścieżki kamienną, sterczącą wysoko wśród fal morskich. Chłopak skakał dziwnie zręcznie po czarnych grzbietach kamieni, a gromadka dzieci, stojąca na brzegu, śledziła jego ruchy z wielkim napięciem. Lecz nagle jeden z małych chłop-

ców w czerwonym berecie pobiegł tuż za bosym bretonem i, szybko przeskakując z kamienia na kamień, przedostał się do łodzi Jagourego. Było to niejako hasłem, natychmiast bowiem cały tłum chłopczyków i dziewczynek rzucił się ku owój ścieżce z piskiem i hałasem. Bony wmieszały się także pod pozorem opieki i w mgnieniu oka łódź Jagourego napełniła się beretami, wśród których bieliły się czepki sług i żagle miniaturowych okręcików.

— *Hoe ho!*... — krzyknął Jagoury.

Bosy chłopak odepchnął łódź, która, obciążona, wypłynęła na morze. Widać było na tle ciemnych desek kilka różowych rączek, gwałtownie pragnących zanurzyć się w wodzie. Berety powiały pożegnaniem, pisk i śmiech dopłynął razem z falą do brzegu, i nagle wszystko ucichło; łódź płynęła po tafli szmaragdu, pozostawiając za sobą szeroką bródę o dziwacznych, złoto-szafirowych połyskach.

Wówczas Wielohradzki zbliżył się ku paniom Dobrojowskim, które siedziały w cieniu wielkiego parasola, wpół leżąc niedbale na dużych fotelach, z trzciny i szarego płótna złożonych.

Tadeusz pragnął zastosować się do rad matki, zbliżyć się cokolwiek do samej hrabiny i dać się jęj poznać z jaknajlepszej strony. Wydawało mu się to zupełnie naturalne i nawet niezbędne.

Hrabina siedziała znużona upałem i zdenerwowana morskiem powietrzem. W fałdach jęj sukni spa-

ła Tamtutka. Dama ubrana była szaro. U jej stóp skurczona, w kapeluszu Salutystek i dżetowej peleynce, siedziała panna Marcela.

Muszka zdaleka odcinała się na szarém tle płótna jasną barwą letniej sukienki. Był to rodzaj bareżu, mieniaącego się liliową i złotą nitką. W stanie ściągnięty stanik szeroką białą morową wstążką płynął ku górze w tysiącznych drobnych fałdkach i rozchodził się w olbrzymich rękawach, spadających ku łokciom okrytym skórą niezmiernie długich rękawiczek. Duży kapelusz *Cabriolet* w stylu *Directoire*'u z wielkimi liliowemi różami, umieszczonemi tuż po nad uszami Muszki, nadawał jej twarzy cechę niezmiernie artystyczną i stylową.

Siedziała nieruchoma, z oczyma wlepionemi w przesławny *Cosmopolis* Bourget'a, który dla stopnia jej umysłu był najzupełniej odpowiednią strawą.

Gdy Wielohradzki zbliżył się ku Dobrojowskiemu, obie damy, zaczytane w owym episyerskim psychologu, drgnęły, a Tamtutka, obudziwszy się zaszczekała, groźnie. Wielohradzki z uśmiechem zdjął kapelusz i przypomniał się hrabinie, która zdawała się spoglądać na niego ze zdziwieniem. Lecz uśmiech jego zlodowaciał na widok nagle ściągniętych brwi Muszki i gniewnego spojrzenia. Zdawała się być zdziwioną i niemile dotkniętą jego przybyciem. Hrabina jednak, jako dobrze wychowana osoba, zaczęła wypytywać Wielohradzkiego: co robi, czy poczynił duże

studya i czy znajduje Concarneau rzeczywiście tak niezwykle pod względem malowniczego położenia?

Wielohradzki odpowiadał zdławionym głosem, starając się o ile możliwości odzyskać równowagę, lecz wzrokiem omijał Muszkę, lękając się spotkać z jej rozgniewanem spojrzeniem. Czuł, iż popełnił znów jakąś niewłaściwość, i rozpacz ścisnęła mu serce. Jakkolwiek nie patrzył teraz na Muszkę, nerwami widział ją wybornie. Siedziała nieruchoma. Przez przywoitość położyła książkę, ale oczyma błędziła po morzu, nie biorąc żadnego udziału w rozmowie i zachowując się, jakby Wielohradzki nie był jej zupełnie znany. Z tą zmarszczką na czole, z ustami zaciętymi, wystrojona, prześliczna, przypominała najzupełniej tę Muszkę lwowską, która królowała wśród balów lub wiodła orszak ekwipaży na *mail'u* Maleniego.

Nagle powstała i zwróciła się ku pannie Marcelli.

— Będę się kąpać! — wyrzekła — niech panna Marcela otworzy kabinę.

I szybkim ruchem złożyła fotel, tak jakby lękała się, ażeby Wielohradzki nie zajął jej miejsca. Z Bourgetem pod pachą weszła do kabiny i z jakąś nerwową złością drzwi za sobą zamknęła.

Tymczasem Dobrojowska przeciągała z Wielohradzkim rozmowę. Nie mieli jednak sobie nic do powiedzenia i nic przewodnia rwała się ciągle, płacząc się w kółku prostych komunałów. Nadeszła

chwila, w której Wielohradzki czuł, iż musi się oddalić, i że przeciąganie téj rozmowy zaczyna już być natręctwem. Pomimo upału oblewał go chłód, tak wielkie moralne zimno biło od téj kobiety, ubranéj w stalowe, wystygłéj barwy szaty, od jéj twarzy grzecznie z wielkopańska uśmiechniętéj, od jéj oczu, w których teraz dopiero Wielohradzki dostrzegł zupełne podobieństwo do oczu Muszki w wyrazie, oprawie i mieniającym się prześlicznym szafirze.

Zmrożony, onieśmielony, a mimo to prawie rozpaczliwie natrętny, stał wciąż Tadeusz przed Dobrojowską, nie umiejąc już teraz zręcznie się pożegnać, odejść, przerwać tę niewłaściwą, śmieszłą sytuację, która go do rozpaczki doprowadzała. Nagle otworzyły się drzwi kabiny i w ciasnym ich otworze pojawiła się Muszka. Była w bluzie flanelowéj, białéj, podbitéj delikatnym różowym jedwabiem. Na nogach miała czarne jedwabne skarpetki i białe *espadrille*, związane gumowemi wstążkami. Na ramiona zarzuciła płaszcz biały, najeżony kilkoma rzędami pelerynek.

Na głowie związała fular purpurowy, mieniający się dziwnie w promieniach słońca. Ukryła pod nim włosy, i oczy jéj w tém obramowaniu krwawém nabierały fatalnego wyrazu. Stała wciąż na progu kabiny z brwiami zmarszczonemi, jakby oczekując na odejście Tadeusza, którego nie chciała spotkać na swéj drodze.

Nareszcie Wielohradzki wzrok ten zrozumiał i, uchyliwszy kapelusza, na bok się usunął. Natychmiast Muszka zeszła ze schodów, a za nią, jak cień czarny, sunęła panna Marcela. Tamtutka, poszczekując, zesunęła się z kolan hrabiny i zaczęła biedz za panną Marcelą.

Wielohradzki, idąc wolno ku drugiej plaży, śledził wzrokiem oddalającą się ku brzegowi Muszkę. Szła powoli, wyprostowana, rozwiewając fałdy swego płaszcza. Czuła się doskonale piękną i tryumfowała w téj apoteozie ujawnionej swój urody, idąc powoli ku falom, które teraz leniwie brzeg oblewały, zielone o złotych pręgach, przeciętych srebrem piany.

Wielohradzki wszedł na skałę dzielącą obie plaże i usiadł, patrząc wciąż na Muszkę, która teraz zatrzymała się, rozmawiając z kilkoma Amerykankami. Dziwacznie wydłużone postaci owych miss, odzianych w czarne lub ciemno-zielone kostiumy, silnie znaczyły się na jasnej powierzchni piasku. Przez chwilę stały tak ciemne i chude, ukryte pod rondami swych dużych słomianych kapeluszy, mając pośrodku białą smukłą postać Muszki z purpurową plamą fularu, jak kwiat płomienny w słońcu rozkwitającą. I nagle porwały się wszystkie i wbiegły do wody, roztrzając pianę. Olbrzymie srebrne koło otoczyło je.

Znikły w niem i po chwili wypłynęły wśród zieleni i szafiru, kołysząc jedynie skrzydłami kapeluszy

i mając na czele płomienny fular Muszki, czerwieniący się w oddali, jak rubin na tle z szafirów i szmaragdów utkanem.

Zaczęły płynąć wszystkie razem ku trampolinie, która wystawała płaskim, żółtym grzbietem daleko od brzegu. W drodze spotkały amerykańskich malarzy, płynących w przeciwną stronę. Dziewczyny minęły mężczyzn i dopadły trampoliny. Jedna po drugiej wysuwały się z wody i siadały lub stawały na deskach. Sylwetki ich odcinały się w przestrzeni z przedziwną czystością. Słońce zalewało je teraz potokami światła, złościąc złociste bruzdy w szumiących falach. I tylko jedyna postać Muszki, biała i różowa, miała w sobie przejrzystość opalu. Kontury jej rozplywały się w przestrzeni, purpura fularu była już tylko maluchną, migocącą w powietrzu gwiazdeczką.

Wówczas sercem Wielohradzkiego zaczęło szarpać jakieś dziwne przecucie. Zrozumiał, iż gra w zakryte karty, lecz bał się je odwrócić i sytuację wyswietlić. Przypominał sobie intonację jej głosu, gdy powtórzyła za nim „na całe życie”. Była szczerą. Lecz dlaczegoż dzisiaj znalazł w niej tyle opornego gniewu? Kiedy była więc szczerą? dziś, czy wtedy? Odwrócił głowę i spojrzał na drugą „plażę”. Tuż u stóp skały, na której siedział, ujrzał całe mrowisko Amerykanek, siedzących przy porozstawianych stalugach. Sam Sanderson, ze swą twarzą morfinomana,

siedział wyprostowany na małym krzeselku i jakieś szkice kreślił. Na samym brzegu unieruchomieni w romantycznych pozach stali trzej mali chłopcy, niby zajęci puszczaniem na wodę drewnianego statku. Fale oblewały ich bosc stopy, obdarte berety okrywały głowę. Nieruchomi, jakby nagle zakłęci, przedstawiali wybornie typ „rodzajowego” obrazka.

Amerykanki gorliwie prznosiły na płótno olejne fotografie téj teatralnej sceny. Sanderson od czasu do czasu wstawiał, szedł ku morzu i potwornym akcentem wydawał rozkazy modelom:

— *Vô—plous an arière!*...

Profesor powracał na swoje miejsce, zatrzymując się po drodze przed stalugami téj lub owéj uczennicy. Milcząc, zamieniał z nią kilka gestów. Dziewczyna kiwała głową i znów zapadała cisza.

Wielohradzki powstał i ku trzeciej „plaży” iść zaczął. Lękał się, aby Muszka go nie dostrzegła i nie posądziła o niedyskrecję. Czuł, iż ani na krok nie posunął się w zbliżeniu do panny Dobrojowskiej i że pomimo zamienionych uścisków i kilku słów bardziej znaczących lęka się jój tak samo, jak we Lwowie.

Minął trzecią „plażę” i wyszedł teraz na brzeg zupełnie pusty, zawalony kamieniami, pomiędzy któremi szumiały fale, unosząc na sobie całe wstęgi ciemnego *warechu*. Odetchnął, nie widząc stalug i błękitnych bluzek Amerykanek. To bezustanne szarpa-

nie szmatek natury i przenoszenie jej na kawałki płótna zaczęło go męczyć i wydawać mu się śmieszoną pretensją. Jego estetyka ograniczała się rozróżnianiem oleodruku od akwarelli. Lecz ten bezmiar piękności natury porwał go swą wielkością i przepychem. Zrozumiał bezmiar i bogactwo. Kawałek płótna i trochę farb wydało mu się nędzą śmieszoną i pretensjonalną.

Szedł wciąż naprzód, widząc teraz przed sobą całe stosy tych szarych, wielkich łomów, oszlifowanych przez fale i okrytych ciemno-brązowym płaszczem *warechu*. Po lewej stronie rozciągała się płaszczyna morza, migocąca teraz kolorami tęczy, po prawej — zieleniały łąki, czerniły się świerki, bieleły wille. Kilka domów stało zupełnie osamotnionych. Jeden z nich, niewielki, z wieżyczką, podbił duszę Tadeusza. Szczególniej pociągnęła go wieżyczka.

— Dobrze byłoby tu we dwoje!... — pomyślał, patrząc melancholijnie na zamknięte okiennice. — Domek niewielki, ale byłibyśmy bliżej jedno drugiego. W wieżyczce urządziłbym sobie *fumoir*....

Pokręcił głową nagle zdjęty galanterią.

— Niel... to byłyby *boudoir* Muszki... ręczę, iż pozwoliłaby mi palić jednego papierosa po obiedzie... Pilibyśmy tam czarną kawę!...

Przed oczyma jego, jak *fata morgana*, przesunęło się widzenie różowego (koniecznie różowego) buduaru, z nieodłączną skórą białego niedźwiedzia na

podłódze i szafką, w której stałyby saskie i sewrskie figurki. I tam, on, koło Muszki, pijący kawę z ma-
lutkiej filizaneczki i strząsający popiół z papierosa
piątym palcem, tak, jak to robił Malewicz w chwi-
lach ataku wyższej kokieterii...

Marzenia te uniosły go. Szedł dalej, ciągle wy-
kręcając głowę w stronę willi, z której balkonu po-
wiewała karta „à vendre ou à louer”.

— Nie oplaci się wynajmować... — myślał Wie-
lohradzki — lepiej kupić. Ciekawy jestem, co też to
może kosztować? Dwadzieścia, trzydzieści tysięcy
franków...

Nagle coś mu pod stopami zapiszczało. Cofnął się
przeżony.

Z kamienia podniosła się murzynka, owinięta
purpurową draperyą.

— *Modà pose?*... — wymówiła, jakby tłumacząc
swą obecność i dziwaczną, skurezoną pozę, jaką na-
tychmiast znów przybrała.

Wielohradzki obejrzał się, lecz nigdzie nie do-
strzegł stalug. Natomiast tu i owdzie na kamieniach
ujrzał siedzących nieruchomo francuskich malarzy
zaopatrzonych w skurezoną na grzbiecie kamienia
murzynkę. Zdaleka wydawała się jak potworny
głównóg, o czarnych, chudych ramionach. Przysia-
dła skurezona z promieniami swych nóg i rąk, roz-
ciągniętych pośród gąszczu *warechu*, miała w sobie

fatalną grozę jakiegoś potworu dziwacznego, czającego się na upatrzoną ofiarę.

Tadeusz, zmieszany tém spotkaniem, cofnął się i mimowoli ku owój willi z wieżyczką iść zaczął. Doszedłszy do kraty, stanął i pozostał tak nieruchomy, wpatrując się w ową kartę uczepioną o kraty balkonu, kartę, którą wiatr na obie strony kołysał.

I z uporem maniaka ciągle czytał:

— *A vendre ou à louer.*

X.

List Tadeusza do matki.

„Mateczko najdroższa i najukochańsza!

„Parę słówek tylko piszę — naprędce. Jestem bowiem niezmiernie zajęty. I niech Mamuś zgadnie czem? Wymyślaniem nowych figur do kotyliona!!!! Prowadzić bowiem będę tańce na balu, który amerykańska kolonia wydaje tu dzisiaj. Zwrócono się do mnie z prośbą o zaaranżowanie kotyliona. Nie wiem, z kąd dowiedzieli się o tej mojej specjalności. *Enfin*, tak nalegali, że musiałem przyjąć, tém bardziej, iż widziałem, że Muszka sobie tego życzy. Mam wiele kłopotu, gdyż pojmuje mateczka, iż tu niema żadnych przyborów, a zamało jest czasu, aby je z Paryża sprowadzać. Panienki więc same zajęły się fabrykowaniem orderów, bukietów, szarf, a ja tymczasem suszę sobie głowę, starając się coś z tych domowych fabrykatów ułożyć. Co zaś do saméj pani Dobro-

jowskiej, to tak, jak Mameczka kazała, zbliżyłem się i zostałem niezmiernie życzliwie przyjęty. Niech się Mameczka nie niepokoi. Wszystko będzie dobrze. Z ostatniego listu widzę, iż Mama trochę straciła na humorze. Czy czasem Matuchna nie za dużo pracuje? Ja utylę trochę, bo kuchnia wyborna i powietrze morskie świetne, dodaje apetytu. Frak mój nawet jest trochę ciasny. Droga Matusiu, zbliża się już termin mego wyjazdu. Za cztery dni, to jest w chwili otrzymania mego listu, wyślij mi umówioną depezę. Przypominam Ci tekst:

— *Revenez immédiatement, affaires urgentes, moi malade.* W ten sposób znajdę usprawiedliwienie z mego nagłego wyjazdu przed Muszką. Mogłaby żądać, abym pozostał, a Mamcia wie, że Tazio nie ma już wiele pieniędzy i tylko tyle, co na drogę. Całuję rączki drogiej Matusi, czekam depezy i sercu Mamci się polecam

najprzywiązańszy syn
Tazio."

Napisawszy ten list, Wielohradzki zaniósł go na pocztę i powrócił czempredzój do swego pokoju, gdzie spędził całe popołudnie na kreśleniu kółek, kresek i liczb, stanowiących kombinacje kotylionowe. Widocznie za inicjatywą Muszki, jeden z amerykańskich malarzy zbliżył się do niego po śniadaniu i, przedstawwszy się, w bardzo gładki sposób prośbę

swoją wypowiedział. Próżność Tadeusza mile pogłaskana została. Ci Amerykanie imponowali mu niezmiernie swą wykrochmaloną poprawnością. Przyjął zaproszenie skwapliwie, zdziwił się jednak, gdy Amerykanin, z zupełnie seryo miną, zapowiedział mu, że ów bal będzie kostiumowy i że wszyscy biorący w nim udział, tak mężczyźni jak kobiety, przebrani będą za małe dzieci.

— *Petits garçons... petites filles!*...

— Al... -- zdziwił się Tadeusz.

Spotkawszy na ulicy Muszkę, idącą w stronę kabiny z panną Marcelą, chciał przejść obok, lękając się popełnienia nowej niedyskrecyi, lecz panna Dobrojowska, roześmiana, wesola i prześliczna w swój różowej batystowej budce i muslinowej białej sukni, wyciągnęła do niego rękę, wabiąc go gestem i głosem. Wielohradzki podbiegł uszczęśliwiony. Panna Marcela dyskretnie usunęła się na bok. Zaraz zaczęli mówić o projektowanym balu i o kostiumach dzieciennych, zaakceptowanych jednomyślnie przez klan Amerykanek. Lecz Muszka wzruszyła ramionami, oświadczając, iż za nic nie włoży fartuszka małej dziewczynki, lecz przyjdzie w tualecie spacerowej. To samo postanowił Tadeusz, któremu tytuł *conduc-teur de cotillon* nadawał pewne prawo zachowania balowego stroju dorosłego mężczyzny.

I weseli, nagle rozradowani, szli obok siebie, radzi z życia i doskonałości swego zdrowia i urody, kąpiąc

się literalnie w sympatycznych prądach, jakie ich otaczały. Zaglądali przez balustradę w morze i zachwycali się tajemniczą krepą siatek, które wiatr rozwiewał jak szaty almei tańczącej wśród fal.

Minęli port i wydostali się na gościniec, po którym krzyżowały się niezliczone ścieżki. Zagłębili się w jedną z nich, całą zieloną od gałęzi drzew, rosnących po za liniami murów. I nagle wzrok ich doznał olśnienia. Pomiędzy tą ciemną zielenią wznosiły się wały lśniącego srebra i miedzi złotój, pełnej kolorowych iskier.

Promienie słońca wpadały przez otwory gałęzi i migotały wśród tych skarbów, które zdawały się wylewać kaskadami i z ponad murów, aż na środek ścieżki, pomiędzy mchami srebrzyć się, złocić i czerwienią miedzi połyskać.

Były to okrawki pudełek od sardynek, które mieszkańcy spożytkowywali, tworząc z nich kolczaste i bezpieczne ogrodzenia. Lecz w tym półcieniu, w tych migotliwych blaskach przekradającego się słońca, były to skarby Golkondy, rzucone pod stopy przechodniów z hojnością jakiegoś mistycznego bogacza. Tworzyły on wały fantastycznych bogactw, całe kopalnie nagle odkryte i na światło dzienne w doskonałej już formie wyprowadzone. Wśród zieleni złoto i srebro szalało migocącemi i ciągnącemi się blaski.

Muszka wyciągnęła obie ręce, porwana nagle urokiem tego przepychu.

— Jakie to ładne!.. zdaje mi się, że wchodzimy do jakiegoś Sezamu!.. Przypomina mi się Ali-Baba i czterdziestu rozbójników...

Wielohradzki westchnął.

— Ach... gdyby ta blacha była szczerém złotem — wyszeptał.

Muszka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Chciałbyś pan być nababem? — spytała.

On odparł z wielką szczerością:

— Chciałbym...

Dziewczyzna ramionami wzruszyła.

— Czy sądzisz pan, że to dodałoby ci uroku? — zawołała. — Nabab to w obecnym składzie społeczeństwa istota bardzo banalna, pospolita i zwykle niezajmująca... Przynajmniej ja tak sądzę...

Wielohradzki gorączkowo chwycił się tego tematu rozmowy, który zdawał mu się rozświeślać całą sytuację.

— Byłem pewny— zaczął zdławionym głosem— iż pani, tak jak zresztą wiele kobiet wychowanych w dostatkach i zbytku, ceni ów zbytek... i owe dostatki..

Muszka szła ciągle naprzód ostrożnie, zgarniając swe szeroko rozpościerające się białe muśliny i ochraniając je od rozdarcia o kolce blachy.

— Zapewne — odparła już poważniej i nagle zeszytywniała moralnie—cenię dobrobyt, tak, jak cenię własną istotę, do której się przyzwyczaiłam. Są je-

jednak chwile i uczucia, które z owemi „dostatkami”, jak je pan nazywasz, nie mają nic wspólnego...

Tadeusz zbliżył się ku niej i widząc, iż ona nie tylko nie przyspiesza kroku, ale raczej zwalnia szybkość swego chodu, pochylił się znów nad jej ramieniem.

— A więc ja?.. — zapytał.

— Pan?.. należysz do tych osób, których pozycja materyalna jest dla mnie najzupełniej obojętna... nie troszczę się o nią... nie pragnę nawet wiedzieć nic w tym względzie... Pan istniejesz dla mnie sam, sam — bez otoczenia, bez warunków życiowych...

I powoli, przysłaniając powieki, dodała:

— Pan jesteś moim snem!..

Tadeuszowi nagle zaczęły drżać wargi.

— Dlaczego... snem? — zapytał — niech będę rzeczywistością...

Ona zwróciła ku niemu swą piękną twarz i nagle Tadeusz ujrzał przed sobą jej oczy powleczone jakąś mgłą wilgotną.

— Rzeczywistością senną... — wyrzekła powoli, jakby namyślając się, jakim nie nie znaczącym wyrazem zakończyć harmonijny akord tej przedmiłosnej strofy.

Przed nimi wił się wciąż ów wąwóz pod sklepieniem drzew, tajemniczy i nieskończony. Amarantowe kiście *digitalu* kwitły całymi pękami w rozpadlinach murów; kamienie, obrosłe szmaragdowym mchem,

mieniły się od plam słonecznych, a kaskady blach zamieniały się teraz w istne potoki srebra i złota, zalewając chwilami ścieżkę i tamując drogę.

Zdaleka słychać było szmer kroków panny Marceli i szelest jój sukni.

Muszka odwróciła się, widocznie zdenerwowana obecnością panny służącej.

— Panno Marcelo! — zawołała nawpół rozkazująco, nawpół z uśmiechem — ja i pan Wielohradzki pójdziemy do fermy w Croine napić się mléka... Niech panna Marcela tu na nas zaczeka... Panna Marcela mléka nie lubi!

Jak maryonетка nagle nakręcona, przysiadła panna Marcela na płaskim kamieniu i, podparwszy głowę, spokojnie czekać zaczęła.

Tymczasem Muszka i Wielohradzki zaczęli iść szybko, biedz prawie. Twarz hrabianki pokryła się rozkosznymi dołkami, tak roześmiana była cała jój istota, przejęta nagle rozkoszą wesołości dziewczęcej. Tadeusz, porwany, rozkochany, uszczęśliwiony, biegł za nią wśród palm paproci, kiści *digitalu* i srebrnych kaskad blachy. W swój białej sukni, delikatnej i przejrzystej, po której ślizgały się promienie słońca, wysmukła, z aureolą różowej jutrenki kapelusza dokoła głowy, zdawała się zjawiskiem delikatnym, z woni i barwy róży złożoném.

Biegnąc, wyciągnęła przed siebie ręce i płynęła wśród téj jasności, pod baldachimem liści, które, jak

spękane, stare szyby kościelne, zielony czarodziejski blask na nią rzucały.

Tadeusz szedł za nią i nagle uczuł w głowie zamęt, jakiś chaos, jakby opuszczała go wola, pamięć, sumienie. Biała postać mającząca przed nim hipnotyzowała go i on, zwykle przebywający w ciasnej przestrzeni wrażeń, przeraził się nieledwie tém nagłym wstrząśnieniem, jakiego doznawać zaczął.

— Gdzie my idziemy? — zawołał nagle, a głos jego zabrzmiał tonem trwogi.

Muszka stanęła, i tonąc cała w paprociach i kępie liliowych dzwonek, odparła:

— I po co to pytać? po co to chcieć koniecznie wiedzieć, gdzie nas życie poprowadzi. . . . czy zamknąć i... czekać...

I uśmiechając się dodała:

— Wieczna ciekawość nieznanego!... *fèvre de l'Inconnu*... a przecież to nieznanne... zakryte.. to cały urok życia!...

Podniosła w górę ręce, założyła je za głowę i pod rękami zabłysły dziwnie jasno i miłośnie szafiry jęją oczu...

— Urok życia!... — powtórzyła, patrząc prosto w twarz Tadeusza.

On rzucił się ku niej i nagle zuchwały, niemal brutalny, porwał ją w objęcia.

— Muszko!... — wyszeptał, nie śmiejąc całować

jój ust, które uśmiechnięte miał tuż przed swojemi ustami.

Ona wciąż patrzyła na niego z pod przysłoniętych rzęs; z wpół otwartych warg migotały teraz perły zębów białych, jak u młodej wilezycy.

Tonęli teraz w jasności, woni, blasku — w tęczy barw migocących koronami kwiatów.

Tadeusz w téj chwili nie liczył, nie kombinował: widział tylko przed sobą ukochaną i pożądaną kobietę. I cicho, namiętnie, z po za zaciśniętych zębów zapytał:

— Ty moja?... prawda?... moja?...

Jój oczy pociemniały i zęby zacięły się, tak jak u niego, jakimś nerwowym, spazmatycznym wysiłkiem. Milczała, powoli tracąc dziewczęcy wdzięk i przybierając nagle maskę dojrzałej kobiety.

— Odpowiedz!... — szeptał mężczyzna.

— Przyszłość odpowie!.. — rzuciła nagle i, wyślizgnąwszy się z objęć Wielohradzkiego, znów na przód biedz zaczęła.

.

W ciemnej chacie o rzeźbionych belkach migotał na wielkim kominie ogień, trawiący nędzne brzozowe gałęzie.

Na pniaku drzewa, prawie dotykając sabotami ognia, siedział stary breton i, paląc fajkę, pluł w popiół.

Niedaleko, w kołysce, rzeźbami ozdobionej, leżało doroczne dziecko, poważne, spokojne, z twarzą dorosłego mężczyzny, bladą i nalaną. Dwie czarne źrenice utkwili w świecące gwoździe, któremi meble nabijane były, i zdawało się pogrążone w ekstazie mistycznej — dziwaczne i chorobliwe w swym aksamitnym, złotem haftowanym czepku.

Wielohradzki i Muszka usiedli za stołem, czekając na mléko, które czarno odziana chłopka wielką drewnianą łyżką z misy przelewała w małe miseczki. Cała gromada milczących i chmurnych dzieci, zbita w kacie w jedną masę błękitnego sukna, purpurowych czepków, sabotów i zasmolonych twarzy, śledziła z pod oka tę pannę białą ubraną, strojną i elegancką, której obecność napełniała ciemnię izby jakas chorobliwą i niepokojącą dysharmonią. Pończochy Wielohradzkiego, pończochy wiedeńskie, dość pstre, dalekie od wykwintnej harmonii angielskich wełn, drażniły także te chłopskie umysły. Lecz zdziwienie kryły dzieci w sobie, ciągle poważne, zamysłone i smutne, z twarzami zestarzałemi przedwcześnie, w ciemni izby obstawionej dokoła artystycznie rzeźbionemi meblami.

Czuć tu było nędzę piękną, szamocącą się ze szpetotą, panującą wszechwładnie, przechowującą zardzośnie artyzm codziennych sprzętów z poetyczną skrętnością Japończyków.

Łózka, szafy, komin, ławy, łyżki, zawieszzone

u stropu w rodzaju drewnianego pudełka; deska, na której leżały czarne bochenki chleba, — wszystko to miało w sobie linie i zarysy przechowane z Wieków Średnich, z lekką domieszką gotyku w ornamentacjach, lecz w całości zachowujące harmonię stał, czerniących się w półmroku starych, rozpadających się w gruzy bretońskich kościołów.

Wielohradzki i Muszka, przedzieleni wążką deską stołu, siedzieli naprzeciw siebie w milczeniu, i tylko oczy ich spotykały się co chwila, migocąc jak fajwerki.

Hrabianka zdjęła z głowy „kapotkę” i oparła się plecami o ciemno-brunatne tło ściany. Włosy jej były prawie téj saméj barwy, co deski, lecz promienie słońca, wpadające ukośnie przez drobne szybki jedyne go okna, zapalały w kręconych kędziorach aureole złotawych iskierek.

Wzrok jej wciąż wpadał w źrenice Tadeusza i uciekał szybko jakby spłoszony. Dodawało jej to uroku. Był to fałsz z pozorami eleganckiej naiwności, przewrotność wszystko wiedzącej dziewczyny, złagodzona wdziękiem trwożącego się podlotka.

We drzwiach chaty zaciemniło się nagle. Ciężko wlokąc pokrzywione nogi, wszedł Jagoury z fajką w ustach. Odziany w swe poszarpane ubranie polawiacza sardynek, miał wygląd żebraka. Lecz берет granatowy z fantazyą spadł mu na ucho olbrzymie, włosem obrosłe. Poszedł wprost do komina i nachy-

lił się nad ogniskiem. Szczypcami drucianemi wyjął żarzący się węgielek i, pykając głośno, fajkę gasnącą rozniecać zaczął.

I nagle parsknął śmiechem brutalnym, hałaśliwym.

Stary breton, siedzący koło komina, nie poruszył się nawet, nie spytał Jagourego o przyczynę téj wesołości. Bretonka, nalewająca mléko, podeszła do stołu i postawiła dwie miseczki purpurowe, dziwacznie malowane, przed Muszką i Tadeuszem.

— *Bara?* — zapytała.

I nie czekając na odpowiedź, zdjęła z deski olbrzymi bochen czarnego chleba i położyła go na stole.

Tymczasem Jagoury zbliżył się także do stołu i w zczerniałych rękach kruszyć zaczął kawał hreczanego naleśnika.

Śmiał się ciągle, pluł w ogień i kiwał głową.

Okruchy zgarnął i wszystko razem wtłoczył w rodzaj dziury, których było kilka na powierzchni stołu.

Bretonka wlała mu w ten otwór trochę mléka i zamieszała tę zupę palcem. Jagoury odłożył fajkę i usiadł na ławie.

— *Permettez?* — zapytał Muszki, uchylając beretu.

Panna Dobrojowska skinęła głową. Przyglądała się ciekawie téj olbrzymiej ludzkiej maszynie, którą morze pokryło czarną rdzą, a jod *warechu* pokostował rudą barwą. Jagoury zdawał się jakimś starym

rybakiem, zbiegłym ze sceny teatralnej. Jadł powoli, zanurzając łyżkę w otwór stołu, zastępujący mu głębokie talerze i wszelkiego rodzaju cywilizacyjne nakrycia.

I nagle, z ustami pełnymi mleka i okruchów naleśnika, mówić zaczął, mieszając czystą francuszczyznę z żargonem bretońskim.

— Wyborna farsa!... ci panowie z obserwatorium... tam... po za miastem, prawie koło stacyi kolei... gdzie to uczeni z całego świata schodzą się obserwować i krajać biedne bydlątka morskie... znów popełnili wielkie głupstwo... Od kilku lat chcieli wykluć jajka homarów... Dręczyli się męczyli, urządzali akwarya... dyabli wiedzą nie co... i nic!... Homary nie chciały się wykluć. Aż po wielu, wielu pracach, badaniach, naukach, kombinacjach... odkryli, że... że...

Tu szeroka dłoń Jagourego zaczęła migać w powietrzu. Stary wilk morski machał rękami i znów zanosił się od śmiechu.

Wielka cisza panowała w izbie. Dzieci stały w kącie jak skamieniałe, a bretonka usiadła przy kołysce z rękoma splecionymi na fartuchu, w postawie istoty, przywykłej do ciągłego próżnowania.

Tylko przeciągły śmiech Jagourego huczał po chacie i rozbijał się jak fala o kanty rzeźbionych mebli.

— Odkryli, że... ciągnął dalej majtek — że... ho-

mary wykluwają się jedynie w wodzie, będącej w bezustannym ruchu!... Oto co znaleźli! I radzi, jakby złoto nauczyli się fabrykować, zawołali mnie i mówią mi: — Piotrze Jagoury, jakie to my odkrycie zrobili! Wiemy, że jajka homarów muszą do wyklucia znajdować się w wirującej wodzie... A ja parsknąłem śmiechem i mówię: było też czego trzy lata sobie głowę suszyć... A toć każdy bęben wie w Concarneau, że homary potrzebują do wyklucia ruszającej się wody...

I znów śmiał się długo i przeciągle, trawiony wciąż nienawiścią do tych „cywilizowanych”, z których pieniędzy żył, a którzy spadli na jego port rodzinny ze swemi stalugami, kabinami, regatami, pudełkami farb, czerwonymi parasolami, namiotami, obserwatoryami, kalając mu to morze, które teraz już należało do wszystkich, jak ulicznica, zamiast mieć jedynie dla swoich łaskawe przyjęcie, na wzór wstydlivej i strzegącej swego ogniska małżonki. Skrzętnie notował wszystkie śmieszności i błędy popełniane przez owych „cywilizowanych”, których ochrzcił mianem ogólném „*étrangers*”. Myśl, iż kilku uczonych tam, po za białemi murami państwowego obserwatorium trzy lata dręczyło się nad odkryciem tego, co wiedziały od wieków dzieci dźwigające się od ziemi i kołyszące się na dnie barek na srebrnych stertach sardynek, wprowadziła Jagourego w rozkoszną nerwową weselość. Od rana opowiadał tę „dobrą farsę”

wszystkim, kogo napotkał na swój drodze. Teraz umyślnie usiadł przy stole, aby śmiechem swoim upokorzyć tych dwoje wystrojonych, którzy włóczyli się po chatach po to, aby przyglądać się nędzy.

I nagle Jagoury porwał się od stołu i, wsadzwszy w kieszeń swą wygasłą fajkę, powlókł się ku drzwiom, nie skinąwszy nikomu głową.

Starzec siedzący przy ognisku nie ruszył się nawet, to samo i młoda kobieta nieruchoma, z twarzą poźółkłego Sfinksa. I tylko dziecko w kołysce zwróciło teraz swe wielkie, smutne, marzące oczy na czoło Muszki i pozostało tak wpatrzone w aureolę włosów hrabianki, aureolę płonąca całą od iskier zachodzącego słońca.

Tadeusz patrzył wciąż na Muszkę i napawał się szczególną dystynkcyą i harmonią jój ruchów.

Ręce jój, długie i szczupłe, wiły się prerafaelitycznymi gestami w przestrzeni. Mała główka, osadzona na wąskiej i białej szyi, miała chwilami w sobie jakiś chorobliwy wdzięk sentymentalno-zmysłowych heroin Balzaka. Od czasu do czasu Muszka podnosiła do ust purpurową czarękę i piła mléko z łakomstwem dużej, gibkiej, rudziej kotki. W tém otoczeniu artystycznej nędzy piękność jój występowała z podwójną siłą. Zdawała się wonném cieplarnianym kwiatem, purpurowym Hibiscusem o delikatnym kielichu, wrzuconym w smutną ciemnię średnio-wiecznej komnaty.

Nagle przed oczyma Tadeusza pojawiła się inna postać trywialna: zgarbiona, w jersey'u czerwonego stanika, jedząca brzydtko śliwki i wypluwająca w garść szorstkiej ręki pestki. Często widywał Tecię jedzącą i nigdy nie zastanowił się nad różnicą rasowych przyzwyczajęń. Skrzywił się i potrząsnął głową, jakby chcąc spłoszyć natrętne widziadło. Kształtna, wązka ręka Muszki, opięta w żółtą duńską rękawiczkę, spoczęła delikatnie na blacie stołu.

Bez namysłu Wielohradzki pochwycił ją w swą drżącą rękę. Przez chwilę te obie ręce złączone zarysowały się w promieniu słońca, bijącym przez okno.

Bretonka, siedząca przy kołysce, podniosła się z ziemi, i klekocąc sabotami, zbliżyła się do stołu.

Zaczęła zbierać miseczki i łyżki, sięgnęła po chleb i nagle uśmiechnęła się, widząc tych dwoje młodych, zapominających o reszcie świata wśród wąwozu okiennój framugi.

— *Mari et femme?*... — zapytała, pokazując dwa rzędy zczerniałych zębów.

Ręka Muszki cofnęła się szybko, jak mała pante-ra, powracająca do swego legowiska.

— *Non!... non!*... — zawołała i wybuchnęła dziwnym, przeciągłym śmiechem. — Och!... — śmiała się, nakładając kapelusz.

— Ta kobieta wzięła nas za małżeństwo... Co za dobra farsa!... jak mówił Jagoury...

Wielohradzki uśmiechnął się z przymusem. Miał ochotę zawołać: — Cóż w tém dziwnego!... lecz nie śmiał. Czuł, iż znów stoi nad przepaścią i że jednym słowem może rozświetlić całą sytuację.

Cofnął się jednak przerażony.

Zaczął szukać pieniędzy w kieszonkach kamizelki, i znalazł tylko dwie dziesięciofrankówki.

Uniesiony hojnością podróżujących po za granicami kraju Polaków, rzucił na stół ową złotą monetę.

Bretonka zafrasowała się.

— Nie mam pieniędzy... nie mogę zdać reszty.

Lecz on banalnym gościem fałszywego wielkiego pana wskazał ręką na stół.

— *Gardez tout ça!* — wyrzekł, zmierzając ku Muszce, która nagle spowaźniała, zatrzymała się przy kołysce dziecka i uważnie w twarz malca patrzyła.

— Idziemy? — spytał Wielohradzki.

— Tak.

Zbierając fałdy sukni, wysunęła się Muszka z chaty.

Stojąc na dziedzińcu, na którym suszyły się sterty paproci, zwróciła się ku Wielohradzkiemu z widocznym niesmakiem w wyrazie twarzy.

— Daleś jój pan dziesięć franków? — spytała — po co? Pięćdziesiąt centymów było aż nadto dobrą zapłatą. Po co psuć takich ludzi!

Lecz on szybko zbliżył się ku niej i porwał ją za rękę.

— Moja żona! — wymówił cichym, namiętym głosem.

Muszka znów śmiać się zaczęła.

— Tak, tak! a ty... mój mąż!...

I wzięwszy się pod ręce, iść szybko zaczęli ku gardzieli wąwozu, w którym oczekiwały na nich kaskady srebra, złota, jasność plam słonecznych, szmaragdy mchów i bluszczu, amarant digitalis, fiolet dzwonek i... blaszana grzywa panny Marceli, téj panny Marceli, która, według słów Muszki, nie lubiła mleka

.

Pracownia wspólna amerykańskich malarzy mieściła się w jednym z domów, stojących tuż po nad balustradą portu.

Pracownia była duża i pusta. Jedyne ściany pobielone zarysowane były czarnymi plamami karykatur.

Pomimo wielkiej ilości świec, oprawnych w różnorodnego pochodzenia świeczniki i lichtarze, w pracowni téj panował smutny półzmkrok—żółty, chorobliwy, opadający od sufitu jakimś welonem szarego popiołu.

Szerokie okno, wychodzące na port, przysłonięte było całe czarną płachtą wełnianą. I kir ten jeszcze smutniejszy nadawał wygląd owej sali, w której odbywał się ów „bal” kolonii amerykańskiej, bawiącej w Concarneau.

W kątach majaczyły zwalone stalugi, blejtramy, pudełka, pędzle, szczotki, zwoje płótna, pozaczynane szkice i paki potrzaskane, na których czerniły się jeszcze cyfry kolejowe.

Jedno pudełko płaskie, wypełnione trocinami, w których kryła się cała tęczą pastelii, leżało otwarte na podłodze, tuż prawie pod nogami tańczących gości. Około okna, na brudnym stole, zakreślonym mozaiką farb, stała duża waza, a dokoła niej szklanki.

Na ziemi, pod stołem i wzdłuż okna rzędy wypróżnionych butelek, a na krześle błękitna torba, w której czerwieniły i żółciły się pomarańcze i cytryny.

Na środku pracowni kręciło się kilka par przy dźwiękach rozklekotanego pianina, w które walił z całej siły jeden z malarzy amerykańskich. Reszta towarzystwa skupiała się przeważnie dokoła stołu, wazy i szklanek. *Miss'y* podchodziły śmiało, chwytaly łyżkę wazową i wypełniały szklanki ciemnym napojem, utworzonym z mieszaniny rumu, gin'u, whisky, koniaku, szampana, wina czerwonego i białego, rozmaitego gatunku, kirschu, cytryn, pomarańcz, korzeni i rozmaitych innych ingrediencyj.

Panienki odważnie i śmiało polykały szklankę za szklanką tego piekącego napoju. Żółta ich cera nabrała dziwacznych liliowych blasków. Małe oczki świeciły się, żółte zęby migaly. Mężczyźni pili także, lecz stosunkowo mniej, niż panny. Atmosfera ponczowego

flirtu wypełniała pracownię. Rozklekotane pianino skrzeczało wciąż z jakąś bzikowatą zaciętością. Jeden z Amerykanów porwał świecę z lichtarza, i zgasiwszy ją, zaczął kruszyć stearynę, rozsypując ją po podłodze. Lekkie „oach!” dały się słyszeć tu i owdzie. Eteryczne *miss* ślizgały się po tych stearynowych okrucach. Lecz szybko owe wykrzykniki przemieniały się w lichy chichot jakby rozbawionych puszczyków. I znów rozklekotany głos pianina górował, dominując nawet nad szczękami chochli skrobiącej dno wypróżnionej szybko wazy. Teraz zaczynały pukać korki i z nowo otwartych butelek lały się całe kaskady płynów do wnętrza wazy. Jedna z *miss* krajała cytryny, druga pomarańcze. Spiczaste ich łokcie, z których zsuwały się zbyt szerokie cholewy rękawiczek, migotały białawymi punktami na ciemnym tle franki. Wielohradzki, siedzący obok Muszki, zwrócił jej uwagę na ten fatalny kant nazbyt obnażonych ramion. Hrabianka uśmiechnęła się i, nagle rozsunawszy tęczowy wachlarz, zasłoniła nim siebie i Wielohradzkiego. Znikli oboje po za tym parawanem z jedwabnej gazy, po której wily się arabeski srebrnych gwiazdek. I zaczęli śmiać się oboje serdecznie, wesoło, z jakąś pustotą dziecięcą. Ten „bal” był dla nich wyborną komedią, na której występowali w roli widzów.

Przez rzeźbę rączki wachlarza, zbliżywszy swe głowy, patrzyli...

Przed nimi, w pół-ciemnym, leniwym świetle skakało kilka par dorosłych, a nawet przerosłych ludzi, odzianych w dziecinne, króciuchne sukienki. Kobiety miały spódniczki sięgające kolan, fartuszki z szelkczkami lub zupełnie okrywające sukienki, nędzne włosy, spomadowane i splecione w cieniuchne warkoczyki, na ramionach bransoletki koralowe. Niektóre miały włosy rozpuszczone i spięte grzebyczkiem, jedna zaś, trzydziestoletnia kobieta, płaska, chuda, z czerwonym nosem, włożyła na głowę biały haftowany czepeczek i potrząsała trzymaną w ręku grzechotką. Mężczyźni ubrani byli, jedni w sukienki i fartuszki, inni w majteczki krótkie do kolan, skarpetki i bluzki. Dwóch miało duże śliniaki pod brodą, na których zwieszały się kółka kościane, takie, jakie daje się niemowlętom w chwili wyrzynania się ząbków. Duże kręzy obejmowały ich twarze białym kołem, uwidoczniając spaloną cerę, zmarszczki i od tytoniu pożółkłe zęby. Sam Sanderson spacerował z torniastrem na plecach i z długą kantówką w ręce. Na głowę wcisnął *bourelet* trzciniowy, rodzaj wypchanego wałka, który chroni czaszki dzieci chłopów francuskich od rozbicia w razie wypadku, i wpół senny, ze szklanemi oczyma starego morfinomana, kręcił się wśród tańczących w długiej białej sukience, przewiązanej w pasie kawałkiem błękitnej gazy.

Pomiędzy temi potwornemi dziećmi, o szyjach pomarszczonych i czarnych, policzkach obwisłych,

ustach poźółkłych, oczach podsiniących, skaczących jak frygi na stopach płaskich, olbrzymich, odzianych w pantofle z kokardami, krążyła najmłodsza i najładniejsza z Amerykanek, przebrana w klasyczną liberyę mamek francuskich.

Wielki czepiec z wstążek purpurowych czerwieniał na jój głowie. Suknia, z płótna w kratki czerwone i białe, takąż wielka rotunda i duży biały fartuch — dopełniały stroju. Owa mamka biegła na prawo i lewo, karciała, biła po łapach, stawiała do kąta i obcierała nosy. Wszyscy bowiem grali komedię i zastosowywali postępowanie swe do stroju, jaki przywdzieli. Te wysokie płaskie kobiety, ci mężczyźni o rybiém spojrzeniu bezkrwistych *gentlemanów* zachowywali się tak, jak horda rozpuszczonych i źle wychowanych dzieciaków. Piszczeli, skrzeczeli, bili się, popychali, wydzierali sobie zabawki i szklanki z ponczem. Mamka wpadała nagle pomiędzy „niegrzeczną” grupę i rozdzielala klapsy. Lecz była zajęta głównie flirtem z Sandersonem. W przystępie romantycznego uniesienia poklepawszy go po brodzie, zaprowadziła do kąta i postawiła twarzą do muru. Stary morfinoman szedł, wyprawiając grymasy rozkapryszonogo dziecka. I nagle stanął w kącie, kopiąc tylko od czasu do czasu przechodzących, którzy oddawali mu te kopnięcia z procentem.

Muszka i Wielohradzki patrzyli na tę długą, białą postać mistrza, przylepioną do muru i od czasu do

czasu poruszającą się, jakby za pociśnięciem sprężyny. Obok niego *miss* w czepku i *gentelman* w śliniaku, zamieniając flirtujące spojrzenia, wychylali szklanki gorącego grogu.

Dwie *missy* w fartuszkach, z trochę niezdecydowaną barwą włosów, związanych błękitnymi kokardami, biło się rozkosznie o tekturową lalkę, odebraną innej *miss*. Jakaś panienska, odziana w sukienkę *Kate Greenway*, z mitynkami i olbrzymią budką muslinową, piastowała gutaperkowego kota, nie zaniebując prowadzić nader ożywionego flirtu z wysokim i chudym mężczyzną w paskowanej bluzce i słomianym kapelusiku.

Jakaś dziwna aberracya umysłowa, razem z przewrotnością, właściwą wpadającym w stan zdziwienia waryatom, zdawała się panować tu wszzechwładnie. Te skoki, piski, klapsy, nagie łydki i kolana, olbrzymie fartuchy, hafty krótkich spódniczek, świstawki, bębenki, kółka do wyrzynania się zębów, cienkie warkoczyki, kręzy, bakenbardy, czerwone nosy, żółte zęby—wszystko to razem tworzyło fatalne wrażenie domu obłąkanych, spędzonych razem w karnawałowej chwili, dotkniętych jedną i tą samą manją, cofających się w swym rozwoju ku mrocznej ciemni, z której pracą lat całych wydobyli zostali.

— Czy zna pan operetkę „Donnę Juanitę”? — spytała Muszka Wielohradzkiego.

— Znam.

— Pamięta pan w ostatnim akcie święto Jamajki? Wszyscy aktorzy przebierają się za dzieci. Stary Pambillo flirtuje z Rogerem, przebranym za dziewczynkę. Nazywają się: Pampusiek i Nitecka .. Ci wszyscy ludzie robią na mnie wrażenie takich Pampusków i Niteciek. *N'est-ce-pas?*

Wielohradzki potwierdził i patrzył z zachwytem na tę śliczną dziewczynę, tak artystycznie piękną, w porównaniu ze szpetotą, jaka otaczała ją dokoła. W dziwacznej gazowej sukni, mieniającej się, jak tęcza, od gorącego szafiru, oranżu, purpury, szmaragdu aż do bladych tonów topazu i opali, zdawała się jakimś czarodziejskiem zjawiskiem, zabłąkaném w krainę wiedźm i potworów. We włosach jęj migotała gwiazda brylantowa, kryjąca się do połowy w tym kasku tryumfatorki, który lśnięciami korbami wznosił się wysoko nad jęj niskiém i kształtném czołem. Siedziała wpół leżąc, na płóciennym fotelu, na który narzuciła swą wielką pluszową szafirową rotundę. Na tle tęg ciemnej, chłonącej światło tkaniny uwidoczniła się jeszcze więcej jęj smukła kibić, długi stan -- jak doskonale piękny kwiat natury, rozkwitający niespodzianie tęczowemi barwy wśród półmroku nocy letniej.

Nikogo ze „starszych” osób nie było na tym balu. Owa wolność panięnska Amerykanek usuwała wszelkie „przyzwoitki”, drzemiące pod ścianami podczas zebrań europejskich. Hrabina Dobrojowska także

pozostała w domu. Za granicą Muszka zwykle używała amerykańskiej swobody. Nawet panna Marcela była tu zbyt uczynna. Muszka miała powrócić do hotelu razem z innymi panienkami.

Od początku wieczoru Wielohradzki przysunął się do hrabianki i pozostał przy niej, nie troszcząc się bynajmniej o powodzenie tańców, co zresztą było wobec rozbikowania się Amerykanów najzupełniej zbyt uczynne. Tadeusz i Muszka zajęli jeden kąt i tam siedzieli po za parawanem wachlarza Muszki. Szafiry oczu Muszki stały się czernią onyksów. Wielohradzki, rozkoehany, wpatrywał się w prześliczny owal twarzy Muszki, w jej cerę przejrzystą, białą, lekko przysłoniętą warstwą woniejącego *Apple Blossomem* pudru. Ta woń dzikiej jabłoni, słodka, a zarazem drażniąca, płynęła nieustannie z fałd jej sukni, ze zwojów jej włosów, z atłasu jej skóry, z każdego powiewu wachlarza lub poruszenia ręki. Tadeusz dławiał się literalnie tą wonią. Po raz pierwszy poznał wyrafinowaną subtelność zawachlarzowego flirtu. Zamknięta i rozpalona od światła przestrzeń denerwowała więcej, niż szerokie łąny wrzosu lub zarośla Paprotki. Mówili mało, lecz oczy ich spotykały się co chwila, i te oczy zamieniały gorące słowa, uściski, pocałunki, pieszczoty. Żrenice Muszki przysłaniała wilgotna mgła, która srebrzyła się i migotała na różni z blaskiem brylantów, ukrytych wśród włosów. Pod wpływem spojrzeń wargi ich rozchylały się, jak-

by chwytając niewidzialne pocałunki; ręce ich w fałdach pluszu rotundy spotkały się i splotły nerwowo, wpinając paznogie w ciało, nie czując bólu, odrzwiało z nadmiaru uczucia.

Tymczasem Amerykanie skakali ciągle, a rozklekotany fortepian brzęczał jakąś nieokreśloną, niezrozumiałą melodyę. I nagle rozległ się krzyk:

— *Wirginia roadt!... Wirginia roadt!...*

Szybko utworzyły się dwa szpalery.

Z jednej strony kobiety, z drugiej mężczyźni. Fortepian zaklekotał *gigue* i natychmiast, jak marionetki w ruch puszczone, tancerze i tancerki zaczęły po czworo doskakiwać do siebie, brać się za ręce, odskakiwać, tupać, przebierać nogami, zakładać ręce na piersi, powracać na miejsce i kręcić się w kółko, jak puszczone w ruch bąki.

Połowa świec zgasła, lecz oni nie zwracali na ten szczegół uwagi. Wiercili się i kręcili, podskakując teraz w rodzaju łańcucha, z minami obłąkanych, puszczonych w ruch batami dozorców.

Małe warkoczyki podskakiwały na plecach, kółka kościane, grzechotki, turkotki, trąbki, kapelusiki, czerwone nosy, nagie kolana migotały w przestrzeni. Mistrz Sanderson zgubił swój wałek i szarfę. Jego biała, długa, haftowana sukienka (sukienka rocznego dziecka) wiewała dokoła chudego ciała, jak śmiertelna koszula. Panienska, ubrana w strój mamki, skakała, mając czepek przekrzywiony na prawe

ucho. I nagle, jakby na dany znak, przeraźliwym wrzaskiem wybuchnęła ze wszystkich piersi straszna, potworna melodia:

„*Tarara boum de ay!...*”

Muszka podniosła się z krzesła.

— Chodźmy!... ci ludzie zanadto mnie denerwują!... — wyrzekła, owijając się w rotundę.

— Jakto?... już?... — zapytał z żalem Tadeusz. — pani chce wracać do domu?...

Lecz ona odwróciła się ku oknu, pokazując oczyma srebrne smugi światła księżycowego, jaśniejącego po za szybami, po-przez ciemną tkaninę firanki.

— Chodźmy! tam tak srebrno... tak jasno!...

— A kotylion?

Muszka wzruszyła ramionami.

— Pan, jak dobry wódz, nie chcesz nawet takich niedobitków opuścić bez swój komendy... Lecz niech się pan nie lęka... ci państwo wolą *gigue* i swoje *gin-coctail* i *whisky-coctail*, niż kotyliona i ordery... Chodźmy!...

Szybko, pod ścianą idąc, wysunęli się z pracowni. Nikt się za nimi nie obejrzał, a gdyby nawet dostrzeżono ich wyjście, nikt z tych mistrzów flirtu nie zdziwiłby się zbyt. Młoda miss i młody gentleman szli flirtować przy blasku księżyca. Było to rzeczą zupełnie naturalną i nikogo nie interesującą.

Muszka i Tadeusz, zbiegłszy ze wschodów, zna-

leźli się na ulicy, lecz ścieżkę prowadzącą do morza zatamowała im grupa ludzi, złożona z rybaków i malarzy francuskich. Wszyscy, porządnie pijani, otaczali Jagourego, który z najwyższą pogardą wyrażał się o wszystkich obcych przybyszach, przepelniających Concarneau. Wśród czkawki pijackiej opowiadał teraz, jako w obserwatoryum przeszłego roku zaprowadzono wielkie badania przyczyn, dla których sardynki przestały przepływać w bliskości Concarneau. Wydawszy dużo pieniędzy i straciwszy wiele czasu, uczeni z obserwatoryum *odkryli* wreszcie przyczyny, które oddalały przyływ sardynek do Concarneau. Zaczęli ogłaszać je drukiem, zasypując swe memoryały mnóstwem nazw, zupełnie niezrozumiałych. Nagle sardynki przyplnęły, i to w tak wielkiej ilości, że on sam, Jagoury, sprzedawał całe barki na nawóz dzierżawcom folwarków okolicznych.

I mówiąc to, stary rybak tryumfował, drwił, uderzając się pięścią w zapadłe piersi.

— *Nom de nom! cré nom de nom!...* — klął, spluwając.

Inni rybacy potwierdzali jego słowa, dodając, że rząd sprawił obserwatoryum własny statek parowy, którym ci panowie jeżdżą na spacer w towarzystwie kokotek.

Lecz malarze francuscy zaczęli gniewać się i występować w obronie wiedzy. Krzyczeli, iż nie wolno jest urągać jój poszukiwaniom. Głosy te

ochryple mieszały się z sobą, płynąc chrapliwą melodią po nad balustradą ku morzu. I nagle rzucili się na siebie zajadle i zaczęli bić się wzajemnie rybacy i artyści, zapominając, że przed chwilą pili razem w szynku wódkę, nazwaną przez nich *chaoul* em.

Koło ściany przytulona, skureczona stała murzynka, trzymając na ramieniu równie skurezoną małpę.

Tak zwierzę, jak i taitianka patrzyły na ten kłęb zbity z ciał ludzkich, walający się po fiżach z charczeniem i przekleństwem ochrypłych głosów.

W źrenicach małpy i czarnej dziewczyny było wiele smutku, zdziwienia i pogardy.

Muszka i Wielohradzki obeszlą dokoła dom i wydostali się na „grewę”, z kąd można było prawie prosto przejść na „plażę”. Powoli zaczęli iść w kierunku kabin, które minęli, zdążając ku trzeciej „plaży”, zwykle osamotnionej.

Lecz dziś nie było ciemni. Przeciwnie, jasność dziwna, złożona ze srebra i błękitu, rozplywała się w przestrzeni. Wysoko na przejrzystym szafirze zawieszony księżyc roztaczał dokoła aureolę białawego prawie blasku. A na ziemi, na morzu, blask ten nabierał błękitnych tonów, czasem przechodząc w seledyn, czasem ciemniejąc nagle szafirem, często błyskając chłodem turkusu. Cała przestrzeń morza była taka srebrno-błękitna, i gdzieniegdzie, pod uderzeniem wiosel cicho sunących łodzi, zabłyskały nagle wstęgi nieokreślonej jasności, fosforycznych blasków

i gasły szybko, rozplywając się w ogólném oświe-
tleniu.

Muszka i Wielohradzki szli wolno, w milczeniu. On otoczył ramieniem wysmukłą postać dziewczyny. Gdy wchodziła na skałę, zdawała się na chwilę cała owiana morską falą o blaskach fosforycznych. Z téj tajemniczej a uroczej fali występowała wyniośle jój drobna głowa, jój twarz nagle pobladła i złoto jój włosów, w których świeciła gwiazda brylantowa.

Usiedli w zagłębieniu skały, na tém samym miej-
scu, na którym nastąpiło ich przywitanie niepewne
i wahające.

I zaraz Tadeusz przypadł do jój rąk, szukając jój
dłoni w delikatnych fałdach pluszu. Powoli, miękki-
m giestem ściągnął jój rękawiczki i zaczął całować te
różowe dłonie, woniejące odurzającym zapachem.
Hrabianka z widoczną chęcią poddawała się téj nie-
bezpiecznej pieśzczocie. Tadeusz podnosił od czasu
do czasu głowę i patrzył wprost w twarz dziewczyny,
która rzeczywiście w téj chwili była niezmiernie pię-
kną w blaskach księżyca.

Delikatna jój cera stała się w tém turkusowo-
srebrnym świetle śnieżno-białą. Po za nią tło skały
szaro-niebieskie służyło jój za rodzaj baldachimu.
Brylanty-gwiazdy migotały zwyczajko, walcząc o lepsze
z jednostajnym, zimnym blaskiem księżyca, — i tyl-
ko fosforyczne wstęgi, snujące się wśród fali, miały

te same czarowne, tęcze światło brylantowych promieni.

Wielohradzki powoli ręce Muszki zarzucił sobie na szyję i pozostał tak wpatrzony w jej oczy, w jej twarz, w jej usta, czując, iż w tej powodzi srebra i łagodnego a melancholijnego blasku nikt nie jego wzburzenie, które go ogarniało tam, w pracowni malarzy amerykańskich.

Natomiast przejmowało go szalone wzruszenie i smutek. Walczył długo, czując, iż lży nabiegają mu do oczu. Wstydział się tego nadmiaru czułości, tym bardziej, że twarz Muszki miała wciąż w sobie wyraz dziwny — rozmarzonego Sfinksa. Patrzyła przed siebie, na morze, rozplywające się w szafirze i srebrze, i zdawało się Wielohradzkiemu, iż ten szafir i srebro chłonęła w swoje źrenice. I nagle zamigotało coś na jej rzęsach. Czy i ona płakała? Nie śmiał się pytać, lękał się przerwać czar tej chwili. Czuł się tylko ze zbytku szczęścia — nieszczęśliwym i był w tej chwili prawie dzieckiem, potrzebującym pieczyoty, uspokojenia.

Powoli osunął głowę na jej kolana i pozostał tak nieruchomy, ukrywszy twarz w jej dłoniach. Wówczas Muszka spojrzała na niego z pod przymkniętych rzęs i usta jej wyszeptaly, jakby mimowoli:

— *Pauvre petit!*...

XI.

Z przestrachem Wielohradzki przeliczył zawartość swęj portmonetki i pugilaresu.

Miał jedynie tyle pieniędzy, ile mu na zapłacenie hotelu i na drogę było potrzeba.

Matka nie przysłała telegramu.

Tadeusz zaczął się niepokoić, nie wiedząc, jak wybrnąć z tego położenia.

Szybko zeszedł ze wschodów, ubrany, jak zwykle na połów owych krabów, które ginęły natychmiast, wtłoczone w ciasne akwaryum o szklanych zielonawych ścianach.

Na dolę zastał Muszkę, czekającą na niego pod werendą.

— Przyniesiono dwa telegramy!—wyrzekła panna Dobrojowska — jeden dla pana, drugi dla mnie. Otworzyłam przez pomyłkę telegram, zaadresowany do pana... Proszę nie mieć mi tego za złe... Nie przeczytałam ani słowa...

Wiedział, że kłamała, ale kochał ją teraz z taką bezwzględną zapamiętałością, iż byłby jęj darował nietylko niedyskrecyę, kłamstwo i kokieteryę, ale nawet najgorszą zbrodnię.

Wziął więc telegram i z udaną niezłe obojętnością przebiegł błękitny świstek wzrokiem. Ściągnął brwi i przez chwilę zafrasował się, jaką przybrać minę. Postanowił odrazu oznajmić Muszce o swym odjeździe.

— Ja wyjeżdżam!... — wyrzekł, przybierając ton stanowczy, jakby opancerzając się przed prośbą lub łzami Muszki.

Lecz ona zupełnie spokojnie odparła:

— A!... kiedy?

Wielohradzki uczył się do żywego tą obojętnością dotknięty.

— Dziś po południu!...

— A!

Nie spytała go o przyczynę, nie zażądała, aby pozostał jeszcze. Opuściła wzrok na telegram, który trzymała w ręku, i zaczęła go czytać uważnie i dokładnie.

Poczém zwinęła i włożyła w kieszonkę żakietu.

Stali teraz oboje przed sobą tak, jak obcy, jak ludzie, którzy się widzą po raz pierwszy i ostatni w życiu. Nie mieli sobie nic do powiedzenia.

Pierwszy Wielohradzki gwałtem wyrwał się z tęg piwnicznej atmosfery milezenia.

— Czy mogę pisać?... — zapytał prosząco.

Lecz ona zdziwiła się takim żądaniem.

— Po co?... my także niedługo zabawimy w Concarneau. Jedziemy przez St. Malo do Londynu, a potem prawdopodobnie na Wiedeń do Jarmuszówki, na sezon polowań. Zresztą nie wiem dokładnie... marszruta cała nie od nas zależy... od okoliczności... Chciałam być w Londynie, bo pod Konilred są podobno nadzwyczajne Saint-Huberty... Pan wie... takie duże psy czarne do ścigania dzików. Miałabym ochotę mieć Saint-Huberta. Nikt w Galicyi nie ma tej rasy, nawet Bodocey, nawet Maleni... *Je serais la seule!... l'unique!*...

Oczami błądziła po placu, po siatkach żagli, kołyszących się w przestworzu. Zdawała się Wielohradzkiemu nagle przeistoczoną, znów tą *sportwo-*
man'ką, zakochaną w psiarni, istotą ludzką, rzucającą nazwami ras psich, jak kulami.

Ścisnął mu serce wielki żal, serdeczny i szczery. Nie chciał wracać z takim wrażeniem do Lwowa, chciał zawieźć matce inną, pewniejszą nadzieję. Delikatnie więc, układnie przechylił głowę i zrobił najpokorniejszą, jak umiał, minę.

— Chodźmy łowić kraby!... — wyrzekł prosząco.

Ona broniła się, jakby nagle opancerzona i przywołana do rzeczywistości kobieta.

— Nie!... nie!... dziś nie mam czasu!... Mama trochę cierpiąca... mnie głowa boli...

Lecz on nalegał.

— Ostatni raz!...

Oczy jój mimowoli padły na jego twarz ładną, bladą i zmęczoną. Miał wygląd lekko zabarwionego posągu: tak blade, pastelowe tony mieniły się pod jego skórą i w jego źrenicach. I zwyciężoną tą dziwnie subtelną urodą chłopaka, panna Dobrojowska nagle zdecydowała się.

— Chodźmy!... — wyrzekła.

.

I szli znów wzdłuż balustrady wybrzeża, nad którą kołysały się welony siatek, welony brązowe, zielone, oranżowe, mieniające się, jak mora, na tle nieba. Barki wypoczywały, a ciężkie postaci rybaków ześlizgiwały się z ocembrowania na ławki łodzi. Po dnie nagiem włościła się zieleń porostów i ciemne wstęgi warechu. Wpół nagie dzieci biegały, czepiając się kamieni fortyfikacyi.

Muszka i Wielohradzki szli w milczeniu: on smutny, ona jakaś surowa i znów zeszywniała moralnie. Gdy wyszła ze swojej kabiny, ubrana jak zwykle, zdawało się Wielohradzkiemu, iż rzuciła na morze wzrok pogardliwy, prawie nienawistny. Lecz szybko wyraz ten cofnął się pod jój ciężkie powieki. Wchodząc na „plażę”, była tylko obojętna, zimna, roztażgniona, taka, jaką ją widywał często wśród salonów lwowskich, w chwili prowadzenia kotylionów.

Zaczął niemal żalować, że uprosił u niej ten ostatni spacer i zmusił ją nieledwie do oddania mu długiego pożegnania. Instykt kokieterji kobiecój, który istniał zawsze na dnie jego duszy, mówił mu, że był to rodzaj gwałtu moralnego, jaki duszy jój zadał. Lecz żebracza natura męska przeważała i drżącym głosem zapytał:

— Dlaczego mi pani nie pozwala pisywać do siebie?

Nie było odpowiedzi.

— List taki skróciłby mi czas oczekiwania... rozumié pani, że teraz każda chwila będzie dla mnie męczarnią.

Muszka brwi zmarszczyła.

— Jeżeli pan nie masz w sobie cnoty cierpliwości, to lepiej... radzę... staraj się pan zapomnieć o... Concarneau... i spędzonych w nim chwilach... Sądziłam, że pan jesteś cierpliwszy i że...

Urwała, widocznie szukając słów, dobierając frazesów. Lecz on stawał się coraz natarczywszy, popelniając błąd za błędem, zwyczajem nieprzyzwyczajonego do fortelów miłosnych mężczyzny.

— Czy można mówić o cierpliwości w takiej chwili!... — zawołał — czy pani nie wieś, że ten, kto kocha, nie umie być cierpliwym?

Muszka nagle wyprostowała się i płomień przebiegł po jój twarzy.

— Kto pana upoważnił czynić mi podobne wyznanie? — spytała.

Stali właśnie na tém samém miejscu, na którym Muszka jak echo powtórzyła: „na całe życie!”

Tadeusz otworzył szeroko oczy i zaczął się jąkać.

— Ja... sądziłem... że...

I nagle ku rękóm Muszki się rzucił i, porwawszy je, całować zaczął.

— Przepraszam!... przepraszam!.. to nie ja wyrzekłem to słowo, to moje serce, ale ja... wyjeżdżam. Pani mi nawet pisać nie pozwala... Pani dziś dla mnie taka niedobra... taka niepoezciwa... dlaczego?... dlaczego?...

Muszka milczała przez długą chwilę i nagle wybuchnęła śmiechem.

— Co za tragedia!... — zawołała — co za tragedia!... po co na wszystko zapatrywać się z tak dramatycznój strony? To dobre na scenie, w powieściach!... Trzeba życie brać tak, jak ono jest.. tak jak się ofiarowuje... i czekać z ufnością, co nam przyszłość przyniesie.

Szybkim ruchem wsunęła swoją rękę pod ramię Wielohradzkiego.

— Przyszłość... przyszłość, *grand bébé*, należy do nas dwojga... Mamy jeszcze całe życie przed sobą!... całe życie!... czy ty rozumiesz doniosłość tego słowa?

I nie czekając na jego odpowiedź, zerwała ze swo-

jéj göwy beret i, powiewajâ nim w powietrzu, za-
wo&la;la z gorâkowâ wesoöscâ:

— *Vive l'avenir!... vive l'avenir!...*

Stado mew, spöszone, bijâ skrzyölami, porwaö sié ze skaöy i zaczyölo przesuwaç sié po nad göwami
tych dwojga mödych, apoteozujâcych zagadkowy
czar przyszösci, rozwiewajâ w söncu swe önieöne
skrzyöla naksztaöt olbrzymich öwieözo rozkwitölych ne-
nufaröw, czarownâ mocâ krâżâcych w przestrzeni.

XII.

Gdy Wielohradzki, wysiadłszy z dorożki, wbiegł na wschody, doznał wrażenia, jakby włókł za sobą jakiś straszny ciężar moralny i fizyczny, odbierający mu władzę mięśni i myślenia.

Uczucie to nie opuszczało go ani na chwilę w czasie podróży, lecz tu — w tej wschodowej klatce — spotęgowało się nagle i nabrało większej wyrazistości i mocy.

Sądził, iż zastanie matkę na dworcu kolejowym; tymczasem szukał jej napróżno. Musiał jechać do domu sam. Nadomiar złego nie miał na zapłatę dorożki ani centa. Drogę z Krakowa do Lwowa przebył o głodzie, wypiwszy w Przemyślu tylko kawy za ostatnie trzydzieści centów, które mu pozostały w kieszeni.

Odrązniętym wpadł w całą nędzę prozy życiowej.

Za nim stróż niósł kuferek, gdyż Wielohradzki, który często czyścił sobie sam buty, uznałby się

znieważonym przez zanieśnienie na górę łomoczka. Stanąwszy przede drzwiami, z przyzwyczajenia klucza po kieszeniach szukał, lecz drzwi otworzyły się same, tak, jak to zwykle czyniła Wielohradzka, gdy ukryta w przedpokoju kroki syna poznawała niemal od pierwszego piętra.

Wielohradzki ujrzał jakąś postać kobiecą mającą w przedpokoju. Szybko poskoczył i rzucił się jej na szyję, lecz natychmiast uczył jakiegoś drobne ramiona, odpychające go z taką nerwową siłą, iż zatoczył się i oparł o ścianę.

Równocześnie posłyszał głos Teci, głos pokorny, matowy.

— Przepraszam pana!...

Zrozumiał, że wzięwszy Tecię za matkę, rzucił się jej na szyję. Ogarnęła go złość i wpadł nagle w swój dawny zły humor. Odebrał z rąk stróża walizkę, zaczął udawać, iż szuka po kieszeniach pieniędzy.

— Nie mam drobnych!... — wyrzekł wyniośle— jutro Mateuszowi zapłać!

Mateusz skinął głową.

— A *Einspänner?* *)

Wielohradzki doznał dziwnego uczucia. Chciał zwrócić się do Teci i zażądać od niej guldena, lecz gniew i wstyd zatamował mu słowa. Postanowił

*) Jednokonna dorożka w żargonie galicyjskim.

czekać powrotu matki. Odwrócił się do stróża i rzucił z nieochcenia:

— Niech mu Mateusz powie, żeby zaczekał. Biorę go na godzinę!...

I porwawszy walizkę, wpadł do swego pokoju.

Tam—znalazł wszystko na swoim miejscu. Podłoga aż lśniła się od wosku. Koldra opięta świeżem prześcieradłem czerwieniła się zdaleka. Na stole w szklanym wazoniku stał bukiet rozmaitych kwiatów. Obok niego buteleczka wody kolońskiej, jeszcze nieodetkana, i nowy, imitujący szyldkret, grzebień.

Wielohradzki usiadł na łóżku i ze ściśniętym sercem patrzył dokoła. Ten pokój mały, ciemny, ubogi, podobny do jakiegoś pretensjonalnego więzienia, sprawił na nim przygniatające wrażenie. Ów bukiet, flaszeczka wody kolońskiej, grzebień tani z celuloidu — te niespodzianki, prezenty, które na niego czekały, powiększyły jeszcze wrażenie nędzy i szarego niedostatku, w które wpadał.

W dodatku owo niespodziewane znalezienie się w objęciach Teci, jój rozpaczliwe a tak dziwnie pogardliwe odepchnięcie przejmowało go szalonym niesmakiem.

Miał ochotę otworzyć drzwi i powiedzieć tój dziewczynie, iż była to jedynie pomyłka z jego strony, iż w ciemności wziął ją za matkę, której nieobecności nie umiał sobie wytłómaczyć; miał ochotę, a nie śmiał, czuł się jak sparaliżowany, związany

wobec téj dziewczyny, którój gniew, wzgardę, wstręt odczuwał doskonale, pomimo, iż minął ją, przebiegając przez pokój, nie spojrzawszy nawet w jój stronę.

Ukrył więc głowę w dłonie, i tak siedział na łóżku, skurczony, zgarbiony, nie mając ani odwagi ani chęci obmyć się z kolejowej sadzy i podróżnego pyłu.

Z zamyślenia tego wyrwało go wejście matki. Wielohradzka wbiegła w kapeluszu, kolecie i rękawiczkach. Porwała go w swe objęcia i witała ze łzami w oczach; poczem szybko mówić zaczęła. Spóźniła się na pociąg... szła bowiem piechotą... nie lubiąc tramwajów.

Wielohradzki całował jój ręce, ciągle zamyślony, znużony, z ustami zaciętymi w niewytlómaczoném milczeniu.

Lecz Wielohradzka gorączkowo go pytać zaczęła:

— I cóż? i cóż? ..

On powolnym ruchem wskazał na drzwi, po za któremi była Tęcia.

— *Quand nous serons seuls!*... — wyrzekł w formie odpowiedzi.

— Ona zaraz wyjdzie...—odparła matka.

Nagle rozległ się dzwonek.

Wielohradzka zbliżyła się do drzwi.

— Kto tam? Zobacz, Teci, kto dzwoni.

Rozległ się głos Mateusza.

— *Einspänner* pyta, czy ma czekać dłużej?

Na Wielohradzkiego uderzyły płomienie. Po raz

pierwszy uczuł się skrępowanym, sięgając do kieszeni matczynej. Stracił przyzwyczajenie ciągłego proszenia się o pieniądze potrzebne na uprzyjemnienie egzystencji.

Wolał zastawić się kłamstwem.

— Mateczko!... nie mam drobnych.. niech mateczka zapłaci dorożkarzowi...

Wielohradzka zafrasowała się widocznie.

— Dawno czeka?

— Nie wiem... może pół godziny, może trzy kwadransy...

Wielohradzka zaczęła szybko mrugać oczami.

— Daj to, co masz!... Tecią rozmieni.

Wtedy zdjęła go jakaś rozpaczliwa energia. Zwrócił się ku matce, pobladły cały i zmęczony zdenewrowaniem, które go od chwili wstąpienia na próg domu dławilo.

— *Je n'ai rien!* — wykrztusił prawie tragicznym głosem.

Wielohradzka wysunęła się za drzwi i przymknęła je.

Tadeusz słyszał dokładnie, jak kazała zejść stróżowi i powiedzieć dorożkarzowi, aby jeszcze zaczekał chwilę. Poczém szeptała coś z Tecią, i dziewczyna wybiegła szybko, mówiąc półgłosem:

— Wezmę od babki.

Wielohradzki zrozumiał, że i matka nie miała ani centa i że pożyczone przez Tecią pieniądze zapłacą

jego dorożkę. Ten fakt zwiększył jego rozdrażnienie. Postanowił natychmiast poprosić matkę, aby nigdy od Teci, ani jój rodziny, nie przyjmowała żadnej pieniężnej przysługi.

Lecz Wielohradzka weszła, i Tadeusz nie powiedział ani słowa. Zaczął tylko porządkować drobiazgi na półkach i układać książki. Z kieszeni palta wyjął dużą książkę w żółtój oprawie i położył ją na wierzchu. Było to *Salammô* Flaubert'a, które Tadeusz kupił na jednej z kolejowych stacyj, skracając czytaniem nudy podróży.

Tymczasem Wielohradzka, trochę zaniepokojona zachowaniem się Tadeusza, stała w milczeniu koło stołu i układała kwiaty w bukietcie. Twarz jój wydawała się bardzo bladą, a pasma włosów, zakrywających dawną modą uszy, jeszcze więcej zbielały.

Ubrana była, jak zawsze, starannie, nawet elegancko.

Tylko rękawiczki, które miała jeszcze na rękę, były bardzo zniszczone i miały palce zasmarowane atramentem.

Wreszcie widząc, iż syn nie zdejmuje nawet palta i coraz więcej zacina usta, które już teraz wąską linijką znaczyły się wśród twarzy, odezwała się sama jakimś niepewnym, nieśmiałym głosem:

— Czy panie Dobrojowskie pozostały w Concarneau?

Tadeusz poskoczył ku niój i porwał ją za rękę.

— Mamciu złota!... — zaczął gorączkowo — ja mamcią błagam, niech mama mnie o nic dziś nie pyta... Jestem znużony, rozdrażniony, zdenerwowany... *enfin, que sais-je!*...

Wielohradzka protestowała.

— Chciałam się tylko dowiedzieć...

— Jutro... mamcia dowie się o wszystkiém... sam powiem! Dziś nie mogę!... nie mogę!...

Zęby mu dzwoniły, oczy miał łez pełne, zdawało się, że wloką go na średniowieczne tortury.

Wielohradzka przeraziła się jego zdenerwowaniem.

— Dobrze!... dobrze!... — wyrzekła uspokajająco. — Powiesz, kiedy chcesz i co zechcesz... Teraz umyj się, przebierz i odpocznij. Przyniosę ci gorącej wody, dolęj trochę gliceryny, bo inaczej ta sadza kolejowa zniszczy ci cerę na kilka tygodni.

I stając już u drzwi dodała:

— Do herbaty przygotowałam ci świeże masło, twarożek i trochę kiszki pasztetowej... Czy dobrze?

— Do ust Tadeusza nabiegła ślina.

— Och!... ja nic jeść nie będę! — mruknął, zdejmując paltó.

Niemniej przeto, tak, jak zresztą zawsze, do stołu usiadł i zjadł pół bochenka chleba, maselniczkę masła i ćwierć funta kiszki pasztetowej. Dopiero, gdy zabrał się do twaroga, spostrzegł, że matka pije czystą herbatę.

— A mamcia? — zapytał, odzyskując razem z napełnionym żołądkiem przeblýski lepszego usposobienia.

Wielóhradzka zawahała się chwilę.

— Ja?... Nie zważaj na mnie... ja suszę!...

Tadeusz zadziwił się niemało.

— Dlaczego? wszak to dziś środa?

— Właśnie na twoją intencję... do świętego Józefa...

I pochylając się ku synowi, z niezrównanym, niemal dziewęcym wdziękiem, dodała:

— Patrona małżeństw szczęśliwych!...

Tadeusz brwi ściągnął, miał ochotę wstać od stołu, uciec do swego pokoju i zamknąć się na klucz. Ta alluzya do małżeństwa z Muszką sprawiła mu ból niemal fizyczny. Lecz zastanowił się i z chmurną miną sięgnął po salatareczkę, w której bielił się twaróg. Poczém zabrał się do drugiej połowy chleba i wyskrobał pustą już maselniczkę. Lecz gdy najedzony do sytości znalazł się w swoim pokoju i, szybko rozebrawszy się, wlaź pod kódrę, porwał go straszny żal, smutek, tęsknota za tą przejrzystą przestrzenią, gdzie opalowe morze pod turkusową kopułą oświecone było złotą lampą słoneczną, drgającą brylantowemi blaski, za temi wawozami pełnemi srebra, zieleni, purpury kwiatów i szmaragdu bluszczów, za tą wysnioną, elegaucką postacią Muszki — za jój rękami (muszlami różowemi), za jój oczami (gwiazdami

szafiru), za jęj ustami (odblaskiem jutrzeńki). Zaczęł nadawać jęj w myśli najslodsze i najpieszczotliwsze nazwy, podniecał się wspomnieniem jęj ukochanych spojrzeń, słów niedomówionych. I znów zdawała mu się niedościgłą, daleką, tak, jak wówczas w Paprotce, gdy niosąc nad czołem złote słońce, stanęła na wyżynie, mając u stóp swoich orszak gwiazd i ciał ludzkich, z których żadne nie mogło doścignąć jęj w doskonałości barwy i linii.

Pomimo ciemności, Tadeusz nerwami czuł, widział nędzne mebelki, zapełniające jego pokóik—stół okryty skromną serwetą, półeczki z książkami, drugi stół z miską, dzbankiem i flakonikami, stanowiący *cabinet de toilette* nędzarza. Zwłaszcza owo okno, umieszczone na górze, okratowane, zasłonięte białą firanczką, wkręcało mu się w mózg, jak prawdziwe okno celi więziennęj, przysłonięte cieniem „kosza”.

Ta uparta wizya okiennego otworu, która, jak zwierzę czuwające, dyszała życiem w ciemności i zdawała się kratami swojemi i szmatką firanki drwić ironicznie z sytuacji Tadeusza, mieszała się nieustannie w jego myślach ze świeżemi wspomnieniami miłości, dobrobytu, niezmierzonej przestrzeni, które żyły jeszcze w głębi jego umysłu.

Ogarnęła nim gorączka. Podniósł się i usiadł na łóžku, oddychając ciężko. Krople potu wystąpiły mu na czoło. Zdawało mu się, że te wszystkie sprzęty, nędzne i ubogie, to mieszkanie niemal pod strychem,

te książki, skupowane za składane przez matkę centy, ta maszyna do szycia, która odpoczywała teraz, jak koń w deptaku spracowany — zdawało mu się, iż te rzeczy nieruchome i nieżyjące utaiły tylko swoje życie i wszystkie w tajemnicy żyją i pracują na jego zgubę. Uwięzili go pomiędzy sobą, jak stado małych złośliwych i nędznych, i codzien szyczą z jego niedołęstwa, ubóstwa i niemożności pozbycia się ich widoku.

Przez umysł jego, jak przez mgłę, przesunął się tryumfalny okrzyk Muszki:

— *Vive l'avenir.*

Mignął biały płat jój beretu, zaświeciły szafiry oczu...

Chciał odegnąć dręczące go mary tém magiczném zaklęciem, lecz napróżno. Groza jego i strach wobec téj armii niby uspiónéj, a przecież tak potężnéj, wzrosły. Szybko ukrył głowę pod poduszkę i naciągnął koldrę — bał się, jak małe dziecko wieczorami przez niańkę straszone.

I wtłoczywszy rękę w usta, zaczął łkać cicho, ale boleśnie, zanosząc się, jak kobieta schorowana i życiem zmęczona.

.

Lecz gdy wstał nazajutrz, obudzony turkotem maszyny, poczuł się dziwnie rześkim, żwawym i peł-

nym fantazyi. Ubrał się szybko i uśmiechnięty wszedł do pokoju, w którym matka, odziana w pikowy szlafrok, ustawiała właśnie na tacy przybory do jego śniadania.

Widząc wchodzącego syna, zdziwiła się niezmiernie.

— Jakto? już wstałeś?... a, mój Boże!... pewnie maszyna nie dała ci spać...

Lecz Teczka, nie podnosząc głowy, odparła:

— Proszę pani... jeżeli mamy odnieść tę bluzkę o jedenastój, to jakże było czekać!

Lecz Wielohradzki po dawnemu do lustra podszedł.

— Nic nie szkodzi, matusiu!.. nie nie szkodzi. Wypałem się doskonale. Teraz proszę o kawę i zalczstangę... Idę do biura!

Przyglądał się sobie z zadowoleniem. Był bardzo blady i miał błękitne pod oczyma smugi. Ale to tylko dodawało mu wdzięku. Obejrzał zęby i rozszerzał usta, wykrzywiając je w dziwnym uśmiechu, tuż przed taflą lustrzaną.

Wielohradzka, uradowana zmianą jego usposobienia, nalewała mu kawę.

— Wypijesz tutaj, czy w swoim pokoju?

— Nie, tutaj, razem z paniami!

— Maszyna turkoce, rozboli cię głowa...

— Och! niema obawy.

— Pyszności!... a co za kożuszek!... tylko u nas w kraju umieją przyrządzać kawę.

Pił powoli, smakując, wyskrobując garnuszek.

Wielohradzka patrzyła na niego z po za swych binokli, z sedeczném uradowaniem.

— Smakuje ci?... — zapytała.

— Bardzo! ..

Usiłował nie spojrzeć na Tecię, lecz dziewczyna, powstawszy od maszyny, zbliżyła się ku Wielohradzkiej.

— Proszę pani — spytała — co zrobimy u szyi? kołnierz marynarski? czy plisowaną falbanę, czy stojący zwykły kołnierzyk?

Była tak blisko Tadeusza, iż ten mimowoli oczy podniósł i spojrział na nią przelotnie. Zdziwił się wielką zmianą, jaka w niej zaszła.

Była teraz jeszcze więcej „dziewczynką” niż kiedykolwiek, tak bardzo schudła, zbladła i zmizerniała. Ubranie jęj składało się z szaręj płóciennęj sukienki i białego fartuszka. Włosy, z powodu ciągłego bólu głowy, czesała teraz gładko i spinała w węzeł, niemal na samym karku. Nadawało to jęj cechę szlachetniejszą, odsłaniając bardzo kształtną i małą głowę.

Miała zupełnie wygląd pensyonarki.

Wielohradzka zwróciła się ku synowi.

— Powinszuj Teci — wyrzekła. — Tydzień temu odhyły się jęj zaręczyny z panem Janczewskim.

Tadeusz chwilę zawahał się.

Był tak wielkim egoistą, iż te zaręczyny, których pragnął i które uwalniały go od Teci, zadrasnęły go lekko. Szybko jednak opamiętał się i z wielką dystynkcyą i kurtuazyą powstał i skłonił się przed panną Pikniewiczówną, trzymając w ręce łyżeczkę pełną kożuchów.

— Serdecznie się cieszę!... winszuję!... szczęścia życzyć!...

Tecia nie skinęła nawet głową, tylko odebrawszy z rąk Wielohradzkiej bluzkę, powróciła do maszyny i, usiadłszy, ową sławną „Silencieuse” z hukiem i turkotem stebnować zaczęła.

Tadeusz tymczasem zawijał w papier cukier i rogalik i, włożywszy na głowę kapelusz, do lustra raz jeszcze podszedł.

XIII.

Minęły długie trzy tygodnie.

Tadeusz przez ten czas raz jeden prowadził tańce w ogrodzie namiestnictwa, podczas zwykłej dwutygodniowej *garden party*. Niedobitki arystokracji lwowskiej włóczyły się wśród spiekoty i kurzu ulic lub kryły się po za spuszczoneymi storami okien. Przeważnie młodzież zapelniająca biura namiestnictwa była w komplecie, uzyskując urlopy z trudnością i starając się zachować je na miesiące jesienne, w chwili otwarcia polowań.

Namiestnikowa zbierała tych kilkanaście osób, nudzących się piekielnie, pod cieniem kasztanów obszernego ogrodu i starała się wynaléć im jakie takie rozrywki. Grano w kromieta, nawet w wolanta. I był to raj dla panien namiestnikówién, które same, bez niebezpiecznej rywalizacyi, kręciły się wśród tych rasowych *koncepts-praktykantów*, z których niemal każdy dźwigał na swojej ostrzyżonej głowie koronę

hrabiowską, baronowską, ba... czasem mitrę księżącą.

Wielohradzki powoli wszedł w swoje dawne towarzystwo.

Nerwy jego uspokoiły się. Przestał lękać się mebli i owego zakratowanego okna, osłoniętego płachtą franki. Zrozumiał, że w dniu przyjazdu ogarnęło go zanedo brutalne przejście z poezyi i piękna w ciemną szarotą smutnej rzeczywistości. Uchwycił się teraz drugiej połowy swojej egzystencji, téj sztucznej, błyskotliwej, złożonej z przebywania w kołach arystokracji, i mówienia „ty” arystokratycznym kolegom biurowym.

Miłość Muszki rozwinęła w nim szaloną pychę. Teraz niemal z politowaniem patrzył na Charłupkę, na Pozbitowskiego, na tych innych, którzy nie byli wyróżnieni przez pannę Dobrojowską. Małżeństwo Malewicza z bogatą panną Statnicką było już rzeczą postanowioną i ogólnie wiadomą. I Wielohradzki z radością widział, iż nikt się temu związkowi nie dziwił, wszyscy mówili o nim jako o fakcie zupełnie naturalnym i stosownym. Malewicz, nie posiadający ani centa, brał pannę mającą trzykroć sto tysięcy guldenów posagu. I nie spadał bynajmniej w opinii świata. Owszem, od chwili zaręczyn stał się „kimś”, nabrał więcej znaczenia, zaczynał się „liczyć”, tak jak Bodocki, Pozbitowski i inni. Wielohradzki każdy ten objaw śledził ciekawie. I mimowoli prostował

się także, chętniej i częściej mieszał się do rozmów „tych panów”, którzy — dobrzy chłopcy — odpowiadali mu uprzejmie, lubiąc go za jego ładną twarz, doskonale maniery i umiejętność w noszeniu dobrze skrojonej odzieży.

Powoli także ogarniała go chęć ciągłego paplania o Muszce i Wielohradzka wiedziała teraz wszystkie szczegóły jego pobytu w Concarneau, z wyjątkiem wszakże niektórych chwil spędzonych sam na sam z Muszką, podczas których flirt ich przechodził po za granice przez flirt zakreślone.

W ten sposób Muszka przedstawiała się Wielohradzkiej jak rozkochana, trochę lekkomyślna dziewczyna, lecz rozkochana uczciwie, tak, jak ona sama, Wielohradzka, zakochana była przed laty w swoim późniejszym mężu.

I raz na ten teren wszedłszy, Tadeusz zaczął coraz więcej idealizować i uszlachetniać swój stosunek z panną Dobrojowską, kłamiąc po kobiecemu, lecz kłamiąc z serca, tak, iż na drugi dzień nie wiedział już, co było prawdą a co kłamstwem.

W ciemni nocy Muszka zdawała się inną istotą, niż przy świetle dzienném. Marząc o niej w gorączkowym śnie, widział ją jako kobietę ciągnącą ku sobie czarem wyzywającej piękności. Pożądał jęj jak kochanki i nie marzył o małżeństwie. Mając wyobraźnię podnieconą czytaniem „Salammbó“, stroił pannę Dobrojowską w czarną szatę córki Hamilkara,

a na j3j ramiona wkładał ciemną purpurę płaszcza, wlokącego się za nią na wzór fal, które wiernie towarzyszyły j3j krokom. Widział ją schodzącą z owych olbrzymich schodów, oświetloną purpurą ogni płonących drzew i mającą po obu stronach dwa długie szeregi bladych ludzi, odzianych biało, niemających ani r3sów, ani brwi, ani włosów. On sam zaś był ucieleśnieniem *Mátho* i wił się na lwich skórach, owijając się prześcieradłem, jakby cudownymi fałdami welonu Tanity.

Realistyczna forma dzieła Flauberta porwała go i uniosła, równocześnie każąc mu wśród otoczenia wyszukiwać postaci poznanych z kart książki. Salamambo miała twarz Muszki, i owe usta, otwarte jak „kwiat granatu“, były ustami Muszki, ramiona, pokryte sznurami brylantów — ramionami Muszki.

Lecz rano widzenie znikaało, i Muszka przeistaczała się w zakochaną, poczciwą dziewczynę, dążącą całą siłą do połączenia się węzłem małżeńskim z człowiekiem wybranym przez siebie wśród tłumu. Ta sympatya, nieledwie uczucie, z którym Wielohradzka wymawiała j3j imię, dodawała j3j uroku dziewczyny normalnej, wychowanej przy boku matki, dość cichej i skromnej. Odkąd Tadeusz dowiedział się, iż matka jego była w t3j samej sytuacji względem jego ojca, jak Muszka względem niego, mimowoli często identyfikował postać matki z postacią Muszki. Przy świetle dzienném dwie te kobiety zaczynały łączyć się

w jedno. Często prosił matkę, aby opowiadała mu drobiazgowo, jak zwalczyła wszystkie przeszkody i zdołała połączyć się ze swoim mężem. I gdy Wielohradzka łagodnym głosem opowieść swą po raz setny zaczynała, Tadeusz przymykał oczy i słowa matki w myśli ilustrował, podstawiając jako bohaterkę Muszkę. Był bowiem teraz chwilami bardzo romantycznie usposobiony i, o szarzej godzinie zwłaszcza, romantyzm ten objawiał się zupełnie dziecinnymi, naiwnymi symptomatami.

W biurze zaś działo się przeciwnie.

Zapatrywał się trzeźwo i jasno, lecz trzeźwo i jasno po swojemu. Malewicz był dla niego punktem wyjścia. Bezustannie studyował jego zachowanie się i mimowoli przybrał jego chód, ruchy, noszenie głowy. Zaczynał podrwiwać z Kafthana, który teraz był jeszcze chmurniejszy, tragiczniejszy i bardziej milczący. Malewicz starał się zostać c. k. szambelanem. Był to pusty tytuł, lecz zawsze jaki taki tytuł. Na to trzeba było wylegitymować się z dostojenstwa rodu. Wielohradzki zaczął interesować się temi szczegółami i uradował się, widząc, z jaką łaźwością przyszłoby mu otrzymać szambelaninę.

Gdzie obecnie przebywała Muszka — nie wiedział. Pożegnali się wśród gradu pocałunków i pieśczoł. Muszka zdawała się nawet mieć łzy w oczach, on zaś płakał, jak dziecko. Mimo to pisać do siebie nie pozwoliła, mówiąc: „po co? wkrótce się zobaczymy!...”

Pewnego wrześniowego popołudnia Wielohradzki siedział w biurze i, oparłszy łokcie na stole, czytał „Salammô“. Przez otwarte okna widać było ogród namiestnikowski i drzewa, zaczynające lekko żółknąć od szczytów. Po trawnikach biegały panny namiestnikówny w czerwonych bluzkach i czarnych spódniczkach. Zdaleka miały wdzięczne linie młodych dziewcząt. Grały w wolanta zręcznie i z dużą wprawą.

Na sofce, przygotowanej dla urzędników, którzy mieli nocną inspekcję, siedział Stanio i Jurek Bodocki. Zjedli śliwki, które Stanio przyniósł w torebce, i ziewali z nudów i gorąca. Zaczęli mówić o przyszłych polowaniach i cieszyli się nadzieją wyjazdu do Szabrowki, zameczku myśliwskiego wśród gór Karpackich, należącego do pewnej liczby akcyonaryuszów, którzy corocznie, w październiku i listopadzie, na polowania zjeżdżali.

Pozbitowski, który się zajmował kuchnią, niepokoił się, czy jeden kucharz zdoła nakarmić czterdziestu ludzi.

— Zkąd bierzesz czterdziestu? — pytał Bodocki.

— Ze służbą...

— Ach tak!... skoro będziesz liczył służbę i psiarzyków i stajennych, to więcej naliczysz, niż czterdziestu...

— Trzeba, ażeby ktoś z nas pojechał naprzód

i zobaczył, czy owa kolonia letnia bardzo nie zanieczyściła zameczku?

— Jaka kolonia letnia?

— Prawda, ty nic nie wiesz, nie byłeś na ostatniej sesyi. Pozwoliliśmy kanoniczce Haden sprowadzić do Szabrowki całą czeredę małych dziewczynek. *C'est une bonne action!... quoi!*

— Zapewne!.. zapewne!...—potwierdził Bodocki.

Rozmowa urwała się, i Wielohradzki, który nie mógł czytać, słysząc obce głosy, wstąpił znowu na szczyt Akropolu.

Lecz Pozbitowski znów zaczął mówić, teraz półgłosem i z jakimś ironicznym uśmiechem.

— I cóż Maleni?

Jurek Bodocki powstał z sofy i, włożywszy ręce w kieszenie, zaczął po pokoju chodzić.

— A no, nic... — odparł — to było dawno do przewidzenia... *ce n'est pas une surprise.*

Zatrzymał się u drzwi prowadzących do drugiego pokoju.

— Jak Boga Kocham!... — zawołał szeptem, zglądając przez szparę — och!... *mais c'est epastrouillant! colossal! pyramidal!*

— Co takiego? — spytał Pozbitowski.

— Pst... cicho... nie skrzyp butami, bo go spłoszysz!

— Kogo?

— Kafthana! stoi ukryty po za framugą okna i patrzy na ogród... och! ale jak patrzy!

— Kto jest w ogrodzie? Wielohradzki, zobacz-no! Tadeusz podniósł głowę i spojrzał przez okno.

— Cesarsko-królewska fornalka!...

— Ach!!!

Wszyscy trzej spojrzeli na siebie.

— Czyżby?...—zaczął Pozbitowski i urwał, wybuchając śmiechem.

— *Oh!... non! non!...* — protestował Bodocki—
ça serait trop cocasse!...

Śmiali się jeszcze długą chwilę i Bodocki powrócił na dawne miejsce.

— *Quel animal!...*—rzucił, wzruszając ramionami.

Pozbitowski ułożył się na sofie, zwiijając się w kłębek.

— Spać mi się chce!... — wyrzekł powoli. — Byłem wczoraj na kolacyi u Brandmagła.

— Po co tam chodzicie?...

— A cóż z czasem zrobić? w lecie niepodobna we Lwowie wytrzymać...

I układał się do snu jak wielki kot czarny, błyskając tylko białą pikową kamizelki.

— Nie wiesz kiedy Maleni wróci? — spytał Bodocki.

— Nie wiem! jeżeli wróci, to w każdym razie nie na długo...

Wielohradzki zamknął książkę i, oparłszy głowę

na rękę, mimowoli rozmowy swych kolegów słuchać zaczął.

— Dlaczego nie na długo? — ciągnął dalej Bodocki.

— No, przecież przenoszą go do Wiednia... Po ślubie będą w Wiedniu mieszkali...

Wielohradzkiego ogarnęła ciekawość. Maleni się zenił; był to fakt niezwyklej doniosłości w dziejach arystokracji lwowskiej.

— Maleni się zeni? — zapytał, podnosząc się i wysuwając cokolwiek głowę z po za półeczek biurka.

— Tak! — odparł Bodocki, który teraz także układał się do snu na drugim końcu sofy, znużony nadmiarem pracy i gorąca.

— Z kim? — pytał Wielohradzki.

— Z Muszką Dobrojowską! — zabrzmiała odpowiedź.

Głowa Wielohradzkiego znikła szybko po za półkami biurka.







